



# I CO DALEJ?

AGNIESZKA PESZEK

[www.peszek.pl](http://www.peszek.pl)

Agnieszka Peszek

I co dalej?

Copyright by Agnieszka Peszek 2023

Copyright by 110 procent 2023

Wydanie 1

Redakcja: Dominika Kamyszek - [OpiekunkaSlova.pl](http://OpiekunkaSlova.pl)

Projekt graficzny okładki: Andrzej Peszek

Skład: Agnieszka Peszek

ISBN: 978-83-965144-5-5

Wydawnictwo 110 procent

Cymuty 4, 05-825 Czarny Las

[www.peszek.pl](http://www.peszek.pl)

opracowanie na czytniki eLJot

*Pluń na wszystko co minęło:  
na własną boleść i cudzą nikczemność...  
Wybierz sobie jakiś cel, jakikolwiek  
i zacznij nowe życie.*

Bolesław Prus „Lalka”

# Część 1

## Rozdział 1

1987

- To nie tak, stary - krzyknął Witek Markowski i powoli zrobił krok do tyłu, unikając tym samym kolejnej wymiany ciosów z przeciwnikiem.

Większość osób uważała go za silnego i agresywnego faceta ze względu na jego muskularną budowę ciała. Cztery razy w tygodniu ćwiczył w garażu u Krótkiego, gdzie nikt nie stawiał samochodu, bo jego ojciec trafił do więzienia po tym, jak pijany wjechał w ludzi na przystanku. Matka nie miała prawka, ale liczyła na powrót męża, dlatego zostawiła blaszak. Dzięki temu mieli miejsce spotkań, a także możliwość stworzenia czegoś na kształt sali ćwiczeń.

Wisiał tam worek boksinerski zrobiony z kilku toreb na ziemniaki. Powkładali jeden w drugi, a następnie wsypali do środka piasek. Co jakiś czas musieli go uzupełniać, bo wysypywał się dziurami, ale im to nie przeszkadzało. W kącie mieli hantle o dziwnych kształtach, które zrobił im wujek Krótkiego. Oczywiście najpierw sami musieli pozbierać złom, a kowal im to przetopił i uformował ciężarki. Sami zbudowali ławeczkę, na której wyciskali, pocąc się i sapiąc niemiłosiernie. Brakowało jeszcze sztangi, ale z tym musieli poczekać na lepsze czasy.

To dzięki regularnym ćwiczeniom Marek, jak nazywali Witolda Markowskiego znajomi, miał wyrzeźbione bicepsy i mięśnie klatki piersiowej tak twarde, że nie pogardziłby nimi niejeden sportowiec. A mimo to bał się stojącego przed nim Gawora. Oczy przeciwnika poruszały się nienaturalnie. Nie tak płynnie jak u większości osób, ale w taki poszarpany sposób. Jakby były sterowane maszyną, a ta nie

potrafiła wykonywać gładkich ruchów. Ale nie tylko to przerażało Witka. Chłopak szczyrzył zęby jak przywiązany do budy pies, który swoim szczekaniem i postawą chce przepędzić intruza. W przypadku zwierzęcia jest jednak szansa, że sznurek się nie zerwie, a Gawora nie ograniczało nic. Mógł w każdym momencie rzucić się na przeciwnika i miał realną szansę wyjść z tego starcia zwycięsko.

- „To nie tak, stary” - rzucił prześmiewczo i splunął kilka centymetrów od butów Markowskiego. - Ty tak serio? Myślisz, że jestem jakimś debilem? - wycedził, plując przy tym przez ciemne od próchnicy zęby. - Myślisz, że nie widziałem, jak ślinisz się do mojej siostry?

- Ja też widziałem - wtrącił stojący obok Kondziu, a dokładniej Konrad Brzeziński.

Przyjaciół, kolega od flaszki, kompan do bitki - tak można było w skrócie opisać łączącą go z Gaworem więź. Zнали się od zawsze, a od kilku lat praktycznie nie rozstawali. Od kiedy przestali chodzić do szkoły w wieku szesnastu lat, od rana po późny wieczór szlajali się po okolicy i szukali guza, taniego zarobku lub możliwości zwinienia czegoś komuś.

- Hela to nie laska w moim typie - powiedział Markowski i od razu tego pożałował.

Helena Gaworska była przeciwieństwem swojego brata, a także całej ich rodziny, zarówno pod względem wizualnym, jak i intelektualnym. Szatynka, stosunkowo niska, o bardzo drobnej budowie. Przy swoim bracie wyglądała jak Calineczka. Na dodatek uwielbiała książki i szkołę, na co Gawor miał alergię.

- Czyli że co? Moja siostra jest brzydka? Głupia? Czegoś jej brakuje? - dopytywał agresywnie chłopak, cały czas trzymając ręce wysoko, jakby w każdym momencie był gotowy, by wyprowadzić kolejny cios.

- Nie! - krzyknął Markowski. - Tylko ona nie jest moją dziewczyną.

- To czyją? Zabiję drania! - darł się niemiłosiernie Gawor, wywołując przerażenie u kolegów.

Witold Markowski patrzył na niego i zastanawiał się, czy on sam miałby w sobie aż tyle determinacji i zacięcia, aby tak wytrwale walczyć o swoją siostrę, niezależnie od tego, czy miało to sens, czy nie.

# Rozdział 2

1987

- Co ci się stało? - spytała Marysia, wrzucając obranego ziemniaka do przygotowanego wcześniej garnka z wodą i sięgając po kolejnego.

Stojący przed nią brat wyglądał jak siedem nieszczęść. Lewe oko miało całe fioletowe i praktycznie zamknięte. Zawsze wydawało jej się, że jest wojowniczym niedźwiedziem, ale okazało się, że w dżungli chuliganów, wśród których się obracał, znalazł się jakiś bardziej drapieżny przedstawiciel gatunku.

- Różnica zdań - odpowiedział i usiadł przy kuchennym stole.

- Aha. Mama już to widziała?

- Nie. Po co ma widzieć?

- Myślisz, że nie zauważy? - skomentowała z uśmiechem, który ostatnimi czasy tak rzadko prezentowała.

Młodsza, piętnastoletnia siostra Witka Markowskiego zdecydowanie miała dość wszystkiego, a w szczególności swojego życia i ciągłych komentarzy dotyczących jej wyglądu czy zachowania, które spadały z każdej strony. No, może nie od brata. Ale jemu również nie chciała nic tłumaczyć. I tak nie wierzyła, że zrozumie.

- Ostatnio nie zauważyła, więc może i tym razem się uda.

- Mama dokładnie wiedziała, że się lałeś. Zdziwię cię, nawet wiedziała, z kim i o co. Tylko nie chciała komentować. Z tobą nie da się rozmawiać. Zawsze wiesz najlepiej, jakbyś pozjadał wszystkie rozumy.

- No tak, bo z tobą konwersacja to sama przyjemność. Panna wiecznie obrażona na świat. Humor popędza humor. Nie można nic ci powiedzieć, bo się obrażasz. Wieczne muchy w nosie.

- Ja?! - krzyknęła i machnęła ręką, przewracając stojący na blacie garnek. Ziemniaki rozsypały się po całej kuchni, a woda wlała pod szafkę. Niestety krzywa podłoga powodowała, że za każdym razem zbierały się tam popłuczyny czy inne nieczystości, które komuś się wylały.

Od razu obydwójce rzucili się na podłogę, zbierając ziemniaki. Nagle jeden z nich trafił Marysię w głowę. Niepewnie spojrzała na Witka i zobaczyła zawadiacki uśmiech na jego twarzy. Podniosła najbliższy leżący obok niej kawałek warzywa i rzuciła w brata. Nie zrobiła tego mocno, mimo to ten padł na podłogę, jakby został rażony piorunem.

- Auuu! Jestem ranny! - Tarzał się po podłodze i udawał powalonego strzałem.

Marysia już miała doskoczyć do brata i swoim zwyczajem zacząć go łaskotać, gdy drzwi do kuchni otworzyły się z impetem i stanęła w nich ich matka. Uśmiechnięta zazwyczaj kobieta nie prezentowała obecnie swojego sympatycznego lica. Oczy miała zaczerwienione i cała drżała. Natychmiast zerwali się na nogi, ignorując rozsypane na ziemi ziemniaki, i podeszli do kobiety.

- Co się stało? - jako pierwszy spytał Witek.

- Coś ty narobił? - wyszeptała kobieta i spojrzała na syna zrezygnowanym wzrokiem.

## Rozdział 3

1987

- Imię i nazwisko.

- Witold Markowski, ale mówią na mnie Marek.

- Pytałem o to? - spytał siedzący naprzeciwko po prawej stronie funkcjonariusz Nikodem Grylak.

Miał z pięćdziesiąt lat i niewiele ponad metra sześćdziesiąt wzrostu, a mimo to wzbudzał w dużo wyższym chłopaku strach. Markowski sporo nasłuchiwał się o milicji, o metodach przesłuchań i lęku, jaki wzbudza w ludziach, dlatego wiedział, że musi uważać na każdy gest i słowo, mimo że był niewinny.

Chłopak na co dzień uchodził za dość buńczuczny. Lubił słowne przepychanki, a od fizycznych nie stronił, jednak teraz wołał się nie



wychylać. Wróg w postaci milicji był o wiele gorszy od Gawora i jego ekipy.

- Nie pytał pan - odpowiedział i spuścił wzrok.

- To nie udzielaj się nieproszony.

- Przepraszam - dorzucił zgaszony.

- Data urodzenia?

- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty, a dokładniej czternasty marca.

- Miejsce urodzenia?

- Poznań.

- Co aktualnie robisz?

- Kończę liceum.

- Liceum? - prychnął starszy mężczyzna. Siedzący obok niego młodszy aspirant, którego danych osobowych chłopak nie usłyszał, siedział jak zaczarowany, jakby bał się ruszyć. Witek spojrzał na niego parokrotnie, próbując nawiązać kontakt wzrokowy i trochę licząc na wsparcie. Mężczyzna miał niewiele więcej lat od niego.

- Tak, a dlaczego pana to dziwni? - spytał i od razu pożałował. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to jak zaproszenie do dyskusji. Nie miał na to zupełnie ochoty.

- A nic - odpowiedział tamten, a Witold odetchnął, jakby uciekł drapieżnikowi. - Przejdźmy do meritum. Zna pan Baltazara Gaworskiego?

- Baltazara? - krzyknął wesoło, jakby właśnie usłyszał najśmieszniejszy dowcip w swoim życiu.

- Tak, Baltazara. A co w tym śmiesznego?

- Nic. W sumie to nie wiedziałem, jak ma na imię. Gawor to Gawor.

- Rozumiem, czyli znacie się?

- Tak.

- Od kiedy?

- Hmm, chyba od podstawówki. On jest straszny o rok, przynajmniej tak mi się wydaje. Znam go z podwórka i nie pamiętam, jak dokładnie się poznaliśmy. To, co mogę o nim powiedzieć na sto procent, to to, że zawsze są z nim jakieś problemy.

- Czyli ma pan z nim na pieńku?

- Na pieńku? Nie powiedziałbym.

- Kto pana pobił? - Starszy milicjant pokazał palcem na jego twarz.

- A to? To tylko różnica zdań.

- Różnica zdań? Czyli nie ma pan nic wspólnego z tym, co się stało Baltazarowi Gaworskiemu?

- Nie wiem, co mu się stało, ale nie sędzę, żeby były to skutki naszego starcia. Nie będę tego ukrywać, ale niestety to on wczoraj był górą.

- Widział to ktoś?

- Tak, jego przydupas Kondziu i mój przyjaciel Sowa.

- O której miało to miejsce?

- Nie pamiętam. - Witek podrapał się po głowie, jakby to miało poprawić mu pamięć.

- Lepiej, żebyś sobie przypomniał.

- Hmm. To było około szesnastej, może siedemnastej. Potem jeszcze trochę położyłem z Sową, więc nie mogło być później. Siedzieliśmy na trzepaku za szkołą i gadaliśmy o głupotach.

- Z Sową, czyli Michałem Sowińskim?

- Zgadza się.

- Dobrze się znacie?

- Tak, przyjaźnimy się od jakichś dziesięciu lat.

- Jak długo tak sobie chodziliście?

- Rozstaliśmy się około dwudziestej, może dwudziestej pierwszej.

- Mamy świadka, który twierdzi, że groziłeś ofierze - wtrącił nagle siedzący dotychczas cicho funkcjonariusz po lewej stronie. Wyglądał, jakby dopiero co zaczął służbę i było to jego pierwsze przesłuchanie. Swoją posturą nie wzbudzał szacunku, a raczej uśmiech na twarzy. Za duży mundur i odstający przy szyi kołnierzyk świadczyły, że nawet nie dorósł do swojego służbowego ubrania.

- Ofierze? - spytał Witek zdziwiony. - Proszę spojrzeć na mnie. To chyba ja jestem ofiarą. Ale nigdzie tego nie zgłosiłem. To były takie nasze szczeniackie wygłupy - powiedział z coraz większym lękiem w głosie. Dopiero teraz dotarło do niego, że musiało stać się coś poważniejszego niż jego bójka z Gaworem.

- Proszę powiedzieć, czy groził pan Baltazarowi Gaworskiemu?

- Nie.

- Nie krzychał pan, że następnym razem skopie mu dupę i przyjedzie po niego karetka albo karawan?

Markowski patrzył na milicjanta i czuł, że pot spływa mu po plecach. Dokładnie tych słów użył, gdy Sowa odciągał go z pola bitwy, na którym dostał srogie baty. Michał nie chciał dopuścić, aby przyjaciel ucierpiał bardziej.

- Może tak, ale to nic nie znaczyło. Takie głupie teksty wkurzonego człowieka, który przegrał.

- Jaki był powód waszej bójki? - dopytywał beznamiętnym głosem młody milicjant, na którego Witek tak liczył.

- Jak dla mnie, to było jakieś nieporozumienie. Nie mógł zrozumieć, że to nie ja spotykam się z jego siostrą. Ktoś podobno złamał jej serce i teraz Gawor szuka winnego, bijąc się z każdym i oskarżając każdego osobnika płci męskiej. Tylko dlatego mi się dostało.

- W jakim stanie była ofiara, gdy się rozstawialiście?

- Naprawdę musicie go tak nazywać? Trochę to nie w porządku w stosunku do... - przerwał w pół słowa, widząc karcący wyraz twarzy Grylaka. - Czy mogę się dowiedzieć, o co tu chodzi?

- Czy to pan w dniu wczorajszym w okolicach dwudziestej pierwszej na terenie ogródków działkowych obok szkoły zaatakował Baltazara Gaworskiego?

- Boże, nie! - krzyknął, a widząc uśmiech zadowolenia na twarzy starszego z funkcjonariuszy, zrozumiał, że mu nie wierzą.

Niestety szybko okazało się to prawdą. Tłumaczenia i zapewnienia o własnej niewinności nic nie dawały. Wrzucono go do śmierdzącej salki dwa na dwa, która robiła za tymczasowy areszt, gdzie miał czekać na decyzję sądu. W końcu ten orzekł jedynie, że Witek jest niewinny. A później stało się coś znacznie gorszego.

## Rozdział 4

- Proszę pana, ja nic nie słyszałam - powiedziała starsza kobieta i poprawiła znoszony szlafrok, który naprędce na siebie narzuciła. Stała przed drzwiami do domu jak pies strzegący dostępu do swojego terytorium.

- To jak to się stało, że znalazła pani ciało? - spytał starszy aspirant Nikodem Grylak i wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę cameli.

Wiedział dobrze, że nie powinien palić, bo podczas ostatniej wizyty u kardiologa lekarz postawił sprawę jasno. Albo rzuci palenie, albo żona będzie niedługo bawić się na jego stypie. Spodziewał się, że urządziłaby niezłą imprezę, i nawet przez chwilę się zastanawiał, czy na złość jej nie rzucić nałogu, ale miłość do nikotyny była silniejsza niż nienawiść do żony, z którą mieszkał i był tylko z przyzwyczajenia i dla wygody. Wszystkie domowe rzeczy typu gotowanie i sprzątanie tak bardzo go przerażały, że wolał nie ryzykować samodzielnej konfrontacji z nimi, więc trwał obok kobiety, z którą od lat nic go nie łączyło, próbując nie wchodzić jej w drogę.

- To nie ja - odpowiedziała kobieta i zaczęła ostentacyjnie kaszleć, dając mu do zrozumienia, że nie podoba jej się jego zachowanie. Grylak jednak nic sobie z tego nie robił i dalej delektował się rozlewającą po jego ciele nikotyną.

- To kto?

- Mój mąż.

- Muszę z nim porozmawiać - powiedział lekko poirytowany. Miał wrażenie, że kobieta zupełnie nie rozumie wagi sytuacji.

- Niestety to niemożliwe.

- Niby dlaczego?

- Dałam mu środki nasenne. Mąż bardzo się stresuje takimi rzeczami. Jest niezwykle delikatny, zresztą jak wy wszyscy.

- Słucham? - spytał zdziwiony.

- No, taka smutna prawda. Jesteście delikatni jak kwiatki. Nie zastanawiał się pan nigdy nad tym, dlaczego to kobiety rodzą dzieci?

- Nie, mam inne problemy na głowie - odpowiedział, czując, że rozmowa idzie nie w tym kierunku, co powinna.

- Jakbyście to wy rodzili, umarlibyście z bólu i gatunek ludzki by nie przerwał. I tak jest ciężko, a to wszystko za sprawą waszej brawury.

- Brawury? - powtórzył po kobiecie z niedowierzaniem.

- Tak. Ostatnio uczyłam się z wnuczką geografii, podręcznik do siódmej klasy, i znalazłam ciekawą rzecz. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale gdy przyjrzałam się piramidzie wieku, to okazało się, że przede wszystkim w grupie seniorów, ale nie tylko, mężczyzn jest mniej niż kobiet. Oczywiście ktoś powie, że wojna...

- Dziękuję za podzielenie się obserwacjami, jednak bardzo chciałbym porozmawiać z pani mężem.

- Aha - powiedziała obrażona kobieta. - Proszę poczekać - rzuciła zrezygnowana, obróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami prowadzącymi w głąb małego domku. Po chwili pojawił się w nich mężczyzna. Wcale nie wyglądał na zmęczonego ani wyrwanego ze snu.

- Dzień dobry, starszy aspirant Nikodem Grylak, możemy porozmawiać? - spytał najmilej, jak potrafił.

- Tak, oczywiście. W sprawie tego chłopca?

- Niestety tak.

- Żona stwierdziła, że to może poczekać i mam się położyć - powiedział już słabszym głosem, jakby chciał usprawiedliwić swoją nieobecność.

- Rozumiem, jednak muszę porozmawiać z panem natychmiast. Pojedziemy na komendę czy woli pan usiąść tutaj? - Ruchem głowy wskazał na dom.

- Przepraszam. Zapraszam do środka.

Mężczyzna wszedł do budynku, powłócząc nogami, a milicjant za nim. Wnętrze wyglądało dokładnie jak większość mieszkań starszych ludzi, które odwiedzał, jednak już od progu wiedział, co je odróżnia od reszty. Wszędzie wisiały lub stały na półkach paprotki, powodując, że z każdego kąta atakowała go zieleń. Może gdyby budynek był większych rozmiarów, robiłoby to pozytywne wrażenie, jednak tutaj przytłaczało, sprawiając, że miał ochotę zakomunikować, iż muszą czym prędzej jechać na komendę.

Wiedział jednak, że w domowych warunkach mężczyzna będzie bardziej skłonny do współpracy. Ślimaczym tempem, które nadał gospodarz, w końcu dotarli do salonu, gdzie został zaproszony do stołu przykrytego ceratą w wyblakłe czereśnie.

- Na wstępie dziękuję za pomoc - rzucił milicjant, wyciągnął z kieszeni mały notes i usiadł na krześle, którego oparcie wyginało się za

mocno do tyłu, dając tym samym znak, że lepiej z niego nie korzystać. – Zanim przejdę do meritum, mam kilka pytań. Poproszę pana imię i nazwisko.

– Bohdan Zalewski.

– Data urodzenia.

– Dwudziesty drugi października tysiąc dziewięćset dwudziestego roku.

– Jest pan zameldowany tutaj?

– Tak.

– Rozumiem, że nigdzie pan nie pracuje?

– Nie. Od ośmiu lat jestem na emeryturze. Przez trzydzieści lat pracowałem w dziale kadr w jednej z firm.

– To pan znalazł chłopaka? – spytał milicjant nagle, czym zaskoczył mężczyznę. Jego ciało napięło się, a twarz zrobiła czerwona, jakby wstrzymał powietrze.

– Tak. Przepraszam, ale cały czas na wspomnienie o tym robi mi się słabo.

– Jak najbardziej pana rozumiem. O której to było?

– Jakoś koło siódmej rano. Nie lubię spać długo. Ela potrafi spać i do dziewiątej, ale ja budzę się znacznie wcześniej.

– I co pan robił rano? Proszę dokładnie wszystko opisać.

– Jestem o coś podejrzany? – spytał nagle mężczyzna i spojrzał z przerażeniem na żonę, która właśnie w tym momencie stanęła w drzwiach z tacą z napojami.

– Nie – odpowiedział starszy aspirant Nikodem Grylak, mimo że nie powinien składać takich deklaracji. Jednak patrząc na staruszkę, nie był w stanie wyobrazić sobie go mordującego chłopaka, szczególnie że widział rany ofiary. Nie były łatwe do zadania.

– Uff, bo się przestraszyłem, że o coś mnie oskarżycie...

– Proszę się nie stresować – powiedział, uśmiechając się, i spojrzał na kobietę, której wyraz twarzy już złagodniał. – Będę wdzięczny, jak opowie mi pan, co dokładnie się wydarzyło.

– Wstałem około siódmej. Od dawna nie śpię już z żoną, więc nie potwierdzi, ale ja tak wstaję od wielu lat. Mój organizm już inaczej nie potrafi. Kiedyś chciałem dłużej pospać...

- Pana milicjanta nie interesuje twoje spanie i wstawanie, tylko to, co stało się dzisiaj rano - wtrąciła kobieta, piorunując go wzrokiem.

- No tak. Więc wstałem. Ubrałem się i poszedłem zrobić herbatę, a następnie wyszedłem na mały spacer. Od lat mam problemy z biodrem, więc staram się jak najwięcej ruszać. Rano chodzę wokół domu, dopiero popołudniem... - Widząc spojrzenie żony, zaniemówił na chwilę. - Już gdy zszedłem na podwórko, wiedziałem, że coś jest nie tak. Furtka z tyłu naszej posesji była uchylona, a na sto procent ją zamykałem. Ruszyłem w jej stronę, po drodze mijałem mały domek na narzędzia, który zbudowałem dwadzieścia lat temu, i wtedy go zauważyłem. Siedział oparty o drzwi. Głowa mu wisiała, a ręce miał jakoś dziwnie ułożone. Zresztą cały wyglądał jak taka laleczka, bez życia. Pomyślałem sobie: „Ale się chłop upił!”. Jednak gdy podszedłem bliżej, wiedziałem, że to nie to. Miał dziurę w głowie, a jego cała twarz zalana była krwią.

- O Boże - pisnęła kobieta i położyła dłonie na ustach.

- Wiedziałem, że się przestraszysz, dlatego cię nie zawołałem - powiedział do żony. - Nie wiem, jak ktoś mógł zrobić coś tak strasznego.

- Znał pan ofiarę?

- Powiem szczerze, że nie wiem, bo jego twarz była cała umazana krwią. Poza tym gdy zobaczyłem ranę, popędziłem po telefon.

- Bardzo dobrze - skomentował milicjant. - A czy słyszeli państwo coś w nocy? - spytał już obojga.

- Nie - odpowiedziała kobieta jako pierwsza. - Zresztą marne szanse, żebym cokolwiek usłyszała, bo śpię w korkach do uszu, więc nic do mnie nie dochodzi.

- A pan? - Grylak spojrział na mężczyznę, licząc na jakiegokolwiek szczegóły.

- Niestety też nie pomogę, ale z innego powodu. - Mężczyzna pokazał na swoje ucho. Tkwił w nim aparat słuchowy.

- Rozumiem. Czy ostatnio działo się coś nietypowego? W sensie w ciągu ostatnich kilku dni?

- Nie - powiedziała gospodyni. - U nas jest dość spokojnie. Nikt nieproszony tutaj nie zagląda i jesteśmy na tyle daleko, że nie słyszymy bójek i awantur przy szkole.

- Bójek i awantur? - powtórzył po kobiecie, udając, że temat nie jest mu znany.

- Tak. Od lat okoliczni mieszkańcy, oczywiście ci, co mieszkają bliżej, opowiadają, że wieczorami jest tam nie do zniesienia. Młodzież, ale nie tylko, wybrała sobie to miejsce jako punkt spotkań, popijawek. Podobno nawet ostatnio ktoś tam zrobił urodziny. Puszczali głośno muzykę i bawili się jak gdyby nigdy nic.

- Państwa ten problem nie dotyczy?

- Na szczęście nie - ponownie odezwała się kobieta. - Tak jak mówiłam, u nas spokój i cisza. Dlatego gdy mąż przerażony przyszedł do mnie i powiedział, że niedługo będzie milicja, myślałam, że zmyśla. Jednak sekundę później podjechał niebieski samochód, więc wiedziałam, że musiało stać się coś strasznego. Mąż cały się trząsał. Nie był w stanie nic powiedzieć. Teraz wygląda jak inny człowiek. Dlatego zaprowadziłam go do pokoju, żeby się położył. On naprawdę jest bardzo delikatny. Jest po trzech zawałach, więc nie wiadomo, jak jego serce zareaguje na kolejny stres.

- Bardzo mi przykro. Nie będę już państwa męczył - powiedział, czym momentalnie wywołał rozluźnienie na twarzy kobiety. „Szkoda, że moja żona się o mnie tak nie troszczy”, pomyślał smutno. - Jeżeli coś sobie państwo przypomną, proszę do mnie dzwonić. - Wyrwał jedną z kartek ze swojego notesu i zapisał na niej swój numer telefonu oraz na milicyjną dyżurkę.

- Oczywiście, zadzwonimy - odpowiedziała kobieta, po raz kolejny nie dopuszczając męża do głosu.

## Rozdział 5

1987

- To niemożliwe! - krzyknął Witek Markowski, gdy tylko stanął twarzą w twarz z matką swojego przyjaciela.



Po dwóch dobach spędzonych w małej klitce został wypuszczony. Od milicjantów nie usłyszał żadnego wyjaśnienia poza lakonicznym „możesz iść”. Miał nadzieję, że w domu przywita go komitet powitalny, ale tak się nie stało. Matka siedziała na swoim fotelu i tępo patrzyła przed siebie. Oczy miała zaczerwienione od płaczu i trzęsa się. Zawsze się tak zachowywała w sytuacjach stresowych.

- Co się stało? - doskoczył do matki i przyklęknął.

Kobieta jednak nie reagowała. Tak jakby nie wychwyciła, że jej syn wrócił po dwóch dniach spędzonych na komisariacie.

- Coś stało się z Marysią? Z tatą? - dopytywał dalej.

W końcu nie widząc reakcji, chwycił ją za ramiona i potrząsnął. Dopiero to pomogło. Spojrzała na niego smutnym wzrokiem i powiedziała tylko:

- Sowa, on...

Zupełnie nie wiedział, co to mogło oznaczać, ale na pewno coś złego. Nie mogąc liczyć na matkę ani innych domowników, ponieważ nikogo nie było, puścił się biegiem do domu przyjaciela. Po niespełna trzech minutach wbiegał już do Sowińskich na klatkę. Drzwi do ich mieszkania były uchylone, tak jakby ktoś wiedział, że przyjdzie.

Wszedł jak do siebie. Przesiedział tu już tyle czasu, że czuł się jak we własnym domu. Zresztą tak go tutaj zawsze traktowano. Gdy zobaczył matkę przyjaciela, wiedział, że stało się coś strasznego. Najgorszego.

- Gdzie jest Sowa?

- On... - Spojrzała na niego przerażająco smutnymi oczami. - On nie żyje.

- To niemożliwe! - krzyknął. - Myli się pani. On zaraz wejdzie i powie jakiś głupi dowcip, którego nikt nie zrozumie.

- Nie - powiedziała, kręcąc przy tym głową. - Mój synek odszedł.

- Ale co się stało? Miał wypadek?

- Nie. Ktoś go zabił.

- Zabił... - powtórzył po kobiecie.

- Tak, ktoś odebrał życie mojemu... - wydukała kobieta i zaczęła głośno szlochać.

Chłopak stał na środku salonu w domu przyjaciela, wiedząc, że jego życie już nigdy nie będzie takie samo.

# Rozdział 6

1987

Anna Kozera patrzyła na kuzyna i zupełnie nie wiedziała, co ma mu powiedzieć. Jako niespełna szesnastolatka nie potrafiła wydusić z siebie kilku sensownych zdań, które mogłyby dać ukojenie w obliczu tragedii, jaka spotkała Witka. Bo tak trzeba było rozpatrywać śmierć przyjaciela, a dokładniej jego morderstwo.

Michał Sowiński został znaleziony na posesji starszego małżeństwa. Z tego, co mówili mieszkańcy Suchodoła, chłopak został pobity. I może by przeżył, gdyby przeciwnik nie wymierzył mu ostatniego ciosu starą deską, z której końca sterczały długie gwoździe. Prawdopodobnie resztką sił doczołgał się na działkę małżeństwa Zalewskich, gdzie wyzionął ducha.

Od tragedii minęło dziesięć dni, a nadal nikt nie wiedział, kto w tak okrutny sposób potraktował chłopaka. Przesłuchano wszystkich okolicznych fanów bijatyk, ale milicja nie wytypowała nikogo jako potencjalnego mordercy.

- Pamiętasz, jak Sowa wszedł na drzewo i bał się zejść? - rzuciła w końcu, nie mogąc patrzeć na kuzyna, który jak zahipnotyzowany wgapiał się w ścianę i ignorował ją. - Musiałeś wejść do niego i asekurować go przy zejściu. Pamiętam, jak płynęły mu łzy po policzkach, a ty cały czas powtarzałeś, że jest bardzo odważny. - Zero reakcji. - A pamiętasz, jak będąc na wakacjach u babci, wymył włosy płynem do odrdzewiania zamiast wodą deszczową? I wrócił bez swojej rudej fryzury. Miał głowę gładką jak pupa niemowlaka. - Zero reakcji. - No i moje ulubione chyba. Jak wymyśliliście sobie nocowanie w samochodzie. Wszyscy was szukali, a wy sobie smacznie spaliście na podwórku. Z rana Michał przypadkiem zwolnił hamulec i wjechaliście w trzy samochody. Mieliście wtedy po siedem lat? Może sześć? - rzuciła pytająco.

- Sześć - odpowiedział bez emocji. - Nigdy tak ojciec się na mnie nie wkurzył. Nie dość, że rozwaliliśmy jego auto, to na dodatek jeszcze inne.

- Wszystkie dzieciaki was podziwiała. Daliście czadu. Zresztą zawsze dawaliście.

- Dawaliśmy - powtórzył smutno. - Ja nic z tego nie rozumiem - powiedział w końcu normalnym tonem, a nie jak wcześniej grobowym, nieobecny. - Sowa zawsze unikał bójek. Wręcz parę razy uciekał gdzie pieprz rośnie, gdy ktoś szedł na niego z pięściami. Nienawidził takich sytuacji, dlatego się na mnie wkurzał, bo ja nie mam z tym problemu. Jak nie da się inaczej rozwiązać sprawy, to pięści idą w ruch. Wiem, że to taki prymitywny odruch, ale uwierz, niestety skuteczny. Ale on stronił od tego jak ognia. To musiał być ktoś z zewnątrz. Każdy u nas wiedział, że bójka z nim jest bez sensu, bo po jednym strzale padnie zemdlony lub będzie udawał trupa.

- Rozumiem. Masz na myśli kogoś konkretnego?

- Zupełnie nikt mi nie przychodzi do głowy. To ja zawsze robiłem głupoty. Wkurzałem nieodpowiednich ludzi. Ale nie Sowa. To dzięki niemu wielokrotnie uniknąłem wpakowania się w totalne szambo. Kiedyś na przykład chciałem jechać do Poznania na koncert. Rodzice oczywiście mi nie pozwolili. Już szedłem na autobus, ale po drodze zupełnie przypadkiem go spotkałem. - W tym momencie puścił do niej oczko. - I wiesz, co on zrobił?

- Nie.

- Tak mnie zagadał, że nie zdążyłem. - Zaśmiał się smutno. - Dobrze wiem, że zrobił to specjalnie, żebym nie wpakował się w kłopoty. Innym razem założyłem się z chłopakami, że wykapię się nago w rzecę. A muszę dodać, że była połowa listopada. Oczywiście zrobiłem to, tylko że oni zgarnęli moje ciuchy i uciekli. Nie dość, że zostałem nagi, to trząsałem się niemiłosiernie. To Michał pognał niczym wyścigówka do domu i przyniósł mi ubrania. A mógł mnie zostawić, żebym zrozumiał swój błąd.

- Zawsze był dobrym przyjacielem.

- Tak, dlatego nie odpuszczę - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Dowiem się, kto to zrobił.

- Co zamierzasz?

- Jeszcze nie wiem dokładnie, ale muszę dowiedzieć się, co się stało.

- Od tego jest chyba milicja?

- Niby tak, ale trzymali mnie przez dwa dni, bo wymyślili, że pobiłem Gawora. A teraz błędzą jak we mgle, nie mając pojęcia, co mogło stać się z Sową.

## Rozdział 7

1987

- Co się wtedy stało? - rzucił Witek, po czym wyciągnął paczkę papierosów, którą podwędził ojcu, i podał Gaworowi.

- Szczerze powiem, że nie wiem. Pamiętam, że się pobiliśmy, to znaczy ja stłukłem ciebie. - Ostatnie słowa wypowiedział z wyczuwalnym zadowoleniem. - A później... - Zawiesił głos i spojrzał na kolegę. - Nie pamiętam. Mam jakieś przebłyski, ale nie wiem, co jest prawdą, a co nie.

- A co pamiętasz?

- Tak jak powiedziałem, naszą bójkę. Jak chodziłeś, wykrzykując w moją stronę, że jeszcze mi dokopiesz, a później to niewiele. Bardziej Kondziu mi opowiedział. Podobno siedzieliśmy jeszcze chwilę na trzepakach, dopiłem piwo i się rozstaliśmy. Znając życie, to pewnie ruszyłem do domu. Znalaziono mnie w krzakach niedaleko. Zupełnie nic nie pamiętam.

- A kto cię znalazł?

- Ta głupia Krawczykowa.

- Ta, co ma tego szczekającego kundla, co gryzie po łydkach?

- Tak - odpowiedział Gawor i mocno się zaciągnął.

- Straszny pies. Kiedyś ugryzł Marysię. Myślałem, że wrzucę go do jeziora z kamieniem zawieszonym na szyi.

- Też bym tak pewnie zrobił, gdyby ruszył moją siostrę. Siostry to skarb - powiedział tonem, który zupełnie do niego nie pasował. Witek patrzył na kolegę zmieszany. Zawsze pewny siebie i taki do przodu, jak to mawiał jego ojciec, teraz siedział przygaszony.

- Wszystko w porządku?

- Tak, a co?

- Dziwnie się zachowujesz. A to mój przyjaciel zginął, nie twój - skomentował Markowski i rzucił kiepa przed siebie.

- Ta cała sytuacja mnie rozwała. Pierwszy raz w życiu wylądowałem w szpitalu.

- Masz pomysł, kto to był? - spytał Witek.

- Nie, ale...

- To dlaczego powiedziałaś, że to nie ja? - dopytywał zdziwiony. Gdy się rozstawali, Gawor zachowywał się tak, jakby był pewien, że to Witek złamał serce jego siostrze.

- Powiedziałaś, że to nie ty, więc czemu miałbym ci nie wierzyć?

- Aha - mruknął, zupełnie nie rozumiejąc. - A może to ci kolesie z Poznania, co przyjeżdżają na działki?

- Może. Nie wiem.

- Na pewno? Wszystko w porządku?

- Nie! - krzyknął. - Ktoś przypieprzył mi zniecka. Cały czas mi łeb pęka. Mam guza wielkości kurzego jaja, a był jak strusia. - Wskazał na lewą część głowy. - Milicja twierdzi, że prawdopodobniej ktoś mnie zaszedł od tyłu, jak wszyscy sobie poszliście. Jak jakiś tchórz. A gdy już leżałem na ziemi, to mnie kopał po całym ciele. Cały czas nery mnie naiwanają.

- A gdzie był wtedy Kondzio? - spytał Markowski.

Dopiero teraz się zorientował, że od dłuższego czasu nie widział chłopaka. Nigdy się z nim nie kumplował, ba, nawet nie rozmawiał w cztery oczy, ale w sumie to nie miałby chyba o czym. Chociaż właściwie nie znał go przecież. Może by się zdziwił. Pamiętał, jak kiedyś okazało się, że kuzyn, z którym za dzieciaka średnio się lubili i przez kolejne dziesięć lat ograniczali się do zdawkowego „cześć” podczas imprez rodzinnych, jest jednak fajnym gościem.

Podczas osiemdziesiątych urodzin ich wspólnej babci usiedli obok siebie. Przez dwie godziny każdy gapił się w przeciwną stronę, odliczając w myślach sekundy, aż w końcu jedząc zimne nóżki, rzucił:

- Mógłbyś podać mi sól?

I zaczęło się. Rozmawiali przez cały wieczór, a gdy wszyscy zaczęli się rozchodzić, oni jeszcze gadali. Później zostali sami, siedząc na pomoście i pijąc ukradkiem piwo. Okazało się, że obaj uwielbiają piłkę

nożną i mogą dyskutować o niej godzinami. A poza tym mają świra na punkcie filmu „Top Gun”, z którego sceny znali lepiej niż jakąkolwiek lekturę w szkole.

Tak samo mogło być z Kondziem, jednak nigdy dotychczas nie miał szansy, by się o tym przekonać.

- Mówiłem, że się rozstaliśmy. Każdy z nas poszedł do swojego domu - rzucił Gawor.

- Rozumiem, a teraz gdzie jest? Chyba nigdy nie widziałem cię samego - powiedział i zorientował się, że faktycznie tak jest. Pierwszy raz rozmawiał z Gaworem bez towarzystwa. Taka sytuacja nie miała miejsca nigdy, od kiedy się znali, a było to już ponad dziesięć lat. - Tak jak ja z... - wtrącił smutnym głosem, ale nie skończył.

- Chwilowo nie mam ochoty go widzieć - skomentował Gawor. - Wkurzył mnie, bo stwierdził, że mam dać Helenie żyć, że niby może się bzykać, z kim chce - prychnął z irytacją.

## Rozdział 8

1987

- Do cholery, co tu się dzieje? - krzyczał niewysoki mężczyzna do pięciu siedzących przy biurkach milicjantów. Swoją posturą nie sprawiał wrażenia władczego i pewnego siebie. Wielokrotnie mylił tym rozmówców, szczególnie tych spod ciemnej gwiazdy. Jednak gdy otwierał usta, nikt już nie wątpił, że ma charakterek. - Wyjechałem raptem na tydzień! Tydzień, siedem dni, a gdy wracam, zastaję Suchodół w jakiejś ruinie. Czy tylko prowadzeni za rączkę jak przedszkolaki jesteście w stanie coś zrobić poprawnie? Jeden trup, pobicie, trzy kradzieże samochodów! Coś jeszcze?!

- No... - próbował powiedzieć coś siedzący najbliżej funkcjonariusz, ale widząc piorunujące spojrzenie komendanta Jakubiaka, poczuł nagłą suchość w ustach i język przyklejający się do podniebienia. - Jeszcze ktoś włamał się na działki i ukradł z kilku sporo owoców...

- Rewelacja. - Mężczyzna chodził wzdłuż ściany, nerwowo obgryzając skórki. - Czy wy wiecie, że jeden ze skradzionych samochodów należał do mojej teściowej?! - Ostatnie słowo wykrzyczał tak głośno, że wszyscy podskoczyli. Prawdą było, że nikt nie miał o tym zielonego pojęcia, chociaż milicjant, który spisywał zawiadomienie, kilka razy usłyszał od starszej i mocno zdenerwowanej kobiety, że zna komendanta. Ale ani razu nie wspomniała, że jej córka poślubiła szefa suchodolskiej milicji. Oczywiście niewiele by to zmieniło, jednak świadomość, z kim się rozmawia, mogła dodać sprawie trochę większego rozpędu. - Widzę, że niewiele będę miał z was pożytku. Grylak, do mojego gabinetu! - rzucił do najstarszego i najbardziej doświadczonego z zebranych milicjantów. - A reszta do roboty. Jak szybko nie posprzątaacie tego bałaganu, to nie ręczę za siebie.

Nie czekając na jakiegokolwiek komentarze, ruszył do swojego biura, a za nim jak na skazanie podreptał wytypowany funkcjonariusz.

- Opowiadaj - powiedział komendant, gdy w końcu obaj usiedli w jego gabinecie, który część osób nazywała norą ze względu na panującą tam zawsze ciemność.

- Najważniejsze zdarzenie to śmierć Michała Sowińskiego. Chłopaka znaleziono na posesji Zalewskich.

- Znam ich. Pani Elżbieta bardzo się naprzykrzała?

- Trochę, ale dałem radę. Na początku nie chciała mi pozwolić na rozmowę z mężem.

- To w jej stylu. Ona wszystko wie najlepiej, a ten mąż siedzi pod takim pantoflem, że aż strach. Moja mama chadzała do niej kiedyś na kawkę po pracy, to zawsze wracając, kazała tacie dziękować, że nie jest taką zołą. Podobno facet skakał wokół niej i wykonywał każde jej polecenie.

- To niewiele się zmieniło. Ale w końcu wszystko mi powiedział.

- Rozumiem, że nic ciekawego nie wniósł do sprawy.

- Niestety nie. On tylko znalazł chłopaka, ale nic nie widział. Nikt nic nie słyszał.

- Standardowo. A o której zginął?

- Według lekarza chłopak zmarł między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią. Maksymalnie do północy. Ktoś go nieźle pobił, chociaż prawdopodobnie sam nie powinien mieć żadnych uszczerbków.

Uderzył go najpierw deską, która niestety była zakończona gwoździami, a później skopał. Nie wygląda to na przypadkową zbrodnię. Widać, że miał z kimś na pieńku.

- Jacyś świadkowie?

- Niestety nie. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał.

- Co wiemy o ofierze?

- Michał Sowiński, osiemnaście lat. Kończył właśnie liceum. Niezbyt wyróżniający się uczeń, ale z tego, co powiedziała nauczycielka, nie dlatego że głupi, po prostu nie chciał, żeby się z niego śmiano, że jest kujonem, więc udawał głupszego, niż był w rzeczywistości. Nauczycielka stwierdziła, że spokojnie mógłby mieć dużo lepsze oceny. Miał dwójkę rodzeństwa, młodszego. - Milicjant recytował informacje beznamiętnie, jakby wymieniał listę zakupów. - Jeżeli chodzi o rodziców, to matka krawcowa, ma mały zakładzik przy kościele, a ojciec jest mechanikiem od dużych maszyn. Pogadałem z sąsiadami. Spokojna, miła i sympatyczna rodzina. Chłopaka też chwalili. Czasami coś sąsiadom pomagał. Jedyne co, to średnio wypowiadali się o jego towarzystwie.

- Czyli? - wtrącił komendant. Jego syn był w podobnym wieku, więc niestety znał lokalną młodzież.

- Witold Markowski.

- Znam. Kolejny aspirujący do roli postrachu okolicy, ale myślę, że jest niegroźny. I chyba zbyt inteligentny na głupie rzeczy większego kalibru.

- Też tak mi się wydaje. Tylko on nie mógłby nic zrobić, bo zamknęliśmy go na czterdzieści osiem godzin.

- A czym sobie zasłużył? - dopytywał zaintrygowany komendant.

- Tak jak szef powiedział przed chwilą na odprawie, poza zabójstwem mieliśmy sprawę pobicia. Poszkodowanym jest Gawor, to znaczy Baltazar Gaworski, a Markowskiego podejrzewaliśmy, bo wcześniej mieli jakieś spięcie.

- Co tu się dzieje? - rzucił komendant, założył ręce na czubek głowy, cały czas kręcąc nią z niedowierzaniem.

- Próbujemy się dowiedzieć.

- Jakoś nie słyhać o waszych sukcesach.

- Wiem, ale...



- Gównu obchodzą mnie wasze „ale”. Czy wy tego nie widzicie? Te sprawy muszą się łączyć. Nie ma innej opcji. W takie zbiegi okoliczności przestałem wierzyć po tygodniu pracy w milicji.

- Rozumiem.

- Macie cokolwiek?

- Matka tego zamordowanego chłopaka powiedziała, że od kilku dni dziwnie się zachowywał.

- To znaczy bał się kogoś? - wtrącił.

- No właśnie nie. Zachowywał się jak małe dziecko, które odkryło, gdzie rodzice schowali prezenty świąteczne.

- To może powiedział coś matce?

- Niestety nie.

- A rozmawiałeś z kolegami, dziewczyną, rodzeństwem?

- Tak. Siostra potwierdziła, że był jakiś nakręcony, ale nic poza tym. Zresztą dziewczyna nie była zbyt rozmowna. Cały czas opowiadała, że ostatnie, co zrobiła, to pokłóciła się z bratem o posprzątanie po obiedzie. Była jej kolej, a mimo to poszła do koleżanki, zostawiając bajzel, a gdy matka wróciła z pracy, jemu jako starszemu się dostało.

- A ktoś inny wiedział coś o jego podeksycytowaniu?

- Niestety nie. To chyba tyle... - Grylak zaczął wstawać, czując, że to koniec spotkania.

- Siadaj. A co z tymi kradzieżami? Teściowa nękała nas przez pół wyjazdu, płacząc żonie w słuchawkę z powodu utraty swojego ukochanego poloneza. Nawet bym się tym przejął, tylko ona nie jeździła nim od pięciu lat, od kiedy zmarł teść.

- Przesłuchaliśmy trzech podejrzanych, którzy ostatnimi czasy trudnili się takimi rzeczami, i dowiedzieliśmy się od jednego, że obecnie jakaś nowa grupa z Poznania powiększa swoje zasięgi terytorialne. Dzisiaj mam pojechać do kolegi i pogadać na temat tych zdarzeń.

- A wracając do sprawy Sowińskiego i Gawora, może stanęli komuś na odcisk? - powiedział komendant i zapalił papierosa, nie pytając podwładnego, czy też ma ochotę. Niepisaną zasadą było to, że tylko szef może palić na komendzie.

- Tylko komu?

- Nie wiem, tak kombinuję. Musimy szybko to rozwikłać, bo ci z Poznania już wydzwanają. No i bezwzględnie sprawa tych kradzieży. Inaczej żona jaja mi urwie. A teraz do roboty.

## Rozdział 9

1987

- Martwię się o Helenę - powiedziała Marysia i usiadła obok Anny. - Wiesz, co u niej?

Śmierć Sowy odbiła się na wielu osobach. Witek zamknął się w swoim pokoju i wychodził tylko do szkoły i - co zadziwiające - na spotkania z Gaworem, z którym mocno się skumplował, tak jakby ta tragedia ich zbliżyła.

Wśród młodzieży krążyły różne wersje tego, jak zginął chłopak. Jedni mówili, że miał siekierę wbity w mózg. Inni twierdzili, że ktoś do niego strzelił.

Jednak najbardziej wiarygodnym źródłem informacji okazała się koleżanka Marysi z liceum, z równoległej klasy. Jej ojciec pracował w milicji. Pewnego dnia przyniosła do szkoły podwędzone ojcu zdjęcia i podczas długiej przerwy utworzył się wokół niej wianuszek dzieciaków. Uczniowie byli żądni szczegółów, poza tym liczyli, że zobaczą miejsce zbrodni.

- Wiedzą, kto to zrobił? - pytała chuda trzecioklasistka, której nikt nie lubił za jej wścibstwo.

- Jeszcze nie - odpowiedziała Renata Grylak. - Ale to kwestia czasu, jak mój tata go złapie - rzuciła pewnym głosem, jakby mogła mieć wpływ na wyniki śledztwa.

- Pokażesz w końcu te zdjęcia? - ponaglała inna dziewczyna.

Córka milicjanta rozejrzała się dookoła i nie widząc żadnego nauczyciela, wyciągnęła fotografię. Jedyne, co zobaczyła Maria Markowska, to rana w prawej części czaszki, na skroni. Więcej nie wyłapała, bo momentalnie zamknęła oczy i uciekła.

Znała Sowę od wielu lat. Zawsze traktował ją jak gówniarę, ale mimo to zwracał się do niej z szacunkiem, dlatego tak bardzo to przeżywała. A teraz doszedł strach o przyjaciółkę. Od dawna kumplowała się z Heleną Gaworską, siostrą średnio lubianego przez jej brata Gawora. Witek nieraz robił jej przez to wyrzuty, ale nie przejmowała się tym zupełnie.

- Wiesz, co się dzieje z Helą? - raz jeszcze spytała Marysia kuzynkę, nie widząc żadnej reakcji na wcześniejsze zaczepne zdanie.

- A niby co ma z nią być? - odpowiedziała Anna, która nigdy darzyła Gaworskiej sympatią. Nie dlatego, że było z nią coś nie tak, ale z bardzo przyziemnego powodu. Była zazdrosna o jej relację z kuzynką, która wielokrotnie wybierała towarzystwo koleżanki, a nie jej.

- Nie ma jej od kilku dni w domu. Podobno dokądś wyjechała.

- To co się ty stresujesz?

- Za tydzień jest konkurs historyczny, do którego od dłuższego czasu się przygotowujemy - powiedziała roztrzęsionym głosem Marysia.

- Może stwierdziła, że i tak nie ma szans - rzuciła Anna.

- Przecież wiesz, że jest jeszcze ambitniejsza niż ja. Nie odpuściłaby tak po prostu.

- To co według ciebie mogło się stać?

- Nie wiem. Ale może ma to coś wspólnego z tym chłopakiem...

- Z kim? - spytała kuzynka, nagle zainteresowana.

Ania nigdy nie należała do osób, które wścibiają nos w nie swoje sprawy, ale taka informacja zdecydowanie ją zaciekawiała. Była o rok starsza od Marysi i Heleny, ale jej doświadczenia z płcią przeciwną były marne. W pierwszej klasie liceum dała się zaprosić do kina przez starszego o rok chłopaka. Miała wrażenie, że złapała Pana Boga za nogi, ale mocno się pomyliła. Dobrze pamiętała swoją ekscytację spotkaniem. Ubrała się jak na niedzielną wizytę w kościele. Wyciągnęła z szafy najlepszą sukienkę, wyczyściła znoszone buty i stawiała się we wskazanym miejscu. Gdy przyszła, chłopak już czekał. Nie należał do najprzystojniejszych. Miał lekko tłuste włosy i zeza w lewym oku, ale sprawiał wrażenie niezwykle zainteresowanego jej osobą. Cały czas o coś pytał:

- Grasz na jakimś instrumencie? - rzucił, gdy stali w kolejce po bilety.

- Nie. Zupełnie nie mam talentu. Mój tata gra na gitarze, ale ja nie potrafię się nauczyć. A ty?

- Ja też na niczym nie gram. A byłaś kiedyś w Poznaniu?

- Tak - odpowiedziała zdziwiona. Do stolicy Wielkopolski było raptem trzydzieści kilometrów, więc większość okolicznych dzieciaków odwiedziła ją nieraz w ramach wycieczek szkolnych. - A ty?

- Tak, byłem. A co chcesz robić po szkole?

- Nie wiem - powiedziała zmieszana. Zaczynała się czuć jak na jakimś przesłuchaniu albo co najmniej jak podczas rozmowy z dawno niewidzianą ciotką, która przy okazji sporadycznych spotkań rodzinnych chce dowiedzieć się wszystkiego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich pięciu lat.

Mimo rosnącej frustracji grzecznie zносиła jego kolejne pytania, których absurdalność rosła wykładniczo. Chwilę przed kupieniem biletów spytał, czy chciałaby polecieć w kosmos. W pewnym momencie już miała ochotę rzucić, że zapomniała o zupie na gazie, ale się powstrzymała. Kupili bilety i usiedli na wskazanych na nich miejscach. Gdy tylko zgasły światła, chłopak zamilkł jak za dotknięciem magicznej różdżki. Anna odetchnęła, licząc, że jej koszmar się skończył. Wtedy jednak jej towarzysz zrobił coś zadziwiającego. Schylił się i szybkim ruchem podciągnął jej sukienkę do góry, jednocześnie wsuwając pod nią rękę. Gdy poczuła jego dotyk w strefie intymnej, zatkało ją. Przez ułamek sekundy myślała, że to jakaś pomyłka, że wcale tak nie chciał, ale gdy zobaczyła jego uśmiech, zerwała się na równe nogi i uciekła, zostawiając chłopaka samego. Dlatego wszystkie sprawy damsko-męskie wzbudzały w niej zainteresowanie, ponieważ sama ich unikała i nie miała praktycznie żadnych doświadczeń.

- Nie wiem, kim on jest. Nie chciała mi powiedzieć. A to, co wiem na pewno, to to, że bała się Gawora. - Marysia westchnęła smutno.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem, pytałam kilka razy i nic. Zdradziła tylko, że już niedługo wszystko się wyjaśni, a wtedy mnie opowie wszystko jako pierwszej. Obiecała, a teraz zniknęła... Może wyjechała z nim?

- Wróci.

- Wiem, ale tak bardzo jej teraz potrzebuję. Sowa i...

- I co? - dopytywała Anna, czując, że kuzynka chciała coś jeszcze powiedzieć.

- Nic. To nieistotne.

- A tobie co? Jakaś nieswoja jesteś. Też masz jakieś problemy sercowe? - rzuciła zupełnie bez przekonania, jednak mina kuzynki wskazywała, że trafiła. - Czemu mi nic nie powiedziałaś?

- To nic ważnego. Tak naprawdę to nikogo nie ma. Ja tylko wzdycham do takiego jednego, ale on nawet nic o mnie nie wie.

- Rozumiem. To dla niego ostatnio tak się zmieniłaś?

Marysia spojrzała na kuzynkę smutnym wzrokiem, jednak pomimo jej próśb nie powiedziała nic więcej.

## Rozdział 10

1987

Starszy aspirant Nikodem Grylak miał wrażenie, że wśród młodych ludzi, których zwykle przesłuchiwał, zapanowała jakaś zmowa milczenia albo otępienie wynikające z braku świadomości, co się stało. Został zabity osiemnastoletni chłopak, który podobnie jak oni miał przed sobą całe życie, a większość podchodziła do tego zupełnie bez emocji.

- Ja nic nie wiem.

- Nie znałem gościa.

- A czemu mam z panem gadać?

Takie teksty słyszał praktycznie za każdym razem. Nikt nie chciał z nim rozmawiać ani nie interesował się poczynaniami milicji. Jedynym wyjątkiem był Witold Markowski, który okazał się prawdziwym przyjacielem zmarłego. Chłopak codziennie przychodził na komendę i dopytywał nie tylko o szczegóły śledztwa, których oczywiście milicjant nie mógł zdradzić, ale równie często o sposób prowadzonych przez nich działań:

- Wy chodźcie od domu do domu i pytacie po kolei wszystkich czy dzwonicie? - pytał podczas ostatniej wizyt.

- Chodzimy - odpowiedział, trochę już przygotowany na tego typu dopytywanie.

- A czy macie jakieś specjalne aparaty do robienia zdjęć na miejscu zbrodni, czy używacie takich zwykłych?

- Mamy profesjonalny sprzęt, ale z tego, co wiem, to każdy, kto ma kupę kasy, może taki mieć.

- A czy...

Przerwał chłopakowi już trochę poirytowany:

- Ja wiem, że chcesz, żebyśmy znaleźli mordercę jak najszybciej, ale jak zawracasz mi głowę, to nie mam czasu na swoją pracę. Dlatego grzecznie cię proszę, abyś dał mi pracować.

Chłopak niechętnie opuścił funkcjonariusza, dając mu możliwość kontynuowania pracy. Nikodem Grylak siedział przy swoim biurku i po raz nie wiadomo który analizował zdjęcia z miejsca morderstwa, a także zeznania Baltazara Gaworskiego dotyczące jego pobicia i zastanawiał się, w jaki sposób te sprawy mogły się łączyć. Coraz mniej wierzył w przypadek. Obaj chłopcy zostali uderzeni czymś twardym. Michał Sowiński na pewno deską, która leżała niedaleko w krzakach. Baltazar Gaworski też musiał czymś oberwać, bo jego rana nie wyglądała, jakby była zadana pięścią.

Chwycił za długopis i w leżącym przed sobą notesie zaczął wypisywać wszystko, co przychodziło mu do głowy. Od zawsze tak robił, czasami generując najbardziej absurdalne pomysły:

1. Gang z Poznania - chłopaki stanęły im na drodze.

2. Witold Markowski pobił Gawora, a później chciał się pozbyć świadka, czyli swojego przyjaciela. Tylko ktoś mu pomógł (kto?), bo sam był w areszcie.

3. Miał z tym coś wspólnego chłopak siostry Gawora - tylko co? I kim jest?

Patrzył na listę z lekkim zniesmaczeniem. Żaden z tych pomysłów do niego nie przemawiał. W tym momencie za jego plecami wyrósł młody milicjant, który zaczął pracę na komendzie raptem miesiąc temu. Nie zdążyli się nawet dobrze poznać, dlatego gdy nowy stanął metr od jego

biurka, nie był w stanie przypomnieć sobie jego imienia i nazwiska, więc widząc minę świadcząca, że ma jakąś sprawę, rzucił:

- Co jest?

- Przyszła jakaś pani i chyba chce z tobą gadać.

- Chyba?

- To znaczy nie wymieniła konkretnie ciebie z imienia i nazwiska, ale z opisu sytuacji wynika, że może cię to zainteresować.

- To dawaj ją.

Chciał jeszcze dopytać, o co chodzi, ale mina funkcjonariusza świadczyła o ogromnym stresie związanym już z samą rozmową z wyżej postawionym kolegą. Grylak dobrze pamiętał, jak sam zaczynał pracę w milicji i przerażało go wszystko - rozmowy z ludźmi przychodzącymi na komendę, przesłuchiwanymi, a także z kolegami. Bał się, że coś palnie i zostanie uznany za niekompetentnego i niegodnego zawodu milicjanta.

Niespiesznie wstał od swojego biurka i ruszył za mężczyzną. Przy drzwiach wejściowych stała niezwykle niska starsza kobieta, która patrzyła na zdjęcie komendanta Jakubiaka.

- Pamiętam, jak w pierwszej klasie szkoły podstawowej przyszedł na WF w piżamie, myśląc, że to strój sportowy. Kilku kolegów się z niego śmiało i bardzo się tym zestresował. Nie chciał chodzić do szkoły. Wezwałam go wtedy do gabinetu i powiedziałam, że ma być ponad tymi matołami, co śmieją się z każdego.

- Tego nie wiedziałem o szefie.

- Oj, mogłabym opowiadać o nim godzinami. Przez całe życie pracowałam w naszej szkole podstawowej, a nawet byłam dyrektorką.

- To pani jest tą sławną... - Zawiesił głos, bo przezwisko nadane kobiecie niekoniecznie uchodziło za miłe.

- Żyletą - skończyła za niego i uśmiechnęła się sympatycznie. - Ja dobrze wiedziałam o tym, co gadają za moimi plecami, zresztą mi to pasowało. Dzisiaj młodzież się zagłaskuje. Mam wrażenie, że jak aktualni uczniowie podstawówek dorosną, to nastąpi koniec świata. Wszystko im wolno. Wszystko podstawia się im pod nos i przez to mają dwie lewe ręce do roboty. Wiem, że rodzice chcą im umilić życie, ale to tak nie działa. Kiedyś to jak dzieciakowi się nie chciało, brało się pas i od razu wstępował w niego duch do pracy. Ja oczywiście nie lałam

dzieci, robili to za mnie rodzice. Ja tylko ich straszyłam i byłam w tym skuteczna.

- Rozumiem - skomentował beznamiętnie milicjant. Zgadzał się z kobietą w większości kwestii, ale jej słowa nie pasowały do postury małej, sympatycznej babci. - Może gdzieś usiądziemy? - rzucił, pragnąc zakończyć pogaduszki i przejść do meritum.

- Tak, chętnie. Zmęczyłam się trochę.

Nikodem Grylak poprowadził kobietę do sali, która w przyszłości miała robić za pokój do przesłuchań, ale na razie pełniła funkcję pomieszczenia socjalnego. Nie chciał zabierać staruszki tam, gdzie zazwyczaj rozmawiają z podejrzanymi, aby niepotrzebnie jej nie straszyć.

- Chce pani szklankę wody? - zaproponował i od razu zganił się w myślach. Poza kranówką, która nie była dobrej jakości, raczej ciężko było o tak prosty napój. - Albo kawę czy herbatę?

- Młodzińcze, wiem, że masz masę roboty, więc nie będę robić kłopotu.

- Nie byłoby żadnego - rzucił i wyciągnął swój notes. - To zacznijmy. Mogę poprosić o imię i nazwisko?

- Irena Kaczmarska.

- Data i miejsce urodzenia?

- Piąty września tysiąc dziewięćset piętnastego roku, Suchodół.

- Miejsce zamieszkania?

- Suchodół, Kamienna dwadzieścia jeden.

- Czym się pani zajmuje? - spytał, mimo że znał odpowiedź.

- Niczym, jestem na emeryturze.

- Dobrze, proszę powiedzieć, po co pani przyszła.

- Ostatnio bardzo się pochorowałam. Mam piątkę wnucząt, w tym dwójkę w wieku przedszkolnym. Ma pan dzieci? - spytała.

- Tak, dwójkę.

- W jakim wieku? - dopytywała dalej kobieta, wywołując dość mieszane uczucia u funkcjonariusza.

- Córka ma piętnaście lat, a syn pięć.

- Czyli liceum i przedszkole.

- Zgadza się - skłamał.



Co do córki mówił prawdę, ale syn siedział w domu z mamą. Zresztą córka również nie doświadczyła życia przedszkolnego. A wszystko za sprawa traumy małżonki, która nienawidziła chodzić do przedszkola, a była do tego zmuszana. Od kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, za punkt honoru postawiła sobie, że nie zrobi takiej krzywdy swoim dzieciom. Oczywiście chodziła z nimi na place zabaw, aranżowała spotkania z innymi dziećmi, ale ich małe nóżki nigdy nie przekroczyły progu przedszkolnego budynku.

- To pewnie choroby były i są u was na porządku dziennym. Kiedyś jak pracowałam w szkole, byłam zdrowa jak koń. Myślałam, że jestem niezniszczalna. Moje koleżanki padały jak muchy, a ja zawsze zostawałam na posterunku, co dodatkowo potęgowało wydzwięk mojego przezwiska. Przecież „Żyleta” musi być niezniszczalna, i faktycznie taka byłam. Niestety to się skończyło. Dziesięć lat temu przyszła na świat moja pierwsza wnuczka Julka. Później Janek, Kuba, Sebastian, a dwa lata temu Emilka. Słodkie dzieciaki, ale jak córka lub syn z nimi wpadają, zawsze któreś jest chore. Oczywiście rodzice twierdzą, że to nic takiego, ale później ja sama siedzę w domu i muszę sobie radzić z glutem do pasa lub rozwolnieniem. - Ostatnie słowo powiedziała z lekkim rozbawieniem, wywołując konsternację u milicjanta. - Więc dopadło mnie jakieś choróbko. Najpierw miałam gorączkę, później zainfekowało mi gardło, a na koniec załaziła mnie fala kataru, której nawet główka czosnku nie mogła pokonać.

- Główka czosnku? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak, jedyny słuszny sposób na zarazę, ale niestety tym razem nie dał rady. Musiałam zadzwonić po znajomego lekarza, który zalecił nawet wycieczkę do szpitala, ale grzecznie odmówiłam, więc łaskawie odwiedził mnie w domu. Leżałam w sumie dwa tygodnie, dlatego dopiero dzisiaj przyszłam opowiedzieć o tym, co słyszałam na działkach.

- Tych obok szkoły?

- Tak, tych, co młodzież uznała za swój teren, mimo że każda parcela ma swojego właściciela od lat.

- Niestety taka jest prawda.

- To efekt tego, o czym mówiłam wcześniej. Młodzież aktualnie na ma żadnych autorytetów, nikogo i niczego nie szanuje...

Kobieta trajkotała jak nakręcona katarynka. Grylak najchętniej by jej przerwał, ale wiedział, że może przynieść to odwrotny efekt. Kaczmarska się obrazi, totalnie zamknie i nie pomoże im, bo uzna, że nie są tego godni. Grzecznie siedział, potakując, mimo że nie wyłapywał sensu słów wyrzucanych jak pociski z karabinu.

- I wtedy szłam z Sebastianem. - W końcu przeszła do sedna sprawy. Wyprostował się i nadstawił uszu. - Młody uwielbia chodzić, więc zabrałam go na spacer. Mam taką sprawdzoną trasę. Z mojego domu idę w stronę kościoła, później skręcam przy szkole, a następnie przez działki i do stacji kolejowej. W dobrym tempie jest to trzydzieści, czterdzieści minut, a z młodym jakaś godzina. Zabrałam go, bo mój syn wyglądał marnie. Biedak nie sypia po nocach, bo Emilka go budzi, więc chciałam, żeby trochę pospał. Więc zostawiłam go w domu i zabrałam młodego, bo tylko z nim przyjechał.

- I co się zdarzyło na działkach? - wtrącił, bo nie był w stanie dłużej tego słuchać.

- Młody szedł idealnie. Trzymał się za rękę i opowiadał jakąś historyjkę, którą wymyślił ze swoim przyjacielem. Muszę powiedzieć, że niezwykle wciągającą. Przeszliśmy trzy czwarte trasy, gdy zachciało mu się siku. Sebastianek chciał się wysikać gdziekolwiek, jak to prawdziwy facet, ale nie pozwoliłam mu. Moja sąsiadka ma swoją małą działkę. Za każdym razem mówi, że jakbym potrzebowała, to mogę skorzystać. Posiedzieć chwilę, zebrać owoce i takie tam. Więc skorzystałam, tylko nie tak, jak miałam. Ma tam mały wychodek, więc młody zrobił siku. Chwilę posiedzieliśmy na ławce i jak już wychodziliśmy, usłyszałam czyjeś krzyki.

- Zanim przejdziemy dalej, to proszę powiedzieć, kiedy to było.

- No tak, to było dokładnie we wtorek, prawie trzy tygodnie temu. Dzień przed tym, jak znaleziono tego martwego chłopaka. Bo to on się kłócił - powiedziała kobieta, widząc zniecierpliwienie na twarzy milicjanta.

- Michał Sowiński?

- Tak.

- A skąd pani wie?

- Znałam jego babcię. Panie, świeć nad jej duszą. Bardzo mądra kobieta, która poświęciła swoje życie dla rodziny. Ale co chyba

najważniejsze, to przychodziłam do młodych Sowińskich na korepetycje z matematyki. Do Michała nie, bo on miał głowę do cyferek, ale jego rodzeństwo już nie. Młodsza siostra do siódmej klasy nie mogła się nauczyć tabliczki mnożenia, a ich brat nie był już takim beztalenciem, ale też sobie średnio radził.

- Rozumiem, co dokładnie pani usłyszała?

- To była kłótnia. Młody kłócił się z tą, no... - Kobieta zaczęła się jąkać, co wywołało u niej zdenerwowanie.

- Spokojnie.

- Pamięć już nie taka. Wie pan, kiedyś znałam „Pana Tadeusza” na wrywki. Wszystko wchodziło mi do głowy bez problemu, a teraz czasami muszę się zastanowić, jak moje wnuki mają na imię. To jest straszne, co wiek robi z głową.

- Niestety. Może pani spróbuje opisać tę osobę?

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się smutno. - Ona ma chyba piętnaście lub szesnaście lat i jest siostrą tego...

- Markowskiego?

- Nie. Wituś jest niezwykle miłym i uczynnym chłopakiem. Chodzi o tego, co pretenduje do bycia gangsterem.

- Gaworskiego? - spytał zdziwiony.

- Tak.

- Jest pani pewna?

- Tak, na sto procent. Ja ostatnio nie mogę przypomnieć sobie, jak ludzie mają na imię czy nazwisko, ale jak kogoś zobaczę albo usłyszę, to już pamiętam.

- To super. Słyszała pani, o co dokładnie się kłócili?

- To była końcówka ich wymiany zdań, ale ona próbowała go przekonać, aby nie mówił czegoś jej bratu. On twierdził, że musi, bo to źle się skończy.

- Jak to brzmiało?

- Sama nie wiem. Jak leżałam w łóżku, zaczęłam sobie wymyślać, że to była kłótnia kochanków, ale jak tu dzisiaj szłam, to jakoś zaczęłam mieć wątpliwości.

- Niestety z czasem zaczyna się zacierać sens słów i ich brzmienie. Jednak jest to niezwykle ważna informacja, o której nie miałem zielonego pojęcia.

- Cieszę się - odpowiedziała zadowolona starsza pani.

## Rozdział 11

1987

- Mówiłaś, że ta dziwna Renata pokazała ci zdjęcie Sowy. Jak on wyglądał? - spytał Witek siostry, mimo że bał się odpowiedzi.

- No... jak on.

- Przestań, wiesz, o czym mówię. Myślisz, że cierpiał? - zadał kolejne niepokojące go pytanie.

Od kiedy tylko dowiedział się o tym, co się stało, przerażała go myśl, że przyjaciel cierpiał, a on go nie uchronił. Zawsze byli nierozłączni. Część osób się z nich śmiała, bo przypominali Flipa i Flapa. On wysoki, wysportowany, a Michał zawsze z jakimś pączkiem lub ciastkiem w kieszeni. Intelktualnie nie różnili się bardzo, chociaż do Markowskiego przyłgnęła łaska tego głupszego. Nigdy mu to nie przeszkadzało, więc nie oponował.

Gdy przyszedł do niego do domu milicjant prowadzący sprawę morderstwa przyjaciela, bo tak zaczął o tym myśleć, po raz kolejny się zdziwił.

- Czy Michał Sowiński spotykał się z kimś? - rzucił milicjant zniecierpliwiony, zaskakując go.

- Ale z kim?

- Z jakąś dziewczyną.

- Dziewczyną? - spytał z lekkim uśmiechem na twarzy.

- No wiesz, taka osoba płci przeciwnej niż ty czy ja.

- Rozumiem, ale nie.

- Dlaczego nie? Skąd ta pewność?

- Boby mi powiedział. Znaliśmy się od zawsze. Był moim przyjacielem.

- To chyba jednak nie mówił ci wszystkiego.

- A kto twierdzi, że było inaczej?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. Rozumiem, że nie wiesz o żadnej dziewczynie.

- No nie. Spotykał się kiedyś z jedną, ale tylko się całowali. Stwierdził, że była zbyt napastliwa, a on chciał poczekać. Zresztą to było rok temu.

- Ktoś słyszał, jak Sowa kłócił z dziewczyną. Z siostrą Gaworskiego. Wiesz coś o tym?

- Nie.

- Mogli być parą?

- Nie, nie sądzę. W sumie to nie wiem. Boże. Gdyby to była prawda, to by znaczyło, że nieźle się ukrywał.

Zawsze razem, zawsze nierozłączni, a teraz dowiadywał się, że przyjaciel miał przed nim jakieś tajemnice. Czy mógł być tym chłopakiem, o którego Gawor robił awanturę? „To niemożliwe”, pomyślał w pierwszej chwili. Jednak zaraz zaczął analizować wszystko, co się ostatnio działo.

Patrzył teraz na siostrę, której po policzku spływała kolejna łza.

- Ja spojrzałam tylko na sekundę, ale chyba nigdy tego nie zapomnę. On miał dziurę w głowie. Lewa część twarzy była jakaś inna. Ktoś mocno przywalił mu od przodu tą deską.

- Lewa? - spytał, zupełnie zaskakując siebie samego.

- No lewa. Ale nie, w sumie to była prawa - poprawiła się dziewczyna. - Bo na zdjęciach jest odwrotnie, jak się na nie patrzy. Ale po co się tak dopytujesz? Michał nie żyje i nic mu nie przywróci życia.

- Wiem, ale jestem mu to winien. Muszę znaleźć mordercę.

- Chyba od tego jest milicja?

- Może i tak, ale oni ruszają się z tym jak muchy w smole.

Posiedział jeszcze chwilę z siostrą i wyszedł z domu. Musiał iść poćwiczyć. Od śmierci przyjaciela ani razu nie odwiedził ich osiedlowej siłowni. Zamyślony wpadł na Gawora, który szybkim krokiem wyskoczył zza rogu i odruchowo chwycił się za miejsce, gdzie dostał w głowę. Markowski poczuł dziwny dreszcz na plecach. Dreszcz podniecenia, zapewne podobny do tego, który może odczuwać człowiek, wygrywając w totolotka. Tylko on nie wygrał pieniędzy, a prawdopodobnie rozwiązanie zagadki. Wiedział już, kto zabił jego przyjaciela, tylko cały czas tajemnicą pozostawało, dlaczego to zrobił.

# Część 2

## Rozdział 1

1997

Anna od wielu miesięcy żyła jak w bajce. Prawie całym jej światem był on. Grzegorz. Czarujący, odczytany mężczyzna, który na każdym kroku sprawiał, że czuła się wyjątkowa. Zabierał ją na wycieczki, obsypywał prezentami, prawil komplementy jak nikt nigdy wcześniej.

Miał jednak pewną wadę – o ile można tak nazwać fakt posiadania rodziny. Przy każdej rozmowie podkreślał, że to było małżeństwo z rozsądku. Swoją żonę znał od małego. Zawsze byli sobie bliscy, ale bardziej jak kumple niż zakochani. Kiedyś pod wpływem alkoholu poszli do łóżka. Nigdy tego nie planował, bo, jak wielokrotnie podkreślał, w ogóle mu się nie podobała. Ale stało się. I pewnie zrobiłby wszystko, aby o tym zapomnieć, gdyby nie konsekwencje tego czynu.

Kornelia zaszła w ciążę. To było sześć lat temu i gdy tak naprawdę dopiero planowali swoje życie. Nie mógł postąpić inaczej. Oświadczył się dziewczynie i zamieszkali u jego rodziców. Z opowieści, którymi ją karmił, wynikało, że nie byli szczęśliwym małżeństwem. Wielokrotnie próbował wzbudzić płomień namiętności, ale nigdy się to nie udało. Trwał u jej boku z rozsądku i odpowiedzialności, a nie z miłości. Gdyby nie syn, odszedłby już dawno, jednak za bardzo go kochał, żeby skazywać na życie w rozbitej rodzinie. Chciał zaczekać, aż syn podrośnie i będzie pewny, że to udźwignie.

Karmiona takimi opowieściami, gdy po kilku miesiącach potajemnych spotkań w końcu z jego ust padła deklaracja „Odejdę od niej”, prawie się zakrztusiła. Jak zwykle jedli w hotelowym pokoju, bo

nie wypadło, żeby chodzili razem do lokali. I mimo że od dawna czekała na taką deklarację, nie wiedziała, jak zareagować. Grzegorz był jej pierwszą prawdziwą miłością. Dziewictwo straciła z kolegą i tylko dlatego, że wszystkie koleżanki już je pożegnały, a nie dlatego, że coś czuła do chłopaka lub wierzyła w ich wspólną przyszłość.

- Jak to? Odejdiesz?

- Tak. Kocham cię i chcę być z tobą. - Uśmiechnął się do niej i wstał. Obszedł stół, przy którym siedzieli, i przykląkł. - Zostaniesz moją żoną?

Takiego rozwoju zdarzeń się nie spodziewała. Kilka razy zupełnie hipotetycznie snuli plany wspólnego życia. Ale małżeństwo? Już sama wizja bycia razem po jego rozwodzie nie wyglądała tak prosto. Pracowali razem, co dość komplikowało sytuację, szczególnie że lubiła swoją pracę. Chciała być z Grzegorzem, ale ich wspólna przyszłość na pewno wiązałyby się ze zmianą miejsca pracy. Nie dałaby rady wytrzymać tych potępiających spojrzeń, szeptów za plecami. Wiedziała, że dla większości będzie tą złą. Tą, przez którą dziecko Grzegorza będzie wychowywało się bez ojca. Jednak gdy klęknął przed nią, wszystkie obawy gdzieś zniknęły, a została tylko wizja wspólnej przyszłości. Z uśmiechem na twarzy odpowiedziała:

- Tak, z wielką przyjemnością zostanę twoją żoną.

Powoli założył na jej palec przepiękny pierścionek z niebieskim kamieniem, po czym namiętnie pocałował i zaniósł do łóżka.

Teraz leżała na boku i patrzyła, jak jego umięśniona klatka piersiowa unosi się przy każdym wdechu. Miała nadzieję, że już niedługo taki widok będzie codziennością. Będzie zasypiała i budziła się u boku mężczyzny, który jako jedyny do niej dotarł. Jak to kiedyś powiedział: „Jesteś jak średniowieczna wieża, którą trudno zdobyć. Ale jak ktoś się bardzo postara i mu się to uda, będzie czekała na niego nagroda”.

Mimo że chciała, aby chwila ta trwała jak najdłużej, trzeba było wrócić do rzeczywistości. Powoli wyslizgnęła się z łóżka i ubrała w leżącą obok łóżka na podłodze sukienkę. Musiała jeszcze pojechać do domu i przygotować się do pracy. Nie mogła dopuścić do tego, aby ktokolwiek dowiedział się, że sypia z kolegą z pracy. Przynajmniej nie teraz.

Szybko naskrobała na karteczce liścik i wyszła z pokoju hotelowego. Wiedziała, że musi się jeszcze uzbroić w cierpliwość, zanim ich tajne

schadzki będą mogły przerodzić się w coś bardziej oficjalnego. Dobrze wiedziała, że rozwód i walka o dziecko nie odbywają się w ciągu kilku dni.

## Rozdział 2

1997

- Kochanie, dzwonią z komendy - szepnęła cichutko Mariola Markowska do męża. Niestety jak zwykle nic to nie dało, dlatego zaczęła delikatnie nim potrząsać. Nadal nic. W końcu, mimo że na co dzień była niezwykle delikatną i kruchą kobietą, mocno pociągnęła go za ramię. - Budź się. Robota wzywa! - krzyknęła.

- Co się dzieje? - W końcu Witold Markowski otworzył oczy i usiadł na łóżku, uderzając małżonkę w głowę.

- Auuu!

- Jezu, kochanie, przepraszam. Śniło mi się, że się biłem. Dobrze, że ci nie przywaliłem prawym sierpowym.

- Faktycznie, powinnam się cieszyć - mruknęła z przekąsem. - Wstawaj, dzwonił z komendy, macie trupa.

- Już się zbieram - rzucił i powoli zaczął się ubierać w świeże rzeczy, które zawsze trzymał przy łóżku. Osiem lat pracy w policji spowodowało, że wiedział, iż to jedna z tych małych rzeczy, które sprawiają, że życie staje się łatwiejsze.

Telefon w nocy nie był niczym nadzwyczajnym, dlatego ubrania przy łóżku czy kubek z kawą gotowy do zalania wrzątkiem zawsze czekały, aby w nocy, kiedy jego mózg pracował z opóźnieniem, mógł polegać na nawykach, a nie odkrywać koło na nowo.

Przed domem czekał na niego radiowóz. Niektórzy uznawali to za wygodnictwo, ale kiedyś, jadąc w nocy na zgłoszenie, miał wypadek. Wylądował w rowie. Wszystko skończyło się bez większego uszczerbku na zdrowiu, jednak strach, jaki wywołał u rodziny, spowodował, że nie chciał narażać ich już więcej na taki stres. Dodatkowo wyszło, że ma



coś ze wzrokiem. Lekarz powiedział, że może prowadzić nocą, ale jego wada może komplikować sprawę. Dlatego zdecydował, że nie będzie ryzykować i ku uciesze żony umówił się, że w przypadku nocnych wezwań ktoś będzie po niego podjeżdżał.

Podszedł do radiowozu i usiadł z przodu na miejscu pasażera.

- Dziękuję - powiedział, mimo że nie musiał. Jako starszy aspirant, czyli drugi po komendancie człowiek w suchodolskiej policji, mógł liczyć na pewne przywileje. - Mów, co się stało.

- W hotelu Gloria znaleziono zwłoki mężczyzny.

- Wiadomo, kto to?

- Niestety nie. Jakimś dziwnym trafem nikt nie prosił go o dokumenty. I przy nim też nic nie było.

- Kto go znalazł?

- Menedżer hotelu. Wszedł do jego pokoju, ponieważ ktoś usłyszał dziwne krzyki.

- Aha, to tak można wejść ludziom do pokoju?

- Nie wiem, zaraz będziemy na miejscu, to z nim pogadasz - odpowiedział Gaworski i poprawił koszulę, która mocno rozjeżdżała się na torsie. To nie była już ta klata, którą prezentował dziesięć lat wcześniej. Brak ruchu i tona słodyczy pochłonięta na służbie zrobiły swoje.

Każdy na komendzie wiedział, że za trzy miesiące Gawor miał stanąć na ślubnym kobiercu, a jego narzeczona zadeklarowała, że nie powie „tak”, jeżeli on nie zrzuci dwudziestu kilogramów. Trzy miał już za sobą, ale do celu jeszcze sporo zostało. Ubrania powoli przestawały go aż tak opinać, ale nie miał lekko. Funkcjonariusze podzielili się na dwa obozy. Pierwszy wspierał go i próbował razem z nim ograniczyć ilość spożywanych ciastek, jednak druga grupa z satysfakcją podtykała mu niedozwolone potrawy czy przekąski, wmawiając, że przecież jeden pączek nic nie zmieni.

Po dziesięciu minutach stanęli przed hotelem, gdzie zaparkowano już dwa radiowozy. Witold Markowski wysiadł z samochodu i ruszył za podwładnym, który powoli wspinał się po wysokich schodach prowadzących do wejścia.

Pierwsze, co zobaczył, gdy stanął w wielkiej recepcji, to siedząca na kanapie, płacząca młoda kobieta i stojący obok niej mężczyzna, który

chciał dodać jej otuchy, ale chyba mu to nie wychodziło. Na plakietce przyklejonej do marynarki miał napisane: „Mariusz Niewiadomski. Menedżer hotelu”.

- Starszy aspirant Witold Markowski, to pan znalazł zwłoki? - rzucił, gdy znalazł się jakieś dwa metry od niego.

- Tak - odpowiedział. - To znaczy wspólnie z Karoliną... - Ruchem głowy wskazał na chlipiącą kobietę.

- Proszę mi wszystko dokładnie opisać.

- Ale ja już...

- Niestety będzie musiał pan opowiadać to wielokrotnie. Zaraz przyjedzie prokurator i znowu pana przepytają, potem wezwiemy pana na zeznania, a gdy znajdziemy sprawcę i będzie rozprawa, to kolejny raz.

- Aha - westchnął zrezygnowany.

- To zacznijmy od początku. Jak doszło do tego, że weszli państwo do pokoju?

- Apartamentu - wtrącił mężczyzna.

- Apartamentu numer?

- Trzydzieści siedem.

- O której? - dopytywał dalej policjant.

- Było chwilę po drugiej, gdy zapukała do mnie recepcjonistka, to znaczy Karolina.

- Gdzie zapukała?

- Do mojego mieszkania. Część pracowników mieszka na miejscu. Ja mam swoją małą kawalerkę na dole, w piwnicy. Nic szczególnego, ale mam blisko do pracy. - Uśmiechnął się smutno.

- I co powiedziała pani Karolina?

- Ktoś z pokoju obok trzydzieści siedem skarżył się na hałas.

- Z którego pokoju? Będę musiał koniecznie z tą osobą porozmawiać.

- Oczywiście, na szczęście są jeszcze w hotelu. Byli w pokoju numer trzydzieści dziewięć, ale przenieśliśmy ich na drugi koniec korytarza, nie mówiąc o szczegółach znaleziska.

- Bardzo mądre rozwiązanie. Na co narzekali?

- Podobno słyszeli jakąś awanturę. Kobieta z mężczyzną się kłócili, bardzo głośno. Po konsultacji ze mną Karolina od razu zmieniła im pokój. Nie mamy aktualnie zbyt wielu gości, więc nie było z tym

problemu. Wychodzę z założenia, że goście hotelowi powinni zachowywać się z poszanowaniem innych, dlatego zawsze interweniuję w takich przypadkach. Nie chcę, żeby nasz hotel miał złą opinię. A proszę uwierzyć, takie wieści niosą się lotem błyskawicy. Kiedyś pracowałem w hotelu w Poznaniu i tam pewien starszy pan znalazł w sałatce kawałek kości. Oczywiście twierdził, że się prawie udusił. I wtedy menedżer zrobił gigantyczny błąd. Nie chciał przeprosić, a zamiast tego szedł w zaparte, że to niemożliwe. Wynikła kłótnia, która źle się dla nas skończyła. Okazało się, że to był jakiś bardzo znany aktor, który poopowiadał wszystkim swoim znajomym, co się mu przytrafiło. Po kilku dniach ukazały się artykuły w prasie i hotel długo się podnosił po tej wpadce. Dlatego teraz dmucham na zimne. Jestem miły i sympatyczny, nie kłócę się z gośćmi.

- A z kim była ofiara?

- Mężczyzna był sam - powiedział ciszej i puścił do policjanta oczko, dając do zrozumienia, że to nieprawda.

- Aha. Rozumiem, że nikogo nie widzieliście.

- Tak, ale to nic nie znaczy. Niestety bardzo często nasz hotel jest miejscem... - Menedżer zawahał się, jakby wstydził się tego, co miał powiedzieć. - Schadzek, dlatego nie zawsze prosimy o dowód. Wiem, że tak nie powinno być, ale dostosowujemy się do klienta i dlatego mamy najwyższe ceny w okolicy. Dodatkowa opłata za dyskrecję.

- Czyli nikt nie wie, z kim był mężczyzna?

- Niestety nie.

- Proszę zaprowadzić mnie do tego pokoju - powiedział starszy aspirant Witold Markowski i cały czas bacznie rozglądając się po hotelu, ruszył za mężczyzną.

Tylko raz w życiu miał przyjemność nocować w takim miejscu, dlatego wiszące na ścianach obrazy lub sporych rozmiarów lustra w złotych ramach robiły na nim wrażenie.

- Dziękuję - powiedział, gdy stanęli przed pokojem numer trzydzieści siedem, dając tym samym znak, że mężczyzna już nie jest mu potrzebny.

Powoli wszedł do pokoju wielkości połowy jego mieszkania, w którym mieszkał on sam, jego żona i dwójka dzieci, i rozejrzał się. Apartament, jak nazwał go menedżer hotelu, zdecydowanie robił

wrażenie. Po lewej stronie wzdłuż ściany z dość oryginalną tapetą w biało-czarne wzory stało gigantycznych rozmiarów łóżko. Spokojnie mogłyby się w nim wyspać trzy, a nawet cztery osoby.

Po obu stronach łóżka stały nocne stoliki, nad którymi zamontowano ozdobne kinkiety. W pokoju poza tym znajdował się stolik kawowy, a przy nim dwa fotele. Na stoliku kłębiło się mnóstwo naczyń, co świadczyło o fakcie, że gość wraz z osobą towarzyszącą jedli posiłek.

Witold Markowski powtórzył w pamięci, że musi dopytać menadżera o posiłki. Nigdy nie zapisywał sobie takich rzeczy w notesie czy na kartce. To był jego trening głowy. Cały czas nie patrząc na leżącą na środku ofiarę, poszedł do łazienki. Tutaj poza użytymi ręcznikami, które walały się po podłodze, nic nie zwróciło jego uwagi. Wrócił do pokoju i stanął w bezpiecznej odległości, tak aby nie przeszkadzać technikowi, i bacznie przyjrzał się ofierze.

Leżący na ziemi mężczyzna zdecydowanie mógł uchodzić za przystojnego. Nawet teraz, z dziwnym grymasem na zastygłej twarzy, mógł podobać się płci przeciwnej.

Miał około czterdziestu lat. Ubrany był tylko w majtki, co w sumie nie było zaskakujące, skoro do zbrodni doszło w nocy. Może ktoś przerwał mu sen i wtargnął do jego pokoju? Może złodziej?

Dwa lata wcześniej Markowski zajmował się sprawą włamań do mieszkań i domów. Złodziej wchodził do nich nocą, kiedy mieszkańcy smacznie sobie spali, i wynosił najcenniejsze rzeczy. Niestety jego dobrą passę przerwała kobieta, która obudziła się podczas włamania. Chcąc napić się wody, zeszła po schodach i zastała faceta grzebiącego w portfelach domowników. Zachowała niezwykłą ostrożność i jasność umysłu, bo nie rozdarła się jak syrena alarmowa budząca strażaków, a zamiast tego podeszła cicho do kuchennego blatu i zgarnęła wielki rondel. Na paluszkach zakradła się do intruza i z całej siły przywaliła mu w głowę. Gdy na miejsce dotarła policja, mężczyzna leżał związany jakimś sznurem i krzyczał na całe gardło, twierdząc, że to on został zaatakowany.

Od tego czasu Witold Markowski dwa razy przed pójściem spać sprawdzał wszystkie drzwi i okna w całym domu. Teraz, stojąc w hotelowym pokoju, zastanawiał się, czy złodzieje jako miejsce zbrodni wybierają również tego typu miejsca.

- Przyczyna zgonu? - spytał w końcu klęczącego nad ciałem kolegę.

Widzieli się kilka razy, ale nie pałali do siebie wielką sympatią. Aleksander Kowalczyk był chudym facetem w średnim wieku, który zdecydowanie za bardzo przeżywał fakt, że już nie jest młodzieńcem, co próbował zmienić, biegając dystanse dla zwykłego człowieka nieosiągalne i pokonując na rowerze odległości, które niektórzy obawiali się pokonywać samochodem. Mimo że ilość wytwarzanych w jego organizmie endorfin była zdecydowanie powyżej średniej, i tak zazwyczaj miał skwaszony wyraz twarzy i odzywał się grubiańsko do wszystkich, bez wyjątku.

- Nie widzisz? - rzucił. - Ktoś bardzo go nie lubił i potraktował jego głowę i plecy jak worek treningowy. Nie policzyłem dokładnie, ale strzelam, że ma co najmniej trzydzieści ran.

- Coś szczególnego?

- Szczególne jest to, że ktoś go zabił - warknął i zaśmiał się sam do siebie.

- Chodzi mi o to, czy może użyto jakiegoś nietypowego narzędzia zbrodni? Może kąt ciosów jest specyficzny?

- Hmm, na razie ciężko powiedzieć, chociaż raczej typowałbym, że była to kobieta, która uderzała czymś w stylu młotka.

- Czyli sąsiedzi mieli rację - powiedział sam do siebie Witold Markowski.

- Sąsiedzi?

- Nieważne. Możesz określić czas zgonu?

- Jasne - zaśmiał się sarkastycznie, plując przy tym. - Czas zgonu, dokładny typ narzędzia i może jeszcze podesłać zdjęcie sprawcy? Ja nie wróżka. Wszystko wymaga czasu. Dam ci znać, jak zbiorę dowody i zbadam denata u siebie.

- Dobrze - odpowiedział i już zamierzał wyjść, gdy uzmysłowił sobie, że cały czas nie widział prokuratora. - A co z Czarneckim?

- Śpi, jak go znam. Przyjedzie na gotowe i będzie zbierał laury za pracę swoich parobków.

- Zapewne - powiedział Markowski i rozejrzał się jeszcze raz po pokoju. - Znaleźliście portfel tego faceta albo cokolwiek, co świadczyłoby o jego personaliach?

- Ja nie szukałem. Zapytaj tych oszołomów, co przyjechali.

- To nie są oszołomy, tylko funkcjonariusze policji.
- Gdyby mieli więcej oleju w głowie, nie zajmowałiby się takimi błahymi sprawami.
- Nie wiem, czy wiesz, ale tym samym obrażasz i mnie.
- Ale ty zajmujesz się morderstwami.
- Tak, ale kiedyś było inaczej. Zresztą z tego, co mi wiadomo, zanim zostałeś technikiem, robiłeś kawę komendantowi - rzucił z uśmiechem na twarzy i wyszedł z pokoju. Miał dość tej bezsensownej rozmowy.

Przed pokojem zaczęło robić się gęsto od ludzi. Goście hotelowi, zapewne zbudzeni dźwiękami dochodzącymi z pokoju zamordowanego, wstali przed czasem, a nowa zmiana pracowników chciała wiedzieć, co się wydarzyło podczas ich nieobecności. W końcu nieczęsto w ich hotelu miały miejsca tego typu rzeczy.

- Gdzie znajdę menedżera? - spytał policjant stojącej najbliżej kobiety, która opierając się o mop, próbowała wygiąć szyję w taki sposób, aby zobaczyć, co dzieje się w pokoju numer trzydzieści siedem.

- Przed chwilą widziałam go przy recepcji. Instruował pracowników, co mają mówić gościom w sprawie tego wypadku.

- Wypadku? - spytał zdziwiony.

- No tak, powiedział nam, że ktoś się poślizgnął czy coś w tym stylu, i niefortunnie się przewrócił... i bach! - krzyknęła kobieta zupełnie z zaskoczenia.

- Rozumiem - powiedział zdziwiony i ruszył we wskazane miejsce, licząc, że znajdzie mężczyznę, z którym musiał porozmawiać.

## Rozdział 3

1997

Miała wrażenie, że od ostatniego spotkania z Grzegorzem skurczyła się o dwa rozmiary. Nie mogła jeść, pić. Nie spała po nocach. Z bajki trafiła do jakiegoś koszmaru.

Po tamtej pamiętnej nocy pojechała do domu. Jak zwykle w progę trafiła na matkę, która z niezadowoloną miną otworzyła jej drzwi.

- Gdzie byłaś? - rzuciła bez słowa przywitania.

- Zasnęłam u koleżanki.

- Tak. Szlajesz się po obcych facetach. Kobieta powinna się szanować, a nie puszczać na boki!

Minęła matkę bez słowa i poszła do swojego pokoju. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego jej matka rzucała takie komentarze. Gdyby wiedziała, jak ciężko jest jej się z kimś związać i że miała w życiu raptem dwóch partnerów mimo swoich dwudziestu sześciu lat, może zmieniłaby zdanie. Jednak ona zawsze patrzyła przez pryzmat swój, a dokładnie swojego małżeństwa. Jej mąż, ojciec Anny, miał tyle kochanek, że Casanova mógłby pozazdrościć. A co najśmieszniejsze, za jego skoki w bok matka nie obwiniała męża, ale kobiety. Za krótkie spódniczki, wyzywające dekolty. To płeć piękna była zawsze winna tego, że mąż zapominał o przysiędze małżeńskiej. Nigdy na głos nie skomentowała faktu, że ślinił się na widok każdej kobiety.

Już w drodze do domu Anna zorientowała się, że zostawiła pierścionek zaręczynowy na szafce przy łóżku hotelowym. Nawet przez chwilę zastanawiała się, czy po niego nie wrócić, ale wiedziała, że by nie zdążyła na czas do pracy. Szybko się wykąpała, a następnie ubrała i cała w skowronkach poszła do firmy. Jakże była zdziwiona, gdy okazało się, że Grzegorz się tam nie pojawił. W nocy wspominał, że musi przyjść wcześniej rano, ponieważ miał umówione bardzo ważne spotkanie. Dlatego gdy się na nim nie stawiał, wszyscy przecierali oczy ze zdziwienia. Podobnie jak Annę, Grzegorza cechowała punktualność i sumienność. Może dlatego tak dobrze czuła się w jego towarzystwie. Był zupełnie inny niż ludzie, którymi otaczała się przez całe życie - którzy fakt, że ktoś na nich czeka, mieli głęboko gdzieś.

Gdy koło południa nadal go nie było, podniosła słuchawkę telefonu. Należał do tych nielicznych osób, które mogły sobie pozwolić na posiadanie komórki. Wybrała jego numer, mimo że już kilka osób bezskutecznie do niego dzwoniło.

Już sam fakt, że zabrzmiał sygnał, dał jej nadzieję. A gdy usłyszała głos po drugiej stronie, aż podskoczyła. Jednak szybko ochłonęła, bo to nie był Grzegorz.

- Halo? - usłyszała gburowaty głos w słuchawce. Najchętniej by się rozłączyła, ale ciekawość i troska o Grzegorza wygrały.

- Szukam pana Grzegorza Mazurka.

- Hmm... - W telefonie rozległ się jakiś pomruk.

- Przepraszam, ale nie słyszę pana - rzekła, myśląc, że mężczyzna coś powiedział.

- Ja nic nie mówiłem.

- A w sumie dlaczego odbiera pan cudzy telefon?

- Bo chciałem się dowiedzieć, do kogo należy - odpowiedział mężczyzna.

- Gdzie go pan znalazł? Przekażę Grzegorzowi, to podjedzie do pana, jak dotrze do pracy.

- On nigdzie nie podjedzie.

- Jeju, jest pan bardzo tajemniczy. Jeżeli pan chce, to ja mogę podjechać.

- Nie jestem tajemniczy, tylko jestem z policji.

Słyszac te słowa, Anna poczuła, jak jej nogi wiotczeją.

- Jak to z policji? Coś się stało?

- Pewnie nie powinienem pani tego mówić, ale - mężczyzna ściszył głos - on nie żyje.

W tym momencie telefon wypadł jej z ręki, a ona poczuła, że cały świat zaczął wirować.

Wszystko, co później się działo, było jak z koszmaru. Zupełnie nie pamiętała jak, ale podała policjantowi dane Grzegorza. Oczywiście cały czas powtarzała, że jest koleżanką z pracy, a Grzegorz nie pojawił się na spotkaniu, dlatego dzwoniła. Na pożegnanie funkcjonariusz poprosił ją, żeby nie mówiła nikomu o tym, co się stało. Nawet przez chwilę próbowała, ale gdy podeszła do niej księgowa, która chciała wyjaśnić jedną z faktur, pękła. Informacja rozeszła się lotem błyskawicy i już po kilku minutach całe biuro było pełne smutnych i płaczących ludzi.

I nie było czemu się dziwić. Grzegorza uważano za niezwykle miłego i uprzejmego człowieka. Mimo zajmowania wysokiego stanowiska nigdy się nie wywyższał. Zawsze każdy i o dowolnej porze mógł przyjść do niego po radę i zawsze ją dostawał. Dlatego jego śmierć wstrząsnęła nie tylko Anną Kozera.



# Rozdział 4

1997

Witek zamknął na chwilę oczy i próbował sobie wyobrazić ostatnie chwile ofiary. Mężczyzna wynajmuje pokój w hotelu. Zamawia wystawną kolację. Schabowego z ziemniakami, spaghetti bolognese, szarlotkę i bezę z owocami, a do tego butelkę wina. Kuchnia przygotowała zestaw sztućców i naczyń jak dla dwojga, ale w sumie odbierająca zamówienie dziewczyna w restauracji nie pamiętała, czy taka była prośba mężczyzny, czy tak założyli ze względu na liczbę dań.

Mężczyzna odbiera posiłek razem z wózkiem. Kelnerka nie widziała nikogo, a zamawiający miał na sobie spodnie od garnituru i białą koszulę. Z wypiekami na twarzy powiedziała, że był niezwykle przystojny.

Rozkłada wszystko na stole i zaczyna jeść. „Nie”, powiedział sam do siebie Markowski. „To nie ma sensu”. W pokoju jest jeszcze ktoś. Jakaś kobieta. Jedzą razem, a po kilku godzinach dochodzi do sprzeczki i ona zabija go młotkiem lub podobnym przedmiotem.

Tylko skąd go miała? I co robili przez cały ten czas? Co wywołało kłótnię?

Ludzie z sąsiadującego pokoju nie słyszeli, co dokładnie wykrzykiwali.

Policjant otworzył oczy, czując, że nie jest w stanie nic więcej z tego wycisnąć. Cały czas mieli więcej niewiadomych niż pewnych informacji. Kim była tajemnicza kobieta? Czy była jego kochanką? A może stała za tym żona?

Na szczęście jedna z podstawowych zagadek została szybko rozwiązana. Wiedzieli, kim była ofiara. Grzegorz Mazurek. Czterdziestodwuletni mieszkaniec Suchodoła. Ojciec pięcioletniego chłopca i mąż Kornelii Janiszewskiej. Co zastanawiające, kobieta nie zmieniła nazwiska po ślubie, a syn nosił nazwisko matki.

Markowski siedział przy swoim biurku i przeglądał wypisane na kartce informacje o mężczyźnie, gdy nagle zgasły wszystkie światła. Pomieszczenie utonęło w ciemności, a mimo to nikt nie był tym

zaskoczony, dlatego od razu wiedział, co to znaczy. Gdy usłyszał śpiew dochodzący z korytarza, miał stuprocentową pewność:

- Sto lat, sto lat, niech Witek żyje nam! - wrzeszczał idący z tortem Baltazar Gaworski, a za nim korowód pracujących w komendzie policjantów i pozostałych pracowników.

- Wszystkiego dobrego! - Stał przed nim komendant i ze swoim krzywym uśmiechem na twarzy próbował wykrzesać z siebie kilka miłych słów: - Pracuj tak dalej, to daleko zajdziesz. Osiem lat w służbie to świetny wynik - powiedział i poklepał podwładnego po ramieniu, dając znak, że kolejne osoby mogą zacząć proces składania życzeń.

Pół godziny później wszyscy się rozeszli, a na polu walki, gdzie przeciwnikiem stała się litrowa butelka wódki, został świętujący Witold Markowski, jego kolega sprzed lat oraz dwóch starszych policjantów, którzy mieli już dziś wolne i choć mogli wrócić do domu, postanowili spędzić wieczór w towarzystwie kolegów z pracy.

- Zawsze chciałeś zostać policjantem? - spytał Wojtek Przytakiewicz, sympatyczny mężczyzna koło pięćdziesiątki, który jak ognia unikał widoku krwi, co w pracy policjanta było dość trudne i co dość często prowokowało kolegów do głupich żartów.

- Hmm, chyba nie. Jak byłem w liceum, to nie miałem jakichś konkretnych planów na przyszłość. W głowie miałem raczej imprezy, dziewczyny...

- I bójki - wtrącił Gaworski. - O matko, jak my się ze sobą laliśmy - zaśmiał się.

- I kto wygrywał? - dopytywał drugi z policjantów.

- Ja! - krzyknęli obaj w tym samym czasie, stuknęli się kieliszkami i duszkiem wypili ognisty napój.

- A tak serio, to Gawor był postrachem okolicy - powiedział Markowski, wiedząc, że wywoła wielkie zdziwienie wśród kolegów. Dawno temu obiecali sobie, że nie będą rozpowiadać na prawo i lewo o swojej przeszłości. Teraz jednak nagle poczuł wewnętrzną potrzebę wygadania się.

- Z tym brzuchem? Pewnie przygniatał przeciwnika swoim ciężarem - rzucił Przytakiewicz.

- No i tu was zdziwię - skomentował świętujący policjant. - Tak wyżyłowany i umięśniony to nikt z nas nigdy nie był i niestety już nie

będzie. Pamiętam, jak kiedyś, już po... - Zawiesił głos, odchrząknął i po chwili kontynuował: - Poszliśmy na trening. Wyciskaliśmy. Nie dałem rady zrobić tylu powtórzeń co Gawor, a miałem niezłą formę.

- To jestem w szoku. A jak to się stało, że poszedłeś do policji? - zmienił temat Przytakiewicz.

Markowski spojrzał na kumpla i widząc lekkie skinienie oznaczające zgodę, zaczął opowiadać:

- Jako nastolatkiw średnio się lubiliśmy. - Witek uniósł kieliszek, spojrzał na kolegę i wypił za jego zdrowie. - Biliśmy się, robiliśmy sobie na złość. Wszystko trwało do czasu, gdy... zmarł mój przyjaciel, a chwilę wcześniej Gawor został pobity. Wszyscy myśleli, że to jakiś gang z Poznania, ale prawda okazała się zupełnie inna. Najlepszy kumpel Gawora zakochał się w jego siostrze, ale wiedząc, że ten traktuje ją jak największy skarb i nie pozwoli nikomu się z nią związać, postanowił załatwić to inaczej. Ona chciała wyjawic prawdę, lecz on... W czasie zeznań powiedział, że nie chciał nikogo zabić. Gawora uderzył w głowę, a później pobił, ponieważ ten wyśmiewał się z potencjalnego chłopaka swojej siostry. Zakradł się i przywalił mu znalezionej w lesie deską. Niestety podobny los spotkał Sowę, czyli mojego przyjaciela. Tylko on nie miał tyle szczęścia. Znalezionej przypadkiem deska miała gwoździe, które przebiły czaszkę i uszkodziły mózg, wywołując spore krwawienie. Umierał długo w cierpieniach, aż wykrwawił się na posesji starszych ludzi.

- A dlaczego on zginął? - dopytywał drugi policjant.

- Prawdopodobnie dowiedział się o nich i chciał wyjawic prawdę. Ktoś słyszał, jak kłócił się z siostrą Gawora.

- A wiecie, kto to wszystko odkrył? - spytał Gaworski i wskazał na Witolda Markowskiego.

- Moja siostra powiedziała mi o obrażeniach Michała, czyli Sowy - powiedział. - Wyobraźcie sobie, że jej koleżanka, której ojciec pracował w milicji, podkradła mu zdjęcie z miejsca zbrodni. I gdy zobaczyłem obrażenia Gawora, zrozumiałem, że napastnik musiał być leworęczny i stosunkowo niski, a taki właśnie był Kondziu. Niewiele myśląc, poszedłem do niego i powiedziałem, że wiem. Chłopak rozkleił się na raz dwa. Aktualnie siedzi w Gnieźnie.

- O Boże, ale to straszna historia - powiedział.

- Ale to nie koniec - wtrącił Gaworski i rozlał wszystkim po kieliszku, kończąc tym samym butelkę.

- Niestety - powiedział Markowski i spuścił smutno wzrok. - Utrata przyjaciela wiele zmieniła w moim życiu, ale chyba impulsem do wstąpienia w szeregi policji było ostatecznie zniknięcie mojej siostry.

## Rozdział 5

1997

Czuł się jak przegrany w pojedynku bokser, którego na łopatki rozłożył dużo mniejszy przeciwnik. Pierwszy raz od co najmniej pięciu lat poprosił żonę o tabletkę na ból głowy, bo nie był w stanie skupić myśli, a wiedział, że czeka go ciężki dzień w pracy. W planach miał wizytę w firmie zmarłego i przepytanie jej pracowników. Z tego, co pamiętał, to pracowała tam jego kuzynka Anna, dlatego liczył na jej pomoc.

Idąc do pracy, cieszył się ustępującym bólem i planował dzień. Niestety wszystko runęło, gdy tylko przekroczył próg komendy, którą praktycznie w tym samym momencie zaszczylił swoją obecnością prokurator Czarnecki. W odróżnieniu od niego mężczyzna wyglądał na wyjątkowo wypoczętego i zrelaksowanego. Jak zwykle przyodziany był w nienagannie wyprasowane spodnie i białą koszulę, z nonszalancko podwiniętymi rękawami, które miały świadczyć o tym, jak bardzo jest zapracowany. Jednak każdy, kto miał z nim do czynienia, wiedział, że jest mistrzem psychologii, a najbardziej lubi pracować nad własnym wyglądem. Każdy kosmyk jego kruczoczarnych włosów był doskonale ułożony.

- Markowski, chyba mamy sprawcę - rzucił swoim zwyczajem bez zwrotu w stylu „dzień dobry”, jakby wypowiedanie tych słów było uwłaczające.

- Dzień dobry. - Skłonił się w pas i dorzucił: - Jak to?

- Właśnie dzwonił do mnie Gaworski i poinformował, że jeden z pracowników widział w nocy kobietę. Na dodatek wie, kim jest, więc

chyba sprawa załatwiona.

- Aha - wydusił z siebie policjant.

- Nie gap się tak na mnie, tylko idź do sali przesłuchań.

- Ale miałem jechać do tego biura, żeby dowiedzieć się więcej o denacie.

- Czy ty sobie jaja robisz? Masz robić to, co ci każę. Natychmiast przesłuchasz tę kobietę i dowiedziesz, że to ona zabiła.

- Jak to „dowiedziesz”? - spytał zdziwiony.

- A co, myślisz, że więcej osób chciało go zabić?

Czarnecki odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę gabinetu komendanta, w którym zapewne planował spędzić trochę czasu, zostawiając zdezorientowanego funkcjonariusza przy wejściu do komisariatu.

Po dwudziestu minutach na komendę weszła kobieta prowadzona przez mundurowego. Jej rude, kręcone włosy unosiły się i opadały przy każdym najmniejszym ruchu, przyciągając uwagę niemal wszystkich w okolicy, podobnie jak nienaganna figura i przepiękna twarz.

- To jakaś pomyłka! - krzychała, gdy tylko została przedstawiona aspirantowi Witoldowi Markowskiemu jako osoba, którą ten ma przesłuchać. - Ja nic nie zrobiłam!

- Proszę się nie denerwować - powiedział, mimo że wiedział, że zdecydowanie ma ona ku temu powody. - Kolega zaprowadzi panią do pokoju przesłuchań, a ja przyniosę coś do picia.

Uśmiechnął się do niej serdecznie i poszedł do pomieszczenia socjalnego, żeby zebrać myśli. Ból głowy już praktycznie przeszedł. Czuł tylko dziwne ćmienie z tyłu czaszki, jakby ktoś ciągnął za niewidzialną gumkę, wywołując napięcie. Dodatkowo pojawiła się złość i rozdrażnienie. Nie lubił, gdy stawiano go w takich sytuacjach. Lubił być do wszystkiego dobrze przygotowany. Nie był typem freestyłowca, który potrafił improwizować niezależnie od sytuacji, nawet gdy nie miał wystarczającej wiedzy.

Zrobił kawę i herbatę, a następnie ruszył do pokoju, gdzie czekała na niego kobieta. Z uśmiechem na twarzy wszedł do pomieszczenia i postawił naczynia na stole.

- Kawa czy herbata? - spytał.

Patrząc na osobę siedzącą po drugiej stronie stołu, którego blat zdecydowanie nadawał się do wymiany, nie mógł uwierzyć, że mogłaby dokonać najgorszej z możliwych zbrodni. Wyglądała sympatycznie, mimo że nerwowo stukała palcami o blat.

- Dziękuję. Zróbmy to szybko i chcę pójść do domu. Zaraz powinnam wyjść do pracy. Pacjenci będą czekać.

- Dobrze. Proszę o pani imię i nazwisko.

- Małgorzata Kwiatkowska.

- Data i miejsce urodzenia?

- Czternasty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku, Poznań.

- Miejsce zamieszkania?

- Suchodół, Mickiewicza dwanaście.

- Czym się pani zajmuje?

- Jestem pediatrą - powiedziała i uśmiechnęła się.

W tym momencie brakujący klocek wpadł we właściwe miejsce i uruchomił trybiki. Od momentu, kiedy Markowski zobaczył kobietę, czuł, że to nie jest ich pierwsze spotkanie. Dwa lata wcześniej jego córka Tosia miała zapalenie ucha. Żona poszła z nią do lekarza, ponieważ miała już drugi dzień narzekała na ból, a żadne domowe sposoby nie pomagały. Przyjechał po nie do przychodni i czekał pod gabinetem, z którego wyszły dziewczyny. Widział kobietę przez ułamek sekundy, jak pochylona nad biurkiem wypełniała jakieś dokumenty.

- W przychodni przy Grudziądzkiej?

- Tak - odpowiedziała zdziwiona. - Mam też swój własny mały gabinecik na tyłach mojego domu.

- Skąd znała pani Grzegorza Mazurka?

- Ja... - zaczęła zmieszonym głosem, zupełnie innym niż sekundę wcześniej. - My...

- Proszę spokojnie.

Kobieta zamknęła oczy, a po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Otarła je wierzchnią stroną prawej dłoni, otworzyła oczy i spojrzała na Witolda Markowskiego smutnym wzrokiem.

- Mój mąż jest kierowcą zawodowym. Nie ma go w domu całymi tygodniami. Niby pracuje, ale ja wiem, że kogoś ma. Jest zbyt... - Urwała na chwilę, szukając odpowiedniego słowa. - Zbyt szczęśliwy. Gdy wraca do domu po tygodniu nieobecności, zachowuje się jak

zakochany. Jest dla mnie miły. Pyta o wszystko, interesuje się mną, ale mam wrażenie, że to jest sztuczne. A gdy już jest bliski wyjazdu, wręcz skacze z radości. Jakby na końcu trasy czekała jakaś niespodzianka. Dlatego gdy poznałam Grzegorza, pęłam. Wiem, że wszystko poszło nie tak, jak powinno.

- To znaczy?

- Mężatka nie powinna wdawać się w romans. Powinnam była najpierw rozstać się z mężem, a nie na boku spotykać się z innym.

- Rozumiem. A może mi pani powiedzieć, jak się poznaliście?

- A jak można poznać panią pediatrę? - Zaśmiała się perliście. - Przez dziecko. Jego syn jest dość problematycznym pacjentem. Niestety bardzo często płacze i na razie nie udało mi się zdiagnozować, co jest tego przyczyną. Początkowo myślałam, że to bóle wzrostowe, ale żadne leki nie pomagają. Ciężki przypadek.

- Kiedy to było? To znaczy, kiedy pierwszy raz się umówiliście?

- Jakieś pół roku temu. Przyszedł z synem na wizytę, a gdy już wychodził, spytał, czy moglibyśmy porozmawiać dłużej, ale w innym terminie. Sam spieszył się do pracy, a bardzo niepokoiła go ta sytuacja. Zdziwiłam się trochę, bo rzadko się zdarzają tacy tatusiowie. Zazwyczaj to mamy dopytują o wszystko. Chociaż - zaśmiała się - wydaje mi się, że nie o to dokładnie mu chodziło.

- A o co?

- Grzegorz był człowiekiem, któremu zależało przede wszystkim na własnym dobru. Nie wiem, czy pan wie, ale te wizyty w hotelach były po części dlatego, że nie mógł spać w domu. Jego syn był niemiłosiernie, a on nie mógł odpocząć. Stosował jakieś zatyczki do uszu, ale to nie pomagało. Żona w ramach troski o męża zgadzała się na jego sporadyczne nocowanie poza domem. Tylko że on czasami nie spędzał tych nocy sam.

- Kiedy zostaliście parą?

- Parą? - Zaśmiała się ponownie. Za każdy razem wydawane przez nią dźwięki były coraz mniej miłe dla ucha, a robiły się bardziej jak chichot jakiejś wiedźmy czy czarownicy, która chce kogoś nastraszyć. - Ja nie wiem, czy my byliśmy parą. Gdy przyszedł do mnie do gabinetu, bo na takie rozwiązanie się zgodziłam, przyniósł butelkę wina wraz z dwoma kieliszkami, rzekomo w ramach podziękowania za leczenie

syna. Tłumaczył, że jest po ciężkim dniu pracy i chętnie napiłby się w miłym towarzystwie. Nie miałam już żadnych pacjentów, męża nie było w domu już trzeci tydzień, więc jego propozycja miło mnie polecthała. Gadaliśmy chyba ze cztery godziny. Najpierw o jego synu i niewyjaśnionych dolegliwościach. Potem zeszło na facetów, że są beznadziejni i tylko seks im w głowie, czemu nie zaprzeczył. Cały czas był niezwykle czarujący i taki... - Zawiesiła głos, ponownie szukając odpowiedniego słowa. - Taki pociągający. Może nie powinnam tego mówić, ale miałam ochotę się na niego rzucić, zerwać z niego ubranie i... no wie pan. Ale nic z takich rzeczy się nie wydarzyło. Gdy druga butelka wina się skończyła, bo miałam jedną schowaną w biurku, najzwyczajniej w świecie się pożegnał i wyszedł. Gdy zamknął za sobą drzwi, stałam jak słup soli. Zupełnie tego nie rozumiałam. Jak on mógł tak zrobić? Ale... - Nagle na jej twarzy pojawił się uśmieszek. - Gdy dwa dni później wpadł do mnie znowu z wieczorną wizytą, nie powiedzieliśmy ani słowa, aż zziajani nie padliśmy na zimną posadzkę. Grzegorz miał w sobie taki żar, że rozpaliby nawet Eskimoskę.

- Spotykaliście się regularnie?

- Wpadał do mnie z reguły z niezapowiedzianą wizytą. Trzy razy zdarzyło się, że nocowaliśmy w hotelu. Nazywał to randką.

- Ktoś o was wiedział?

- Nie sądzę. Był niezwykle dyskretny. Kiedyś podsłuchałam jego rozmowę z żoną. Mówił jej, że właśnie jest na kolacji z kimś z firmy i nie wróci na noc, bo nie chce budzić ich synka, skoro ten zasnął. - Lekarka westchnęła. - Wiem, że nie powinnam robić tego innej kobiecie, bo sama byłam zdradzana przez męża, ale Grzegorz miał w sobie coś magicznego. Aż chciało się robić dla niego złe rzeczy.

- Składał jakieś deklaracje co do waszego związku?

- Takie nieoczywiste. Może kiedyś... W przyszłości... Nic na pewno, ale wiem, że mnie kochał. - Uśmiechnęła się do niego smutno. - Wiem, że to teraz brzmi śmiesznie i sztucznie i pewnie pan w to nie wierzy, ale wiem, że jego deklaracja była szczerą. Żywił do mnie prawdziwe uczucia i ja je odwzajemniałam.

- Czy poza panią miał jeszcze kogoś?

- Już wiem, że nie - powiedziała. - Myślałam, że tak, ale się myliłam. Za to wiem, że to właśnie mnie kochał.



- Rozumiem - odrzekł, mając nadzieję, że jego powątpiewanie nie zostało wyłapano. - Czy tej nocy, kiedy zmarł, umówiliście się w hotelu?
- Nie. Wracalam od koleżanki, u której bylam z wizytą domową. Urodziła niedawno dziecko, więc żyje w strachu, czy z młodym jest wszystko w porządku. Pojechałam do niej, zbadalam jej syna, rozwiewając wszelkie obawy. Pogadałyśmy trochę i...
- Tak?
- Zasnęłam na kanapie. Obudziłam się około drugiej w nocy, z odciśniętą poduszką na twarzy, i stwierdziłam, że marzę o łóżku. Zostawiłam karteczkę z informacją, że wróciłam do domu. Gdy przejeżdżałam koło hotelu Gloria, zobaczyłam jego samochód na parkingu. Numer pokoju był łatwy do odgadnięcia. Grzegorz miał świra na punkcie liczby trzydzieści siedem. Nawet miał mały tatuaż na nadgarstku. Weszłam od tyłu, bo tak się kiedyś umówiliśmy, i tyle.
- Widziała pani kogoś?
- Hmm. Chyba nie.
- Co się stało, gdy weszła pani do hotelu?
- Nic - powiedziała zupełnie naturalnie.
- Rozmawiała pani z Grzegorzem?
- Tak. Otworzył. Powiedział, że jest okrutnie zmęczony i bardzo mnie przeprasza, ale ma rano spotkanie, więc chętnie spotka się innego dnia.
- I tyle?
- No... - Uśmiechnęła się zawadiacko. Witek Markowski od razu wiedział, o co chodzi. - No nie. Już zamykał za mną drzwi, gdy nogą je zablokowałam. Po ułamku sekundy byliśmy już na łóżku. Jak zwykle było cudownie. Potem pożegnaliśmy się i wyszłam.
- Nie kłóciliście się?
- Nie. Niby o co?
- Znaleźliśmy w pani torebce list. Nie jest on miły.
- A, to? - powiedziała zmieszana. - Ostatnio dowiedziałam się, że nie jestem jedyna, poczułam się zraniona i napisałam to pod wpływem chwili. Ale pogadałam z Grzegorzem i wiem, że tamta się nie liczyła.
- Dlaczego miała pani jego krew pod paznokciami?
- Ja... My... Lubiliśmy na ostro.
- Czy żona Grzegorza Mazurka mogła o pani wiedzieć?

- Nie, nie wydaje mi się. Wiem, że to straszne, ale ona cały czas przychodzi do mnie z synem - odpowiedziała kobieta zawstydzonym głosem. - Jest mi z tego powodu niezmiernie głupio. Już nawet próbowałam ją przekonać, że nie jestem w stanie im pomóc i powinna pójść do kogoś innego, ale ona się uparła.

- W jaki sposób dowiedziała się pani o śmierci Grzegorza?

- Zadzwoiłam do koleżanki, której mąż z nim pracuje. Miałyśmy pogadać o wspólnym wyjeździe do Sopotu, na który wybierałyśmy się od dawna. Odebrała zapłakana. Na początku nie rozumiałam, o czym mówi. - Kolejna łza spłynęła po jej policzku, zostawiając smugi rozmytego makijażu. - Mówiła o jakimś koledze Krystiana, to znaczy jej męża, z pracy. To duża firma, więc mogło trafić na wielu facetów. Ale gdy powiedział coś w stylu „ty chyba jego syna leczysz, to ten, co tak strasznie płacze”, myślałam, że serce mi stanie. Wiem, że byłam tylko jego kochanką, ale wierzyłam, że kiedyś... może... - Kobieta zaczęła płakać. - Ja nie mam siły.

Witold Markowski wyszedł z pokoju przesłuchań, zupełnie nie wiedząc, co o tym myśleć. Nie miał jednak czasu na głębszą analizę, bo od razu wyrósł koło niego prokurator Czarnecki.

- No to mamy ją! - rzucił dumny jak paw.

- Słucham?

- To ona zabiła Grzegorza Mazurka.

- Słyszał pan jej zeznania? Nie ma żadnych konkretnych dowodów jej winy.

- Była w hotelu. Znaleźliśmy jej ślady. Ma motyw. Czego jeszcze trzeba?

- Przecież tam jest mnóstwo innych śladów. Może miał jeszcze jedną kochankę? A może żona to zrobiła?

- Żona była w domu z dzieckiem. Sąsiad słyszał jego płacz.

- Może zostawiła go samego.

- Ty tak serio? Ty byś zostawił swoje same w domu? - spytał z przekąsem prokurator.

- Myślę, że zdradzona kobieta może zrobić wiele irracjonalnych rzeczy.

- Może tak, ale to już nie jest twoje zmartwienie.

- A co z narzędziem zbrodni? - Markowski próbował znaleźć dziurę w całości. Wiedział z doświadczenia, że stojący przed nim człowiek charakteryzuje się niesamowitym wręcz uporem. Kiedyś współpracował z podobnie nastawionym do swojej sprawy prokuratorem i źle się to skończyło. Pod jego naciskiem policjant odpuścił i niewinna w jego mniemaniu osoba poszła do więzienia.

Kiedyś młody chłopak wracał z imprezy i zasnął na ławce. Niestety wybrał bardzo niefortunne miejsce. Niedaleko została okradziona i pobita nastolatka. Nic nie wskazywało na niego, ale prokurator się uparł. Markowski próbował wszystkiego. Rozmawiał wielokrotnie z komendantem. Z dziewczyną. Usiłował znaleźć cokolwiek, co wskazywałoby na innego sprawcę. Nic nie znalazł. Chłopaka skazano na pięć lat, a po dwóch latach złapano prawdziwego sprawcę, który podczas przesłuchania przyznał się do tego napadu i wielu innych przestępstw. Tylko dla chłopaka było już za późno. Po czasie spędzonym w więzieniu zmienił się bezpowrotnie.

- A co z narzędziem zbrodni? - ponowił pytanie, nie usłyszawszy odpowiedzi za pierwszym razem.

- Wyrzuciła, zakopała, pozbyła się jakoś. Nie wiem. Zresztą nie rozumiem, czemu tak jej bronisz. Ewidentnie gościa zabiła. Zaraz podpisuję nakaz aresztowania. Możemy się umówić, że jak znajdziesz nowe dowody, to się na tym pochylę - powiedział z uśmiechem diabełka prokurator. - Ale średnio w to wierzę - dodał i wyszedł z budynku, zostawiając Markowskiego z buzującymi emocjami.

## Rozdział 6

1997

Od kiedy sprawa morderstwa wyszła na jaw, praktycznie każdy w Suchodole o tym mówił. Grzegorza Mazurka znało wiele osób. Zawsze pomagał starszym ludziom. Udzielał się podczas lokalnych imprez. Poza tym był bardzo przystojny i wzdychało do niego wiele kobiet.

Przez pierwsze kilka dni po miasteczku krążyła niestworzona liczba teorii. Że zamordował go złodziej. Handlarz narkotyków. prostytutka, z którą się spotkał.

W toku śledztwa okazało się, że Grzegorz raz na jakiś czas sypiał w hotelu. Jego pięcioletnie dziecko niestety z niewyjaśnionych przyczyn całymi nocami płakało niemiłosiernie, co potwierdzili wszyscy sąsiedzi, którzy również nie mogli z tego powodu zmrużyć oka. Tylko ich z reguły nie było stać na luksus spania poza domem, co było w zasięgu finansowym zmarłego. Podobno starał się to robić jak najrzadziej, ale akurat wtedy na rano miał umówione bardzo ważne spotkanie i wolał być wyspany, co potwierdziła zarówno jego żona, jak i sekretarka, znająca doskonale plany biznesowe zmarłego.

Z czasem zaczęły jednak wychodzić na jaw różne dziwne fakty, które powodowały, że Anna nie wiedziała, w co wierzyć. W to, co mówił jej Grzegorz, czy w zeznania świadków. Na nieskazitelnym Grzegorz zaczęły pojawiać się rysy. I to jedna po drugiej. Okazało się bowiem, że nie była jedyną kochanką zamordowanego. Było co najmniej pięć innych kobiet w ciągu ostatnich kilku lat. Na szczęście o niej nikt nie wiedział.

Zupełnie nie wiedząc, co ma o tym myśleć, Anna postanowiła odwiedzić swojego kuzyna, który od ośmiu lat pracował w komendzie. Liczyła, że czegoś się dowie. Dobrze wiedziała, że nie powinna tego robić, ale nie mogła wytrzymać. Chciała jak najszybciej poznać prawdę, a nie słuchać kolejnych bzdurnych plotek, które zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu.

Po drodze kupiła wino i gdy stanęła u progu domu brata ciotecznego, poczuła skręt jelit i ostry ból brzucha. Nigdy niczego w ten sposób nie załatwiała, ale sytuacja ją do tego zmusiła. Nacisnęła dzwonek i czekała. Drzwi otworzyła Mariola, żona Witka.

- Aniu, co ty tu robisz?! - krzyknęła na jej widok. - Wchodź, bo zmarzniesz!

- Mama cały czas powtarza, że jestem nierodzinna, więc postanowiłam was odwiedzić. Poza tym tyle razy mnie zapraszaliście... - powiedziała, licząc, że kobieta nie wychwyci kłamstwa. - Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale jakoś nie pomyślałam.

- Bardzo się cieszę, że jesteś. Ja z dziećmi zazwyczaj jesteśmy w domu, a na twoje szczęście jest też Witek. Ostatnio po zabójstwie tego gościa mają sporo roboty, ale dzisiaj zrobił sobie wolne. - Anna dobrze o tym wiedziała. Jej koleżanka z podstawówki pracowała na komendzie i sprawdziła, kiedy kuzyn jest w pracy.

- Czy ja dobrze słyszę? - W tym momencie w drzwiach pojawił się mężczyzna. - Anka, jak miło cię widzieć! Coś się stało?

- Nie, tak przyszła w odwiedziny - wtrąciła jego żona, nie dając jej powiedzieć.

- A jak u matki? - dopytywał policjant.

- Komentuje, wydaje rozkazy i czeka, aż ojciec się usatkuje.

- Aha, czyli standard.

- Dokładnie - powiedziała z uśmiechem na twarzy. - Ale żeby nie było, że przychodzę z pustymi rękoma, to proszę. - Wyciągnęła z torby kupioną butelkę i wręczyła kuzynowi.

- Nie musiałaś, ale wielkie dzięki. - Uśmiechnął się do żony i ruszył do kuchni po kieliszki.

Wieczór minął im w bardzo miłej atmosferze. Przez dłuższy czas Anna prowadziła rozmowę tak, aby nie poruszyć tematu tego, co się ostatnio stało i co było powodem jej wizyty, ale w końcu nie wytrzymała:

- A jak tam u ciebie w pracy? - rzuciła niby od niechcenia.

- Ostatnio dużo się dzieje. Ten gość, co go znaleźli w hotelu, spowodował, że cały Poznań wisi nad nami i czeka, aż popełnimy błąd. Uważają, że my, wieśniaki, jak na nas mówią, nie damy rady i nie znajdziemy mordercy. Ale mylą się. - Uśmiechnął się do niej triumfalnie.

- Coś macie? - wtrąciła, zupełnie nie kontrolując swoich emocji.

- Oj, mamy - odpowiedział z uśmiechem na twarzy.

- Wiecie, kto to zrobił? Żona?

- Nie, ona ma alibi. Była w domu z dzieckiem, sąsiedzi ją słyszeli, niby nie przez całą noc, więc dałaby radę dotrzeć do hotelu, ale ona sporo traci. Grzegorz był jedynym żywicielem rodziny. Teraz ona musi wyprowadzić się z ich mieszkania i przeprowadzić do swoich rodziców, z którymi podobno ma średnie relacje. Najzwyklejniej w świecie jej się to nie opłacało.

- To macie innego podejrzanego?

- Chyba tak. - Słyszac te słowa, Anna poczuła, jak wino, które właśnie wypila, wraca jej do ust. - Wszystko w porządku? - spytał kuzyn.

- Ja... - zaczęła drżącym głosem.

- No tak, zapomniałem. Wy się znaliście. Pracował w tym samym biurze.

- Tak. My... Ja... - Cały czas się jękając, próbowała powiedzieć coś sensownego.

- Już spokojnie. - Mariola podeszła do niej i ją objęła. - Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze.

- Dokładnie. - Witek poklepał ją po ramieniu i oświadczył: - Według prokuratora wszystko jest jasne. Zresztą ona jest już w areszcie.

- O matko, jak to? Kto to?

- Nie powinienem mówić, ale - ściszył głos - okazało się, że święty Grzegorz wcale nie był taki święty. Bzykał się na prawo i lewo. A tej nocy, gdy go znaleziono, była u niego w pokoju pewna kobieta.

- Co?! - powiedziała Anna zdecydowanie za głośno. - Jak ją namierzyliście?

- Chciała być sprytna i wyszła bocznym wyjściem dla personelu, ale miała pecha. Widział ją jeden z pracowników, który kojarzył ją z gabinetu lekarskiego, do którego chodzi z córką. Okazało się, że to pani doktor, która leczyła też dziecko Mazurka. Wyobrażasz sobie bezczela? Szedł do lekarza z dzieckiem i podrywał lekarkę.

- Nie do pomyslenia... - odpowiedziała pewnym głosem, mimo że miała ochotę się rozplakać.

- A skąd wiecie, że to ona? - wtrąciła Mariola, która siedziała już znowu na swoim fotelu i rozwiązywała krzyżówkę.

- Znaleźliśmy u niej pod paznokciami jego krew. Chyba jej nie zauważyła, bo miała długie, pomalowane na czerwono. Dodatkowo w torebce miała list z pogrózkami kierowanymi do niego. Nie zostawiła go na miejscu zbrodni, ale treść aż kipiała jadem i chęcią zemsty za odrzucenie.

- Odrzucenie?

- Tak. Kobieta twierdzi, że ją zdradzał! - Zaśmiał się na głos. - To jest absurd tej sytuacji. Kochanka była zła, że ją zdradzał. Mówi, że jak

wychodziła z hotelu, to żył. Twierdzi, że krew pod paznokciami to efekt ostrego seksu, bo ostatecznie się niby pogodzili.

- I?

- I nikt jej nie wierzy. Jest już w areszcie i pewnie spędzi za kratami dużą część życia.

- A pierścionek? - rzuciła Anna pod wpływem emocji.

- Jaki pierścionek? - spytał zdziwiony Witek.

- No słyszałam, że na miejscu zbrodni znaleźliście jakiś pierścionek.

- O matko, ludzie gadają takie głupoty... Nic nie znaleźliśmy poza zmasakrowanymi zwłokami.

- Jak to zmasakrowanymi?

- To szczegół, który udało nam się ukryć. - Nagle wstał i ruszył na korytarz. Po kilku sekundach wrócił z teczką. - Nie powinienem wam tego pokazywać, bo szef by się wściekł, ale chyba nikomu nie powiecie... - Puścił do nich oczko i położył na stole teczkę.

Idąc do kuzyna, Anna miała nadzieję, że dowie się czegoś o śledztwie, ale nie spodziewała się tego, że będzie miała dostęp do wszystkich danych. Powoli otworzyła dokumentację i od razu zamarła. Jako pierwsze ujrzała zdjęcia z miejsca zbrodni. I nie były to fotografie z ocenzurowanymi fragmentami, tak aby nie zobaczyła okrucieństwa popełnionego morderstwa. Wszystko było doskonale widoczne. Dopiero teraz padło pytanie, którego wcześniej nie odważyła się zadać:

- A jak on zginął?

- Krwawo - rzucił krótko kuzyn, a po chwili dodał: - Pierwszy cios trafił go w głowę, od tyłu. Potem napastniczka nie zapanowała na emocjami. Patolog naliczył aż trzydzieści siedem ciosów. Facet kogoś mocno wkurzył.

- O Boże - wyjąkała Anna. - I myślicie, że ta lekarka mogła tego dokonać?

- Tak. Prawdopodobnie już jeden z pierwszych ciosów był śmiertelny. Reszta to był jakiś atak furii.

- A czy znaleziono narzędzie zbrodni?

- Nie.

Cały czas patrzyła na trzymane w ręku zdjęcie i nie mogła uwierzyć, że to był jej ukochany Grzegorz. Mężczyzna, z którym planowała spędzić resztę swojego życia. Najbardziej z tej całej sytuacji martwiła

się tym, że policja znajdzie pierścionek, jej ślady, no i liścik. A może nawet pojawi się jakiś świadek, który ją widział. Jak zwykle weszli osobno, ale skoro ktoś widział lekarkę, mógł zauważyć również ją.

## Rozdział 7

2017 - 20 lat później

Krew pryskała po całym pokoju. Spływała po ścianach, tworząc małe kałuże na podłodze. Powoli wszystko zmieniało kolor. Film, który leciał w telewizji, wyglądał, jakby ktoś nałożył na niego czerwony filtr. Śnieżnobiały, włochaty dywan leżący na środku pokoju zaczynał przypominać futro świeżo zdjęte z zarżniętego przed chwilą niedźwiadka. I mimo że miała ochotę rzucić się na kobietę raz po raz uderzającą młotkiem w leżącego na podłodze mężczyznę, nie była w stanie się ruszyć. Patrzyła, jak jego ciało z każdym uderzeniem podskakuje, a z ran wypływa coraz więcej krwi.

W tym momencie poczuła mocne szarpnięcie i krzyk:

- Mamo, obudź się! Już wszystko w porządku.

Powoli otworzyła oczy i usiadła na łóżku. Znowu miała ten koszmar. Od dwudziestu lat wracał do niej jak bumerang, a gdy zbliżała się data jego śmierci i myślała o Grzegorzcu częściej niż zwykle, śniło jej się to nawet codziennie. Po tylu latach sama nie wiedziała, co z ich wspólnych chwil było prawdą, a co nie.

Wolała myśleć, że jego miłość była szczerą i faktycznie chciał spędzić z nią resztę życia. Dla niej na zawsze pozostał tym jedynym. Jednak w toku śledztwa wyszły na jaw fakty, o których wolałaby nie wiedzieć. Choć dla niej samej informacja o kochankach była jedną z najgorszych, i tak nie mogła przejść obojętnie obok pozostałych. Najpierw okazało się, że jego dziecko nie przyszło na świat w wyniku wypadki, jak to określił Grzegorz, ale było zaplanowane i wyczekiwane. W pracy również nie był taki idealny, na jakiego próbował się kreować. Regularnie podbierał pieniądze z kasy firmowej i miał romans z



księgową, aby to nie wyszło. Gdy dziewczyna zagroziła, że wszystko powie, straszył ją, że opublikuje jej nagie zdjęcia, które dla zabawy kiedyś jej zrobił. Podobno brudów było jeszcze więcej, ale Anna nie miała siły i ochoty tego słuchać. I tak czuła, jakby straciła wszystko.

Dwa miesiące po pogrzebie, na który poszła jak reszta kolegów i koleżanek z firmy, zaczęła się źle czuć. Przez kilka dni to ignorowała, myśląc, że to wynik stresu i senność, brak apetytu i sporadyczne mdłości nie oznaczają niczego strasznego. Gdy w końcu trafiła do lekarza, ten z uśmiechem na twarzy oznajmił:

- Prawdopodobnie jest pani w ciąży.

Pierwszy przyszedł szok, potem nastął czas przerażenia, ale na koniec wypełniła ją radość. Od tego momentu miała dla kogo żyć. Odeszła z pracy, bojąc się szeptów za plecami. Zatrudniła się w zupełnie nowym miejscu, gdzie nie nawiązała żadnych relacji, dlatego nikt nie wypytywał o ciążę, dziecko, a Anna mogła skupić się na córce.

Matylda była jej kopią i, co było dla Anny ważne, nie przypominała Grzegorza. Teraz powoli wchodziła w dorosłe życie, czego dowodem była jej wyprowadzka. Po dwóch latach spotykania się z chłopakiem wyprowadzała się do niego.

Anna cały czas próbowała jej to wyperswadować, ale miała wrażenie, że to walka z wiatrakami.

- Mamo, my się kochamy i chcemy być razem.

- Przecież możecie spotykać się codziennie.

- Ale to nie to samo.

- Czyli już postanowiłaś?

- Tak. Wiem, że jest ci smutno, ale czas przejść na kolejny etap związku. A tutaj nie ma jak. - Ręką pokazała na ich klaustrofobiczny salon, w którym jednocześnie mogła przemieszczać się tylko jedna osoba.

- Wiem - odpowiedziała zasmucona. Chciałaby móc zaoferować córce więcej niż małą klitkę, w której mieszkały.

- Mamo, będę cię codziennie odwiedzać. Zawsze będziesz mogła do mnie zadzwonić. Proszę, nie rób tego. Nie psuj mi tego.

- Przepraszam... - Wytarła łzę, która zaczęła jej spływać po policzku.

- Kocham cię najbardziej na świecie. A teraz nie smuć się, tylko ubieraj. Za godzinę musimy być u Filipa. Jego mama nie lubi, jak się

ktos spoznia. Zreszta tak jak ty. Na pewno ja polubisz. - Usmiechnela sie do Anny i wyszla z pokoju.

Pomimo ze jej corka miala chlopaka od ponad dwuch lat, Anna nigdy nie miala okazji poznac jego mamy. Rodzice wybranka rozstali sie dawno temu i ojciec nie byl obecny w zyciu chlopaka. Ze smutkiem stwierdzila, ze takie historie zdarzaja sie zdecydowanie za czesto.

Powoli zaczela sie ubierac. Wybrala swoja ulubiona eleganca, czarna sukienke i zamowila taksowke. Miala ochote na lyk wina, wiec jazda samochodem nie wchodzila w gre. Gdy dotarly pod podany przez corke adres, od razu zrozumiala, dlaczego Matylda chce zamieszkać z matka chlopaka, a nie z nia.

Dom prezentowal sie oszalamiajaco. Mial wielkie okna, duza czesc elewacji pokrywalo drewno, a calosc otaczal piekny ogród. Powoli wysiadly z taksowki i ruszily w strone furtki.

- Proszę wchodź - uslyszaly sympatyczny kobiecy głos.

Pani domu byla idealnym dopehleniem rezydencji, bo tak w myslach nazwala dom Anna. Dlugie blond wlosy, piekne oczy i nieziemski usmiech powodowaly, ze przypominala hollywoodzka gwiazde lub celebrytke, ktora dba o kazdy element swojego wygladu.

Kolacja minela w bardzo milej atmosferze. Wszyscy caly czas sie smiali, opowiadajac zabawne historie ze swojego zycia. Wieczor byly idealny, gdyby nie dręczące Annę uczucie, ze skads zna te kobiete.

W pewnym momencie Filip wstal, podszedl do Matyldy i przyklakl. Od razu wiedziala, co zaraz sie zdarzy. Na chwile wstrzymala oddech, nie wiedzac, jak zareaguje corka.

- Od kiedy cie zobaczylem, wiedzialem, ze jesteśmy dla siebie stworzeni. Coś magicznego przyciagal nas do siebie. Śmiejemy sie z tych samych rzeczy. Gestykulujemy w podobny sposob, jesteśmy jak polowki serca, ktore kiedyś zostaly rozdzielone, ale po dlugiej podróży w koncu sie spotkaly. Nie chce, zeby cokolwiek kiedykolwiek nas rozdzielilo, dlatego moim marzeniem jest, zebyś zostala moja zona.

W tym momencie otworzyl male puzderko trzymane w dloni. Wyjal z niego pierścionek, ktory sprawil, ze serce Anny stanelo, a w glowie zaczely powstawac makabryczne myśli. To byl ten sam pierścionek, ktory dostala od Grzegorza, a ktory zniknal z miejsca zbrodni. To byl dowód, ktory mogl zabrac tylko morderca. Spojrzala na pania domu i

dopiero teraz uświadomiła sobie, skąd ją kojarzy. Dwadzieścia lat temu widziała jej zdjęcie w gazecie, obok informacji o śmierci Grzegorza. Przeniosła wzrok na chłopaka, który cały w skowronkach wkładał na palec jej równie szczęśliwej córki pierścionek. Dopiero teraz dostrzegła w nim podobieństwo od ojca. Miał taki sam podbródek i nos.

W tym momencie dotarła do niej przerażająca myśl. Przed jej córką klękał jej... brat.

# Część 3

## Rozdział 1

2017

Mijało właśnie dwadzieścia dziewięć lat, odkąd widział ją po raz ostatni. To znaczy ostatni raz na żywo. W snach nadal widywał ją regularnie. Rozmawiał, opowiadał o swoim życiu, o swojej rodzinie i dzieciach, które i ona kochałaby nad życie. Im też o niej opowiadał tak często, jak tylko mógł. O swojej ukochanej siostrze. Imię Maria dostała po babci ze strony mamy, chociaż na co dzień większość osób mówiła na nią Marysia. Po babci miała nie tylko imię, ale również zielone, duże oczy. I na tym kończyły się podobieństwa. Seniorka miała niezwykle silny charakter, który wykorzystywała do rządzenia domem i całym gospodarstwem, którym musiała się zajmować po tragicznej śmierci swojego męża. I szło jej to tak znakomicie, że sąsiedzi patrzyli zazdrośnie na kupowany co chwilę lepszy sprzęt, a co za tym idzie – plony najlepsze w okolicy.

Jej wnuczka, Marysia, była przeciwieństwem swojej babci, nie miała jej siły i woli walki. Robiła to, co inni jej kazali. Wyróżniała się jednak z tłumu dzięki swoim kolorowym strojom. Twierdziła, że jest to antidotum na wszystkie problemy.

Wszystko zmieniło się, gdy poszła do liceum. Rodzina, a także nauczyciele z podstawówki próbowali ją nakłonić na szkołę w Poznaniu. Dzięki temu miałyby szansę na rozwój, dostanie się na wymarzone studia i całkowitą zmianę środowiska. Jednak Marysia Markowska pierwszy raz w życiu uparła się i nie odpuszczała.

Tłumaczyła się niechęcią do długich podróży. Droga w jedną stronę zajmowała czasami nawet dwie godziny, a dodatkowo dziewczyna nie chciała rozstawać się ze znajomymi.

Od tego momentu zaczęła się zmieniać. Przestała być kolorową, bajkową postacią. Praktycznie z dnia na dzień stała się... taka nijaka. Odsunęła się od większości przyjaciół. Zaczęła ubierać się na czarno, mimo że zawsze była niczym kolorowy motyl. Każdy z daleka widział, że nadchodzi. I nagle stała się taka jak cała reszta, zwykła. Rodzina, znajomi próbowali dowiedzieć się, co się stało, ale twierdziła, że nic. Po prostu przyszedł czas dorosnąć i nie być już małą, pstrokatą dziewczyną. I pewnie wszyscy by to zaakceptowali, gdyby w połowie marca 1988 roku nie zniknęła. Zapadła się pod ziemię. Poszła jak zwykle do szkoły i nigdy do niej nie dotarła. Nie było wtedy kamer zainstalowanych na każdym rogu ani noszonych w każdej torebce czy kieszeni telefonów komórkowych, które mogłyby pomóc w ustaleniu przebiegu zdarzeń lub odnalezieniu jej.

Marysia jak co rano spakowała swój czarny, nijaki, jak mawiał jej brat Witek, plecak. Ubrała się tak, jakby szła na pogrzeb, po czym ruszyła na przystanek autobusowy. Dotarła na niego kilka minut przed szóstą rano. Zawsze wolała być wcześniej, szczególnie że wiejski autobus jeździł, jak chciał – czasami potrafił przyjechać przed czasem. Kierowca autobusu zapamiętał ją, jak wsiadała, jednak później podczas kilkukrotnego przesłuchania nie był w stanie powiedzieć, czy wysiadła na tym przystanku co zawsze, ponieważ jak zwykle autobusem podróżowało sporo ludzi. Nikt niczego nie pamiętał. Kilka osób, które jak co rano podróżowały tą trasą, widziało ją tego dnia, ale nikt nie zauważył niczego podejrzanego. Nie rozmawiała z żadnym nieznanym, nie zachowywała się inaczej niż zwykle. Nikt nie był na sto procent pewny, gdzie wysiadła. Każdy jak co rano był lekko zaspany i pochłonięty swoimi sprawami. Nikt nie zwrócił większej uwagi na młodą dziewczynę, choć mogły to być ostatnie minuty jej życia.

Do szkoły, w której lekcje zaczynała o ósmej, nigdy nie dotarła. Nauczycielka historii, z którą miała mieć pierwszą tego dnia lekcję, zdziwiła się, gdy po dzwonku Marysia nie siedziała w swojej ławce. Wtedy nie wiedziała, że już nigdy jej nie zobaczy – ani w ławce, ani na korytarzu. Nikt jej nigdy nie zobaczy. Jej bliscy przez długie lata zastanawiali się, co się wydarzyło. I mimo że od tajemniczego

zniknięcia minęło już tyle lat, niektórzy nie mogli się z tym pogodzić. Wśród tych osób był jej brat Witek. Dopiero po latach zdradził, że to właśnie zniknięcie siostry było impulsem do zmiany jego dotychczasowego życia. To dla niej poszedł do szkoły policyjnej, wydorósł, odpuścił sobie bitki.

Ale z perspektywy czasu wiedział, że nic mu to nie dało. W żaden sposób nie przybliżyło go to do wyjaśnienia sprawy tajemniczego zniknięcia jego siostry, na co tak bardzo liczył, rozpoczynając karierę w policji.

Starał się nie rozmyślać o tym zbyt często, bo czuł, że jest to bezcelowe. Coraz częściej miał nadzieję, że był to „wypadek”, jak to mawiała matka. Nieszczęśliwe zdarzenie, a nie porwanie czy morderstwo. W jej mniemaniu było to najlepszą spośród wszystkich opcji tego, co mogło spotkać Marysię. I mimo że Witek, dobrze wiedział, że wachlarz rozwiązań był olbrzymi, czasami też wolał tak o tym myśleć.

Patrzył na pamiątkową tablicę, którą konająca matka dziesięć lat temu postawiła na cmentarzu, żeby mieć gdzie wylewać łzy i składać kwiaty w każdą rocznicę kojarzoną z Marysią – jej urodziny, imieniny, datę zniknięcia. On też przychodził tutaj jak najczęściej, ale w rocznicę jej zaginięcia zjawiał się zawsze, niezależnie od pogody czy sytuacji życiowej.

- Spodziewałam się cię tu zastać – usłyszał za plecami znajomy głos. Choć Anna się nie skradała, Witold Markowski i tak podskoczył przestraszony.

- A ja ciebie nie – skomentował i spojrzał na nią. Niby wygadała jak zwykle, ale wyraz jej twarzy był jakiś inny. Tak jakby czegoś się bała. - Ktoś musi dbać o pamięć o niej. - Ruchem głowy wskazał na pamiątkową tablicę.

- Zdecydowanie.

- Mam wrażenie, że nie przyszedłeś rozmawiać o mojej siostrze. Coś cię gnębi? Widać to z daleka – powiedział spokojnym głosem, bo z doświadczenia wiedział, jak postępować z osobami zdenerwowanym, a Anna zdecydowanie taka była.

- Chyba tak, ale nawet nie wiem, od czego zacząć – powiedziała cichym głosem.

- Może od początku?

- Wiem, tylko od razu muszę cię przeprosić. Będiesz na mnie bardzo zły i wiem, że słusznie, ale nie mogłam inaczej postąpić.

- Źle zaczynasz. - Spojrzał na nią groźnie i od razu skarcił się w myślach.

- Zdaję sobie sprawę, ale uwierz, nie miałam wyjścia. Bardzo się bałam, a potem było już za późno na moje wyjaśnienia. Na szczęście, z tego, co się zorientowałam, to sprawa się już przedawniła.

- Super. Czyli zrobiłaś coś karanego więzieniem? - powiedział zdecydowanie za głośno. Zawsze uważał Annę za spokojną i zrównoważoną osobę, która nigdy nie robiła głupot. No, może poza wpadką z ciążą, czego szczegółów nikt nigdy nie poznał, nawet najbardziej zainteresowana, czyli Matylda, jej córka.

- Uwierz mi, byłam przerażona. Poza tym sądziłam, że macie mordercę.

- Mordercę? Miałem nadzieję, że chodzi o jakieś wykroczenie, a ty mi wyciągasz zbrodnię największego kalibru...

- Tylko że ja nie miałam z nią nic wspólnego - rzuciła szybko, mimo to Witek w żaden sposób nie poczuł ulgi. Powoli ruszyli główną alejką w stronę wyjścia z cmentarza. Miał trochę żal do kuzynki, że zaburzyła jego spotkanie z siostrą.

- Chyba jednak coś miałaś, skoro mówisz, że myślałaś, że mamy mordercę. Możesz na spokojnie mi to wszystko wyjaśnić? - powiedział już trochę ciszej, widząc posyłane w ich kierunku piorunujące spojrzenia osób krzątających się w pobliżu grobów. Ich zachowanie zdecydowanie odbiegało od tego, jakie było wymagane w miejscu, gdzie się znajdowali, wśród zmarłych.

- Tak. Może usiądźmy tam. - Wskazała oddaloną o jakieś sto metrów ławkę, która była już poza miejscem spoczynku.

- Dobrze, tylko nie klucz już i mów, o co chodzi.

- Pamiętasz sprawę sprzed dwudziestu lat? Chodziło o morderstwo w hotelu Gloria.

- Oczywiście. To była pierwsza sprawa morderstwa, którą prowadziłem. Pamiętam, jak się tym stresowałem. Na szczęście szybko złapaliśmy tę kobietę, chociaż ja nigdy w stu procentach nie byłem

pewny co do jej winy. A co ty masz z tym wspólnego? – Witek spojrzał na kuzynkę podejrzliwym wzrokiem.

– Ja z nim pracowałam... – urwała.

– No tak, nawet byłaś wtedy u nas i się podpytywałaś. Ale nadal nie rozumiem.

– Ja... To znaczy my... No...

– O nie. Nie mów mi tylko, że was coś łączyło... – Poczuł, że robi mu się słabo.

– Tak. My... byliśmy razem.

– O ja pierdołę. Czemu mi nie powiedziałaś?

– Nie mogłam. Bałam się. Ja wtedy byłam z nim.

– Jak to byłaś?

– No, w hotelu...

To było ponad jego siły. Witold Markowski przez lata pracy w policji nauczył się panować nad swoimi emocjami, co w czasach młodości wcale nie było takie łatwe. Ale warunek był jeden: sprawa nie mogła dotyczyć jego bliskich. W takich wypadkach się denerwował, wpadał w potłoch i nie był w stanie się skupić.

Słuchał z przerażeniem rewelacji Anny. Tego, że była jedną z wielu kochanek zamordowanego. Że widziała się z nim tej nocy, kiedy zginął, a nawet spędziła z nim tę noc. A gdy powiedziała, że wtedy jej się oświadczył i planowali spędzić ze sobą resztę życia, czuł, że zaraz eksploduje.

I gdy myślał, że gorzej być nie może, Anna wyskoczyła mu z kolejnymi rewelacjami. Było mu niezwykle smutno, że dopiero przyciśnięta do muru całą tą sytuacją powiedziała, kim był ojciec Matyldy, jego chrześnicy, którą przez całe życie starał się opiekować najlepiej, jak potrafił, i chociaż trochę wynagrodzić brak męskiego wsparcia.

Dowiedział się prawdy o jej ojcu, ale chyba najbardziej zaskakująca była wiadomość o związku chrześnicy z jej własnym bratem, a także wielce prawdopodobnym udziale jego matki w morderstwie jej męża, czyli ojca Matyldy. Wszystko to nawet bez podkreślenia fabuły nadawało się na brazylijski serial.



# Rozdział 2

2017bb

W nocy nie mógł spać. Cały czas rozmyślał o tym, co powiedziała mu Anna. Jeżeli była to prawda, oznaczało to, że od prawie dwudziestu lat w więzieniu siedziała niewinna kobieta, a prawdziwa morderczyni żyła w luksusie. Najchętniej pojechałby do tej drugiej, zakuł w kajdanki, zamknął w celi i wyrzucił klucz. Jednak bardzo dobrze wiedział, że to tak nie działa. Trzeba było mieć niepodważalne dowody, a następnie puścić całą machinę w ruch. Nie mógł robić nadziei kobiecie osadzonej w więzieniu ani aresztować żony Grzegorza Mazurka bez twardych dowodów.

Wiercił się w łóżku od dobrej godziny, ale mimo kolejnej tabletki nasennej jego organizm odmawiał posłuszeństwa i nie wykazywał chęci zaśnięcia. Po kolejnym kilometrze, jaki miał wrażenie, że wykonał w łóżku w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji, o trzeciej Witold Markowski powoli zwlekł się z łóżka, tak aby nie obudzić śpiącej obok żony, i poszedł zaparzyć sobie kawę. Dobrze wiedział, że gonitwa myśli, jaką miał w głowie, nie pozwoli mu już zasnąć. Wypił filiżankę kawy, patrząc przez okno na śpiący Suchodół, ubrał się najciszej, jak potrafił, i wyszedł z domu.

Zaparkował swój samochód na specjalnie oznaczonym miejscu z napisem „Komendant Policji w Suchodole” i ruszył do budynku. Nie zdążył jeszcze wejść do środka, gdy przez szklane drzwi zobaczył coś dziwnego. Stojąca na środku recepcji elegancko ubrana kobieta wymachiwała energicznie rękoma i coś wykrzykiwała. Z takiej odległości zupełnie nie słyszał, co mówiła, ale widać było, że jest czymś mocno wzburzona. „Pewnie ktoś porysował jej samochód albo ukradł pieska”, pomyślał i dalej szedł zamyślony.

- Szefie, jest sprawa - rzucił do niego od wejścia młody policjant, który był na nocnej zmianie.

- Dobry wieczór. Zajmij się panią - próbował go zbyć Witold Markowski, unikając kontaktu wzrokowego z kobietą. Nie miał ochoty

poświęcać swojego czasu na błahą sprawę, z którą zapewne przyszła zapłakana i rozhisteryzowana damulka.

- Tylko to chyba sprawa nie dla mnie - szepnął młody. - Ta pani twierdzi, że ktoś zamordował jej syna.

## Rozdział 3

2017bb

Praca na komisariacie w miasteczku tak małym jak Suchodół wiązała się raczej ze sprawami takimi jak kradzieże, włamania czy awantury domowe. Morderstwa zdarzały się niezwykle rzadko.

Stojąca przed komisarzem Witoldem Markowskim kobieta nie wyglądała jak większość odwiedzających ich osób. Na nogach miała czarne, eleganckie szpilki. Policjant był pewien na dziewięćdziesiąt procent, że mają czerwoną podeszwę, co według jego żony świadczyło o bardzo wysokiej cenie. Na plecy narzuciła coś, co przypominało futro, a jej nogi opinały szykowne spodnie. Całość jej stroju wyglądała powalająco i na pewno nie należała do najtańszych, lecz mimo swojego bogactwa kobieta zachowywała się jak każda osoba, która staje w obliczu jakiegoś nieszczęścia. Cały czas płakała, co spowodowało, że jej dopracowany makijaż spłynął, a fryzura przypominała bardziej sfatygowany mop do podłóg niż fryzurę eleganckiej damy.

- Ona zabiła mojego syna - powtarzała cały czas w drodze do sali przesłuchań.

Policjant od dawna nie zajmował się tego typu rzeczami, bo jak mawiała jego żona: „był od ważniejszych spraw”. Normalnie poprosiłby jednego ze swoich podwładnych, a dokładniej któregoś z bardziej doświadczonych policjantów, o przeprowadzenie rozmowy z roztrzęsioną kobietą, ale niestety o tej porze nie było nikogo, a sprawa wyglądała niepokojąco i należało się nią zająć natychmiast.

- Proszę się uspokoić i wyjaśnić, co się stało.

- Dobrze. - Siedząca naprzeciwko niego kobieta zrobiła dzióbek ustami i zaczęła powoli wypuszczać powietrze, co momentalnie wywołało w wyobraźni Witolda obraz kobiety rodzącej. Już chciał nawet to skomentować, ale odpuścił sobie, wiedząc, że może zostać to odebrane jako niestosowne. - Syn jak co tydzień pojechał na trening koszykówki. Wiedziała, że będzie wracał około dwudziestej, więc zadzwoniłam do niego, ponieważ potrzebowałam ryby do sałatki. Odebrał telefon, ale nic do mnie nie powiedział. Wyłapałam tylko jakieś dziwne wyrwane z kontekstu słowa.

- Co dokładnie pani usłyszała?

- Coś w stylu „kocham ją” i „nie zmusisz mnie”.

- Czyje to były głosy?

- Na pewno mojego syna. Poznam go zawsze i wszędzie.

- A druga osoba?

- Nie wiem, w sumie nie słyszałam jej głosu, ale z kontekstu wynikało, że to musiała być ona.

- Ona?

- Tak, niedoszła, mam nadzieję, teściowa mojego syna.

- Skąd ta pewność? - dopytywał dalej.

- Nie wiem dlaczego, ale nie lubi mnie. To dziwne. Poznałyśmy się dopiero niedawno, mimo że nasze dzieci spotykają się od jakiegoś czasu. Z tego, co syn mówił, to zawsze dobrze mu się z nią układało. Niedawno oświadczył się jej córce. Wszystko było okej do momentu, kiedy wyciągnął pierścionek. Dziewczyna zgodziła się, ale jej matka momentalnie pobladła i do końca wieczoru zachowywała się dziwnie. Jakby mój syn nie był godny jej córki.

- Co takiego? - Witold poczuł, że robi mu się ciepło. - Skąd takie podejrzenia o niechęci?

- Ta głupia baba wysłała mi notatkę głosową! - Nie czekając na zachętę, puściła nagranie. - „Wiem, kim jesteś, i wiem, co zrobiłaś. Dlatego trzymaj się i swojego syna z daleka od nas. Inaczej pożałujesz”.

Głos płynący z głośników telefonu komórkowego znał bardzo dobrze i od zawsze. Momentalnie poczuł, jak jego dłonie zaciskają się w pięści, a całe ciało napina. To była jego reakcja na zagrożenie czyhające na kogoś z jego bliskich.

- A dlaczego niby miałyby to zrobić? - spytał, mając wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z klatki piersiowej.

Dopiero teraz zorientował się, że siedząca przed nim kobieta to Kornelia Janiszewska, żona nieżyjącego od lat Grzegorza Mazurka, o której rozmawiał tak niedawno z kuzynką. Spojrzał na nią znad kartki, na której notował, i stwierdził, że zmieniła się nie do poznania w ciągu dwudziestu lat, od kiedy widział ją po raz pierwszy. Zrobione usta, nos, wygładzone czoło, ostrzyknięte kąciki oczu i ust, a także wypełnione i podniesione policzki powodowały, że w ogóle nie przypominała siebie sprzed lat.

- Nie wiem. Ja nigdy nikomu nic nie zrobiłam - powiedziała tak pewnym głosem, że gdyby nie przedstawione przez Annę dowody, w życiu by nie pomyślał, że kobieta mogłaby być morderczynią.

- Rozumiem. A dlaczego sądzi pani, że synowi coś się stało?

- Pewnie pomyśli pan, że jestem kontrolującą matką psychopatką. I może trochę jestem - westchnęła kobieta. - Od kiedy syn ma telefon, zawsze ma zainstalowany system namierzania.

- Rozumiem - skomentował Witold Markowski. Sam nigdy nie pomyślał nawet o takim rozwiązaniu w przypadku swoich dzieci. Zawsze wychodził z założenia, że najważniejsze jest zaufanie.

- Wiem, nie powinnam była. Zaufanie, takie sprawy - odpowiedziała, a on poczuł się tak, jakby czytała w jego myślach. - Ale jestem matką, która wychowywała syna samotnie, i proszę uwierzyć, on jest najcenniejszym, co mam. Ma dwadzieścia pięć lat, ale dla mnie zawsze będzie moim małym synkiem. Dotychczas tylko trzy razy wykorzystałam to ustrojstwo. Za każdym razem byłam z tego faktu niezmiernie zadowolona. I tym razem chyba też powinnam, tylko...

Kobieta nie skończyła wypowiedzi, bo zaczęła ponownie płakać. Łzy płynęły jej po zaczerwienionych policzkach, a z nosa ciekła wodnista substancja. Nie przypominała dostojnej kobiety, którą zapewne była na co dzień.

- Proszę się uspokoić. Na pewno wszystko da się racjonalnie wyjaśnić, tylko musi pani zebrać się w sobie i powiedzieć, co dokładnie się stało - poprosił kobietę, cały czas licząc, że się myli i udział Anny jest wytłumaczalny.

- Przepraszam, ale to jest straszne. - W tym momencie sięgnęła po stojącą na krześle obok torbę. Nie była to mała torebka, w której kobiety chowają telefon i pomadkę, ale wielka torba mogąca pomieścić sporo rzeczy. Kobieta pewnym ruchem ręki wyciągnęła z niej plastikową siatkę. - Znalazłam to.

- Zaraz mi pani wyjaśni, co to jest, ale najpierw proszę o kilka słów wstępu. Gdzie to pani znalazła i jak na to trafiła?

- Tak jak mówiłam, mam ten system namierzania telefonu. Więc bojąc się o syna, aktywowałam go. Telefon się nie przemieszczał. Był w dość dziwnym miejscu, bo w lesie. Nie mogąc się dodzwonić do syna, wsiadłam w auto i tam pojechałam.

- Sama?

- Tak. Pomyślałam, że gdybym zadzwoniła na policję, stwierdzilibyście, że jakaś nawiedzona, przewrażliwiona mamuśka wszczyną alarm, bo boi się o swojego rozpieszczonego synalka.

- Proszę tak nie mówić, to niesprawiedliwe.

- Ale prawdziwe. Zresztą nieważne, pojechałam tam. Było bardzo ciemno. W okolicy żadnych domów. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak. Na poboczu stał samochód mojego syna. Wszystkie światła miał powyłączone. Proszę uwierzyć, przestraszyłam się nie na żarty. Wyjęłam latarkę ze schowka i ustawiłam samochód tak, aby oświetlał auto syna. W środku nikogo nie znalazłam. Ale najgorsze było to, co leżało kilka metrów od samochodu. Na ziemi jego bluza - pokazała worek - a obok zerwany łańcuszek. Taki sam widziałam u tej suki, matki Matyldy, gdy przyszła do mnie na kolację. To ona zabiła mi syna! - Kobieta ponownie zaczęła krzyczeć. Z minuty na minutę robiła to coraz głośniej, aż sens jej słów zaczął się zacierać. Komendant Witold Markowski z obolałą od wrzasków głową wyszedł na korytarz. Wiedział, że czeka go jedna z najtrudniejszych spraw w życiu.

## Rozdział 4

- Nie możesz się poddawać!

- Serio? - skomentowała kąśliwie Anna, która zdecydowanie nie przypominała siebie. Kilka spędzonych w areszcie dni zrobiło swoje. Witold zawsze cenił ją za spokój i opanowanie, ale wiedział, że w zaistniałej sytuacji strach i przerażenie miały prawo dominować.

Zresztą nie dziwił się. Sprawa wyglądała fatalnie. Na miejscu zaginięcia chłopaka znaleziono ślady wskazujące właśnie na Annę, a w jej domu zakrwawiony młotek. Gdy dodatkowo na światło dzienne wyszły stare zdjęcia, na których widać zakochaną parę - Grzegorza i Annę, komendant wiedział, że tylko cud może ich uratować.

Ale chyba tym, co najbardziej niszczyło psychikę Anny, była jej zrujnowana relacja z córką. Po długich rozważaniach kobieta postanowiła wyjaśnić Matyldzie sprawę sprzed lat. Opowiedziała córce o swoim związku z Grzegorzem, o ich potajemnych zaręczynach, które nie trwały długo, a które przerwała jego śmierć. Opowiedziała, że jej ojciec był mężem Kornelii, co oznaczało, że zaręczyła się z własnym bratem.

Ku zaskoczeniu Anny córka odrzuciła jej wersję zdarzeń. Powiedziała, że matka chce zniszczyć szczęście, które znalazła u boku Filipa. Stwierdziła, że Anna sama nigdy nie była kochana przez żadnego mężczyznę i teraz chciała to samo brzemie zrzucić na jej barki. Nie czekając na bardziej szczegółowe wyjaśnienia, po prostu wyszła z widzenia i zapowiedziała, że nie zamierza brać udziału w tym cyrku. Chce się skupić na poszukiwaniach Filipa, bo tylko on się dla niej liczy.

Gdy Witold wysłuchał długiego monologu kuzynki, którą kochał jak siostrę, zupełnie nie wiedział, co ma zrobić.

- Porozmawiam z nią - wydusił w końcu z siebie. To była jedyna rzecz, którą mógł obiecać i zrobić.

- To nic nie da. Wie, że mi pomagasz, i nie będzie chciała cię słuchać.

- Nie martw się, dam radę. Jakby co, użyję starej, lecz sprawdzonej broni - powiedział i puścił do niej oczko.

- Gilgotek? - spytała z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. - To działało jakieś piętnaście lat temu. Teraz to dorosła panna. Ona pije alkohol i uprawia... - Urwała i spojrzała na niego przerażonym wzrokiem. - Na samą myśl mnie mdli.

- A może nie są rodzeństwem?
- Może któreś podmienili w szpitalu, ale małe prawdopodobieństwo.
- Nie powinienem ci tego mówić, ale zleciłem badanie genetyczne.

Niedługo powinny być wyniki.

- A skąd miałaś...

Nie zdążyła dokończyć, bo szybko wtrącił:

- Poszedłem do was do domu i zabrałem jej szczotkę do włosów.
- Jesteś kochany, dzięk... - Kobieta zawiesiła jednak głos, widząc przerażenie w oczach kuzyna. - Czemu tak na mnie patrzysz?
- Jak wyjdzie, że są spokrewnieni, to będzie dla sądu dodatkowy dowód, że miałaś powód do zabicia Filipa.

## Rozdział 5

2017bb

- Szeffie? - usłyszał głos Doroty Czerwińskiej i powoli otworzył oczy. Ostatnie dni spowodowały, że był półprzytomny. Już raz w życiu poniósł sromotną klęskę zawodową i nie odnalazł swojej siostry. Nie chciał, aby sytuacja się powtórzyła, dlatego spędzał na komendzie dużo więcej czasu niż zazwyczaj, o co wyjątkowo żona się nie czepiała.

- Słucham? - Poprawił się na fotelu, licząc, że podwładna nie zauważyła jego chwilowej niedyspozycji. Sięgnął po leżącą na biurku teczkę jednej z prowadzonych spraw, próbując udawać, że jest zajęty.

- Czy często słucha pan swojego wewnętrznego głosu? - rzuciła, czym wywołała zdziwienie u rozmówcy. Pytanie to zadziało trochę jak kawa, bo od razu poczuł zaciekawienie. Dobrze wiedział, że nie pytałaby bez powodu.

- Gdy nawet coś szepcze, nawet tak niedosłyszalnie, to nadstawiam bardziej uszu. Gdy byłem młodym policjantem, odpuściłem kilka razy, licząc, że starsi, bardziej doświadczeni koledzy mają rację. Niestety przejechałem się na tym - powiedział i poczuł, że pięść mu się zaciska.

Cały czas nie mógł sobie darować, że dwadzieścia lat wcześniej posłuchał prokuratora Czarneckiego i odpuścił. Nie węszył dalej, mimo że przecucie mówiło mu, że to nie lekarka stoi za śmiercią Mazurka.

- No właśnie - westchnęła policjantka.

- Możesz wyjaśnić, o co chodzi dokładniej?

- Wczoraj wieczorem zupełnie przypadkiem pomagałam mundurowym. Zapowiadało się niewinnie. Znaleźli pijanego gościa...

- Aha - wtrącił. - Chyba to nie twoje kompetencje...

- Wiem, ale nie mogłam się powstrzymać. Przechodziłam obok, gdy zobaczyłam radiowóz, więc podeszłam. Wie szef, taka psia ciekawość. Patrol znalazł w krzakach mężczyznę, był zalany w trupa.

- Czyli poszedł w tany - wtrącił ponownie komendant.

- Dokładnie. Miał ze trzy promile alkoholu w wydychanym powietrzu. Chłopaki zabrali go, żeby wytrzeźwiać, a ja poszłam do jego domu, powiadomić rodzinę o sytuacji, żeby się nie martwili.

- Porządna obywatelka.

- Tylko że okazało się, że to nie pijany mąż jest problemem.

Witold Markowski oparł się o blat biurka i z niecierpliwością czekał na dalszy ciąg historii, nerwowo skubiąc skórki u kciuka lewej dłoni.

- A co?

- Chwila. Do ich domu było raptem trzy minuty, więc poszłam spacerkiem. Gdy stanęłam przed niepozornym domkiem, który wyglądał jak biały klocek, nic nie wskazywało na tragedię. Ich posesja nie była ogrodzona, więc od razu podeszłam do drzwi frontowych. Już chciałam zadzwonić, gdy zauważyłam, że są lekko uchylone. Popchnęłam delikatnie i nasłuchiwałam. Panowała totalna cisza, więc krzyknęłam coś w stylu „Tu starsza aspirant Dorota Czerwińska z komendy w Suchodole. Jest ktoś?”. I wtedy usłyszałam jakiś dziwny dźwięk. Ni to kasznięcie, ni to jakiś krzyk, więc weszłam. To, co tam zobaczyłam, to... - Dorota Czerwińska zaniemówiła i wyciągnęła telefon. Wpisała kod, odnalazła coś w galerii zdjęć i podała komendantowi.

- O Boże - powiedział z przerażeniem.

Wiele w swojej pracy widział, ale ten widok zdecydowanie należał do tych najgorszych. Najbardziej krwawych. Na podłodze leżała kobieta z nienaturalnie wygiętymi rękami, co było spowodowane faktem, że



spadła ze schodów. Podczas upadku musiała kilkakrotnie uderzyć się w głowę i nie tylko, ponieważ wszędzie dookoła było mnóstwo krwi.

- Powiem tak, zdjęcia nie oddają tego, co tam zastałam. Nie wiem, co tam się stało, ale kobieta była strasznie pokiereszowana. Miała trudności z oddychaniem i raz po raz kaszłała krwią. Oczywiście wezwałam karetkę i od razu zabezpieczyłam drogi oddechowe, żeby się nie udusiła. Najgorsze było to, że cały czas była świadoma. W oczach miała strach, a gdy wbiegali medycy, ostatkiem sił wyszeptała „to on” lub „to ona”, a może „to oni”. Zupełnie nie wiem, bo strasznie bełkotała, a po chwili przestała oddychać.

- Jezu. Umarła?

- Na szczęście nie, żyje. Zawieźli ją do Poznania. Na chwilę obecną jej stan jest bardzo zły. Ma złamane obie ręce, rozległe obrażenia głowy, klatki piersiowej. Spadła ze świeżo zrobionych schodów, takich, że są same deski i pod nimi prześwity. A co najgorsze, miały bardzo ostre krawędzie - powiedziała Dorota Czerwińska i opadła plecami na oparcie krzesła, dając znak, że to koniec opowieści.

- Straszne... Nie chcę wyjść na nieczułego, ale to tyle? - spytał zdziwiony komendant.

- Tak, a czego się szef spodziewał?

- No w sumie to nie wiem. I też do końca nie wiem, co tutaj podejrzanego?

- No tak, faceci - westchnęła i teatralnie przewróciła oczami. - Jak zwykle zero zrozumienia.

- Hola, hola, proszę nie generalizować. Ja mam bardzo duże zrozumienie dla wielu niezrozumiałych spraw, więc nie życzę sobie wrzucania mnie do jednego wora z tymi, co nie wychwytyją nieoczywistego.

- Przepraszam. Ale mam wrażenie, że ona chciała mi powiedzieć, że to nie był wypadek.

- Czy ktoś popiera twoje stanowisko?

- No właśnie tutaj jest problem. Lekarz, z którym rozmawiałam, powiedział, że to typowe obrażenia dla upadku ze schodów.

- Czyli nie ma podstaw dla prokuratora do działania. Chyba że zezna, że mąż czy ktoś inny ją zepchnął, tylko musi się wybudzić.

- Wiem. Na moje nieszczęście jedyny prokurator, który nie boi się wyzwań, czyli Siwek, wyjechał aż na miesiąc i nie został nikt ludzki, kto pozwoliłby mi działać.

- A co z mężem?

- Wytrzeźwiał i siedzi przy jej łóżku, udając najlepszego męża na świecie.

- A może faktycznie nim jest. Tylko ty jesteś cięta na cały męski gatunek i wszędzie szukasz jakiegoś spisku.

- Nie wydaje mi się. Tak jak powiedziałam na początku, czuję, że coś jest nie tak.

- Rozumiem, a czego oczekujesz ode mnie?

- Hmm, zgody na delikatnie powęszenie?

- Co masz na myśli?

- Chciałabym popytać sąsiadów. - Uśmiechnęła się, szczerząc zęby. - Oczywiście męża, no i nianię.

- Nianię? - powiedział zdziwiony, bo od początku zakładał, że chodzi o starszą osobę, czyli raczej taką, która już odchowała swoje dzieci. - To ile lat ma ta kobieta, co spadła?

- Na moje oko ze trzydzieści pięć. Strzelam, że jest młodsza ode mnie. Mają dwójkę dzieci, tak pewnie koło trzech, pięciu lat. Nie wiem dokładnie. Gdy stałam koło ambulansu i patrzyłam, jak pakują poszkodowaną, podbiegła jakaś przerażona kobieta. Bardzo szczupła blondynka, o niespotykanie długich włosach, miała je chyba do pasa...

- Czerwińska, do meritum - ponaglił ja komendant.

- Widać było, że jest bardzo zdenerwowana. Okazało się, że jest opiekunką dzieci Iwony i Jarosława Zubrzyckich. Nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Bawiła się z dziećmi na placu zabaw, gdy jakaś kobieta powiedziała jej, że pod domem rodziców dzieci, którymi właśnie się opiekowała, stoi karetka. Poprosiła znajomą mamę o popatrzenie na jej podopiecznych i pognęła do ich domu.

- Czyli już z nią rozmawiałaś - skomentował.

- To było zdecydowanie za krótko. Ona od razu pobiegła po dzieci. Była przerażona. W sumie to się nie dziwię. Została z dwójką cudzych dzieci. Ojciec nawalony ogarniał się na izbie wytrzeźwień, a matka walczyła o życie.

- Okej, zrobmy tak. Dam ci zielone swiatlo na rozmowe z mezem, opiekunka i najblizszymi sasiodami, ale sa dwa warunki. O wszystkim mnie informujesz i maja byc w przyjacielskim tonie. Nie chce miec klopotow, a tym bardziej wkurzonego prokuratora na glowie.

## Rozdział 6

2017

Obserwowanie calego tego zamieszania bylo nie lada rozrywka. Malo ktore reality show dostarczalo tylu skrajnych emocji. Przeplatalo sie niedowierzanie, strach, obrzydzenie i duza dawka niepewnosci co do tego, co przyniesie kolejny dzien. To byly uczucia drugiej strony.

Filip patrzyl na wszystko i czul ogromna satysfakcje. Zemstil sie na wszystkich, ktorzy wedlug niego zniszczyli mu zycie. Moze najmniej przyczynila sie do tego Matylda, ale byla corka kobiety, przez ktora rodzice mieli sie rozwiesc.

I prawdopodobnie wszyscy unikneliby kary, gdyby nie list pozegnalny, a tak wlasciwie telefon z kancelarii adwokackiej w sprawie wujka Tadeusza, na ktorego wiecezosc mowila Tadek. Brata jego ojca.

Od smierci ojca nie opuszczal zadnych jego urodzin, imienin czy obiadow swiatecznych. Az do czasu dwunastych urodzin Filipa. Wtedy widzial go ostatni raz. Dzien po nich wujek po prostu zniknal. Gdy wiecez skontaktowal sie z nim adwokat reprezentujacy go, chlopak byl w szoku. Przez tydzien chodzil i rozmyslal, czy powinien isc na spotkanie z mezczyzna. Najchetniej spytalby matke o zdanie, ale dzwoniacy wyraznie powiedzial, aby nie informowal o tym nikogo. W koncu wygrala ciekawosc.

Matce powiedzial, ze jedzie z kolega na zakupy do Poznania i nie bedzie go caly dzien, a tak naprawde wsiadl w pociag i ruszyl w podroz do Warszawy. Przez cala droge zastanawial sie, co moze byc przedmiotem rozmowy oraz jakie byly powody znikniencia wujka. Widziec sie z mezczyzna nie planowal. Nienawisc pielagnowana latami

nie pozwalała na to. Zresztą już na samym początku spotkania został poinformowany, że to niemożliwe.

- Bardzo mi przykro, ale pana wujek zmarł miesiąc temu. Niestety od wielu lat chorował i jego organizm w końcu się poddał - powiedział adwokat.

- Nie obchodzi mnie to - wyrzucił z siebie Filip, chcąc pokazać, że jest ponad to.

- Rozumiem. Ostatnią wolą zmarłego było przekazanie panu tej skrzynki.

- Skrzynki?

- Tak. - Mężczyzna pokazał drewniany przedmiot stojący na szafce obok biurka, przy którym siedzieli. Wyglądała zupełnie niewinnie. W żaden sposób nie wskazywała na to, co może w sobie zawierać.

- Ale ja nic od niego nie chcę.

- Jak najbardziej rozumiem, ale proszę tylko do niej zerknąć. Jest tam list. Proszę się z nim zapoznać. Potem zdecyduje pan, co dalej. Czy chce pan przyjąć spadek, czy mamy go przekazać na cele charytatywne?

- Spadek? - spytał zdziwiony chłopak.

- Tak, wujek zapisał panu cały swój dobytek. W sumie ze wszystkimi nieruchomościami jest to prawie sześć milionów.

- Sześć milionów? - powtórzył po adwokacie.

- Tak. To jest ta część, która została wyceniona, bo jeszcze...

Nie zdążył dokończyć, ponieważ Filip mu przerwał:

- Ale ja nie chcę.

W tym momencie adwokat wstał i wyciągnął do chłopaka rękę, w której trzymał kluczyk.

- Wujek tego się spodziewał. Prosił, by panu powiedzieć, że... - W tym momencie poważny mężczyzna w garniturze zaczął recytować wierszyk dla dzieci:

*Do biedronki przyszedł żuk,*

*W okieneczko puk-puk-puk.*

*Panienczka widzi żuka:*

*„Czego pan tu u mnie szuka?”*

*Skoczył żuk jak polny konik,*

*Z galanterią zdjął melonik  
I powiada: „Wstań, biedronko,  
Wyjdź, biedronko, przyjdź na słońko.  
Wezmę ciebie aż na łączkę\*...*

- I poproszę o twą rączkę\* - dokończył zdanie Filip i poczuł, że łza zaczyna spływać mu po policzku. Gdy był mały, zawsze, gdy się widzieli, wujek opowiadał wierszyki, a te Brzechwy uwielbiał. Chłopak nie słyszał żadnego z nich od jego zniknięcia. - Dobrze, przejrzę to. Ale proszę na nic się nie nastawiać.

- Oczywiście - odpowiedział adwokat, położył kluczyk na biurku i wyszedł.

---

\* „Żuk”, Jan Brzechwa

## Rozdział 7

2017

Starsza aspirant Dorota Czerwińska zastała Jarosława Zubrzyckiego przed domem, gdzie wraz z dwójką dzieci grał w piłkę. Z daleka wyglądał zupełnie normalnie. Czterdziestoletni mężczyzna z lekkim brzuskiem, przeredzającymi się włosami, które kiedyś prawdopodobnie były ciemnobrązowe lub nawet czarne, a pod wpływem czasu ich odcień mocno się przyprószył. Na nosie miał modne oprawki - z przodu czarne, a po bokach drewniane, a jego strój można było nazwać sportową elegancją. Trochę przypominał policjantce Jakuba, za co zganiła się w myślach, po czym spokojnym krokiem, tak aby nie przestraszyć śmiejących się dzieci, podeszła bliżej. Wcześniej zadzwoniła do mężczyzny, uprzedzając o swojej wizycie, więc gdy się przedstawiła, nie był zdziwiony.

- Dzieciaki, idźcie do Marleny. Czeka na was w środku - powiedział do syna i córki, którzy momentalnie posmutniali, a mimo to grzecznie wykonali prośbę ojca.

- Przepraszam, mogłam w sumie poczekać, aż skończy pan zabawę z dziećmi.

- Nie ma sprawy. One tak mogą godzinami. Ja mam wrażenie, że mają jakieś turbodopalenie, więc w sumie uratowała mnie pani przed zawałem. - Uśmiechnął się, chociaż jego twarz nadal wyglądała smutno.

- Tak jak wspominałam przez telefon, chciałam porozmawiać o wypadku.

- Wiem, ale nie rozumiem po co.

- Tak, wszystko wskazuje na nieszczęśliwy wypadek, jednak zawsze wolimy takie rzeczy sprawdzić dwa razy. Poza tym pewnie żona była ubezpieczona, więc dobrze mieć wszystko sprawdzone, żeby nie było problemów z odszkodowaniem za uszczerbek na zdrowiu, co zapewne przyda się na dalsze leczenie. - Dorota Czerwińska powiedziała to lekkim i pewnym tonem, licząc, że rozmówca nie wychwyci jej kłamstwa, które wymyśliła wcześniej. Policji nie interesowały tego typu sprawy.

- Dziękuję, zupełnie o tym nie pomyślałem. Może dlatego, że na razie jest... - Zawiesił głos i obrócił się w stronę domu. - Kurwa mać! - krzyknął nagle i zamachnął się nogą, kopiąc w wypielegnowany trawnik. - Ja cały czas nie wiem, jak to się stało. Dlaczego weszła na te schody? Przecież facet, który je robił, prosił, abyśmy je omijali. Zabezpieczyliśmy je nawet przed dziećmi. Jezus Maria, ja nawet nie chcę myśleć, co się stanie, jeśli ona... - Chwycił się za włosy na głowie, tak jakby chciał je wyrwać. Nie miał ich za długich, na czubku miały może ze dwa, trzy centymetry, więc już chwycenie w palce musiało boleć.

Starsza aspirant Dorota Czerwińska patrzyła na to z co najmniej mieszanymi uczuciami. Z jednej strony współczuła mężczyźnie, ale z drugiej miała wrażenie, że rozgrywa się przed nią jakieś przedstawienie. I to takie, do którego zatrudniono średniego aktora, który śmieje się nieszczercze, a tam, gdzie ma uronić dwie łezki, płacze jak bóbr.

- Może mi pan opowiedzieć, co dokładnie wydarzyło się tamtego dnia?

- Tak, oczywiście - powiedział, po czym zamilkł. - Przepraszam za moje mało gościnne zachowanie, ale może usiądziemy w środku?

- Dziękuję, chętnie skorzystam - odpowiedziała i pozwoliła się poprowadzić do wnętrza.

Przy pierwszej wizycie zupełnie nie zauważyła, jak przyjazne jest to miejsce. Wszędzie na ścianach pozawieszano zdjęcia, na których większości była cała rodzina, a czasami same dzieci lub sami rodzice. Cała podłoga wyłożona była przyjemną w dotyku wykładziną, dość niefunkcjonalną w przypadku małych pociech, jednak nadającą wnętrzu przytulny wygląd.

Usiedli przy kuchennym stole, który każdy kant miał zabezpieczony, aby w razie uderzenia przez dziecięcą głowę zminimalizować uraz. Z ich miejsc doskonale widzieli ogród i zaczynający się właśnie mecz piłki nożnej. Cała trójka, dwoje szalejących szkrabów oraz ich niania, biegali jak nakręceny, nie odpuszczając pomimo upadków i problemów z okiełznaniem piłki.

- Napije się pani czegoś? - przerwał jej obserwacje pan domu.

- Tak, poprosiłabym wodę.

Po kilkudziesięciu sekundach postawił przed nią naczynie wyglądające na szklane, które ku zaskoczeniu Doroty Czerwińskiej okazało się plastikowe. Gospodarz zauważył jej zdziwienie i skomentował:

- Też w to nie wierzyłem. Wygląda jak szkło, a nim nie jest. Iwona ma fioła na punkcie bezpieczeństwa, dlatego tym bardziej nie mogę zrozumieć, dlaczego tam weszła. Szczególnie że są drugie schody z piętra. Te miały być dla nas, takie prywatne.

- Rozumiem. Możemy wrócić do mojego pytania? Jak minął panu dzień wypadku?

- Tak. Rano wstałem około piątej trzydzieści i poszedłem biegać. - Mężczyzna, widząc konsternację na twarzy rozmówczyni, poklepał się po brzuchu i powiedział: - Przed ciążą żony zawsze dużo ćwiczyłem. Później urodził się Artur, niewiele później Dominika, i nagle okazało się, że nie mam czasu. A tak naprawdę to szukałem wymówki. W zeszłym roku zmarł teść. Nie był starym dziadkiem. Mógł śmiało pociągnąć jeszcze dziesięć czy nawet dwadzieścia lat, ale nigdy o sobie nie dbał. Iwona bardzo to przeżyła, nie ma rodzeństwa, a matka zginęła w

wypadku dziesięć lat temu. Obiecałem jej, że wezmę się za siebie i nie doprowadzę do takiej sytuacji, a ponieważ w ciągu dnia pracuję, a później staram się spędzać z dziećmi sporo czasu, to takie chore godziny mi pozostały.

- Podziwiam - wtrąciła Dorota i pokiwała z uznaniem głową. Nigdy nie musiała tak wcześnie wstawać, aby się poruszać, jednak wiedziała, że to się niebawem zmieni.

- Nie ma co podziwiać. Mamy jedno życie i trzeba o nie dbać, szczególnie jak ma się dla kogo. Po bieganiu wykąpałem się, zjadłem śniadanie i pojechałem do pracy, a później... - Mężczyzna zawiesił głos, wyraźnie zawstydzony.

- Upił się pan do nieprzytomności - skończyła za niego, momentalnie tego żałując. Jarosław Zubrzycki ku zaskoczeniu Doroty sprawiał wrażenie bardzo porządnego i troskliwego ojca, a także męża, co zupełnie nie pasowało do przyjętych przez nią wcześniej założeń.

- Tak - powiedział, zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Zapanowała cisza, którą przerywały tylko wesołe okrzyki dobiegające z ogrodu. W końcu otworzył oczy i powiedział: - Nigdy sobie tego nie wybaczę. O tej godzinie i tak miało mnie nie być w domu, ale może gdyby kolega nie zaprosił mnie na wczesną kolację, którą zaczęliśmy już o siedemnastej, to może wróciłbym wcześniej i wtedy... ona... Nie wie pani, jakie to jest straszne. Gdy dzwoni jakiś nieznany numer, od razu podskakuję, bojąc się, że to ze szpitala. Jeżdżę tam trzy razy dziennie. Przed pracą, w przerwie i po. Najchętniej siedziałbym tam cały czas, ale wiem, że muszę próbować żyć normalnie. Szczególnie dla nich. - Wskazał ręką na swoje dzieci i uśmiechnął się pomimo zaczerwienionych oczu.

- Przepraszam za to pytanie, ale muszę. Często się zdarza, że się pan tak upija, w następstwie czego łąduje z krzakach w parku?

- Nie! - krzyknął. - Zresztą ostatnio mało piję. Prawie wcale. To Zbyszek narzucił takie tempo. Niedawno urodził mu się syn, a ja nie dotarłem na pępkowe, więc to miała być rekompensata. Gdy wychodziłem z knajpy, wydawało mi się, że czuję się nie najgorszej, dlatego wybrałem spacer. Chciałem chociaż trochę dojść do siebie, żeby nie denerwować Iwony. Szczerze to nie pamiętam, jak to się stało, że zasnąłem na ławce. Może przysiadłem, bo poczułem się słabo, a potem spadłem w krzewy? Nie mam zielonego pojęcia.



- A czy ostatnio pana żona zachowywała się jakoś dziwnie? Coś się wydarzyło?

- Hmm. Jak by to powiedzieć... Żona od czasu śmierci matki boryka się z depresją. Czasami bywało lepiej, później gorzej. Jednak gdy jej ojciec odszedł, zrobiło się jeszcze gorzej. Iwona stosowała różne metody. Jogę, muzykoterapię, zmieniła dietę, przeszła wszystkie łagodne formy leczenia, ale muszę pani szczerze powiedzieć, najlepsze są leki. Trochę mi ją zabierają, ale wiem, że czuje się po nich lepiej. Czasami mam wrażenie, że traci przez nie kontakt z rzeczywistością i gada głupoty.

- Głupoty? Co ma pan na myśli? - spytała Dorota Czerwińska, sięgając po nietypową szklanekę.

- Czuję się dość niekomfortowo, mówiąc o tym, tak jakbym zdradzał żonę. Ale... ona twierdziła, że coś nam zagraża.

- Powiedziała coś więcej?

- Nie. Twierdziła, że musi się dowiedzieć więcej i wtedy mi powie - odparł mężczyzna i nagle wstał. Za oknem na trawniku leżał jego syn, który sekundę wcześniej potknął się o krzak i krzyczał w niebogłosey. - Przepraszam, muszę iść. Jakby coś jeszcze chciała pani wiedzieć, proszę dzwonić.

## Rozdział 8

2017

Filip powoli podszedł do szafki, na której leżało pudełko, i delikatnie przeniósł je na biurko. Zachowywał się tak, jakby mogło rozpaść się pod wpływem zbyt gwałtownego ruchu. Nie śpiesząc się, podniósł kluczyk i otworzył zamek. Zupełnie nie wiedział, czego się spodziewać. Po ciężarze wnioskował, że znajduje się tam nie tylko list. Było jeszcze coś, co przesuwano się po dnie skrzynki.

Powoli zaczął otwierać wieko, wstrzymując oddech. W środku znajdowała się duża koperta i materiałowy worek, związany

krwistoczerwoną wstążką.

W pierwszej kolejności chłopak chwycił za kopertę, trochę większą niż A4. Nie było na niej nic napisane. W środku, co nie było zaskoczeniem, były kartki. Nie jedna, a kilka.

Powoli zaczął czytać. Początek był nudny. Tadeusz tłumaczył, co robił przez ostatnie dziesięć lat, a nawet i więcej. Mało ciekawe rzeczy o jego karierze w jakiejś niemieckiej firmie, z którą współpracował już wcześniej. Filip już był bliski odłożenia listu, gdy trafił na dużo ciekawszy wątek:

*Wiem, że moje zniknięcie musiało być dla Ciebie wstrząsem. Ale uwierz, nie byłem w stanie zostać. Gdybym to zrobił, w końcu bym wybuchnął.*

*Nie wiem, czy pamiętasz, ale krótko przed moim zniknięciem robiłem remont. Chciałem zrobić niespodziankę Twojej mamie i odświeżyłem jej garderobę. Niestety zamiast niespodzianki zrodziła się z tego wielka tragedia. Odkryłem, że to Twoja mama stoi za śmiercią mojego brata.*

*Pewnie jesteś w szoku. Ja też byłem. Twoja mama miała list, który zostawiła w tamtym hotelu jakaś kobieta, a także narzędzie zbrodni. Początkowo myślałem, że to jakieś przypadkowe rzeczy, ale później zacząłem łączyć fakty, a ona, pociągnięta za język, wszystko potwierdziła.*

*Obawiam się, że to będzie dla Ciebie ciosem, ale Twoja matka nie jest osobą, za jaką ją uważasz. Może zniszczę Ci życie tym listem, ale po latach w samotności, po latach życia w cierpieniu doszedłem do tego, że prawda, jakkolwiek by nie była, jest zdecydowanie lepsza od życia w kłamstwie.*

*Po pierwsze, to ja jestem Twoim ojcem.*

W tym momencie Filip poczuł, że cały pokój zaczyna się kręcić. „To nie może być prawda”, pomyślał. „Mama zawsze była blisko z wujkiem, ale żeby tak?”

*Wiem. Jesteś w szoku. Zrobiłem badania, wyniki masz w pliku kartek, które pewnie trzymasz w dłoni. Jak chcesz, możesz zrobić swoje. Adwokat ma mój materiał genetyczny i bez problemu Ci go udostępni.*

*Kochałem Grzegorza jak brat brata. Ale nie zmienia to faktu, że był okropnym człowiekiem. Nie szanował nikogo, a szczególnie kobiet. Rozkochawał je, a później rzucał. Jak zepsute zabawki lub takie, które mu się po prostu znudziły.*

*Nie wiem, jak to było dokładnie, ale po raz tysięczny pocieszałem Twoją matkę po jego zdradzie. Obiecywałem, że pomogę, jeśli od niego odejdzie. I wtedy to się stało. Dobra, nie będę kłamał, to nie był jeden raz. Potem urodziłeś się Ty. Zupełnie nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. Powiedzieć bratu, odejść z jego żoną? Zamiast tego czekałem. Patrzyłem, obserwowałem. Miałem nadzieję, że się uspokoi. Zrezygnuje z hulaszczego życia, jakie dotychczas prowadził, bo został ojcem. Chwilę wytrzymał, ale szybko wrócił do swoich starych przyzwyczajzeń.*

*Podrywał każdą kobietę w okolicy. Czasami ciągnął kilka romansów równoległe, aż w końcu ktoś nie wytrzymał. Któraś z kobiet powiedziała dość. Długo myślałem, że to ta, którą skazano. Wiem, że była wybuchowa i dość stanowcza. Nie przypominała morderczyni, ale czy wszystkie skazane wyglądają, jakby odebrały komuś życie?*

*Po śmierci Grzegorza Twoja mama nalegała, żebyśmy byli razem. Że teraz w końcu możemy się ujawnić. Jednak ja nie byłem na to gotowy. Nie to, że nie chciałem wziąć za Ciebie odpowiedzialności. Zawsze byłem blisko Was, a na każde wezwanie Twojej matki stawiałem się grzecznie i pomagałem. Jakiś wewnętrzny głos mnie przestrzegał przed związkim z Kornelią, mimo że wcześniej tak bardzo tego chciałem.*

*I dobrze się stało.*

*W skrzynce znajdziesz moje odkrycia. Jest tu młotek, czyli narzędzie zbrodni, którego nigdy nie znaleziono, a na które ja trafiłem podczas tego nieszczęsnego remontu. Niestety badania, które zleciłem z pomocą znajomego, potwierdziły, że są na nim ślady krwi Grześka, a na trzonku odciski Kornelii. Przykro mi, ale dowody są niepodważalne.*

*Jest też list, który jakaś kobieta zostawiła w hotelu po nocy z Grześkiem, znalazłem też pierścionek zaręczynowy, ale ten*

*Twoja mama zdołała mi odebrać. Początkowo uparcie twierdziła, że to ta kobieta, która została skazana. Przez chwilę nawet jej uwierzyłem, ale później zacząłem zadawać pytania. Dlaczego nie powiedziała o zaręczynach? Dlaczego nie opowiadała, że planowali wspólne życie? Przecież to byłoby na jej korzyść. Żadna kobieta nie zabiłaby mężczyzny bezpośrednio po tak ważnym momencie w życiu. Nie wiem dlaczego, ale wynająłem wtedy detektywa. Miał kawał ciężkiej roboty do zrobienia. Szczerze powiem, że nie wiem, jak tego dokonał, ale znalazł autorkę listu zostawionego w hotelu. Dodatkowo okazało się, że...*

Filip czytał dalej z wielkim zainteresowaniem. Gdy skończył, poprosił adwokata o zrobienie kopii listu i przechowanie drewnianej skrzynki wraz z zawartością. Nie chciał, żeby trafiły w nieodpowiednie ręce.

Nigdy nie lubił jazdy pociągiem. Obcowanie z nieznanymi na małej przestrzeni zawsze wzbudzało w nim niechęć. „Pewnie to jedna z fobii przekazanych przez matkę”, pomyślał i rozejrzał się. Teraz jednak w ogóle mu to nie przeszkadzało, a wręcz był wdzięczny za chwilę samotności. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wyciągnął z plecaka list i przeczytał go trzy razy. Powoli w jego głowie zaczął się pojawiać plan. Zniszczy wszystkich, którzy zmienili jego świat w iluzję i odebrali szansę na normalne życie. I nie będzie patrzył na więzy krwi. Przecież to tylko czerwony płyn ustrojowy, który owszem, spełnia wiele funkcji, ale nie powinien determinować, kogo można, a kogo nie można... zabić.

## **Rozdział 9**

2017

Stan Iwony Zubrzyckiej z dnia na dzień powoli się poprawiał. Niestety na jakąkolwiek rozmowę starsza aspirant Dorota Czerwińska musiała jeszcze poczekać. Uszkodzona przy intubacji krtani, a także połamane

ręce powodowały, że nie miała możliwości porozmawiania z kobietą ustnie ani za pomocą pisemnych odpowiedzi.

Mimo to policjantka nie zamierzała odpuszczać. To, co usłyszała na koniec rozmowy z mężem kobiety, mocno zapadło jej w pamięć. Miała dowód na to, że coś w jej wypadku było nie tak. Po konsultacji z komendantem ruszyła na rozmowę z sąsiadami. Nie raz, nie dwa okazywało się, że baczne oko ludzi mieszkających w pobliżu zdarzenia wychwytuje dużo więcej niż zawieszona na elewacji kamera.

Gdy podjechała na osiedle małych domków, od razu zauważyła w oknie budynku sąsiadującego z domem Zubrzyckim kręcącą się kobietę. Niby robiła porządki, ale raz po raz lustrowała, co działo się za oknem.

Policjantka wysiadła ze swojego samochodu i ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Dopiero teraz zwróciła uwagę, że nikt na osiedlu nie ma ogrodzenia – tylko roślinność dookoła domu odgradzała sąsiadujące ze sobą ogrody.

Nie zdążyła nacisnąć przycisku dzwonka, gdy drzwi się otworzyły. Dorota Czerwińska uśmiechnęła się sama do siebie. Tym małym gestem kobieta potwierdziła, że jest idealną osobą do rozmowy.

- Dzień dobry, starsza aspirant Dorota Czerwińska – rzuciła, zanim kobieta zdążyła otworzyć usta.

Momentalnie wyraz jej twarzy się zmienił. Prawdopodobnie myślała, że to kolejny domokrażca, który chce wcisnąć zestaw garnków w niewiarygodnie atrakcyjnej cenie lub zaprosić na prezentację najnowszego odkurzacza, który nie tylko w niewyobrażalny sposób usuwa brud, ale także gotuje, śpiewa i opiekuje się dziećmi.

Z uśmiechem na twarzy zaprosiła policjantkę do środka i już po chwili siedziały we dwie w czymś przypominającym oranżerię, do której wchodziło się bezpośrednio z kuchni. Każdy zakątek zagospodarowany był przez kwiaty różnego rozmiaru i koloru. Wszystko to tworzyło niesamowitą kompozycję, od której ciężko było oderwać wzrok.

- Jak tu pięknie – powiedziała Dorota, cały czas bacznie się rozglądając. W ramach swojej pracy odwiedziła już setki domów, ale nigdy czegoś takiego nie widziała. – Robi niewiarygodne wrażenie.

- Dziękuję – odpowiedziała kobieta i poprawiła siwy kosmyk, który spadł jej na twarz. Dopiero teraz Dorota zwróciła uwagę na jej wygląd, który idealnie współgrał z miejscem, w którym przebywała. Wyglądała

jak wielobarwny ptak. Zielone spodnie w kwiaty, do których włożyła pomarańczowo-różowy T-shirt, powodowały, że nie zginęłaby w tłumie. I nawet włosy, których kolor nie był krzykliwy, przykuwały uwagę fryzurą. Śmiało można było porównać je do afro noszonego przez ciemnoskórych. - Niestety nie mogłam mieć dzieci, a adopcyjne procedury mnie przerażały, więc stworzyłam swoje dziecko. - Pokazała ręką na otaczające je rośliny. - Czasami mam wrażenie, że moi podopieczni są bardziej wymagający. Od wielu lat nigdzie nie wyjeżdżam na dłużej niż dwa dni, bo nie ma nikogo, kto mógłby się nimi zająć. Więc siedzę z nimi. Podlewam, czyszczę listki, przesadzam, jak mają już za małe doniczki. Zamawiam nowe i liczę, że im się u mnie spodoba. - Uśmiechnęła się do Doroty i nalała do filiżanek herbaty owocowej. - Dobrze, ja tu o kwiatkach, ale chyba pani nie po to przyszła.

- Tak, ale nie ukrywam, że miło popatrzeć na pani dzieło. Zapewne wie pani o wypadku sąsiadki, pani Iwony...

- Jezu, co to za tragedia! - krzyknęła kobieta i pokręciła głową. - Nie wyobrażam sobie, co Jarek przeżywa. To taka fajna rodzina.

- No właśnie, może mi pani o nich coś opowiedzieć? - wtrąciła Dorota, widząc zainteresowanie u kobiety.

- Oczywiście. Znamy się od lat. Ja mieszkam tutaj od jakichś piętnastu lat. Wprowadziłam się jeszcze z moim mężem, Panie, świeć nad jego duszą. - Kobieta się przeżegnała.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Zginął, jak już nie byliśmy razem. Poleciał na jakąś sekretarkę czy inną długonogą siksę, co myślała, że złapała Pana Boga za nogi, a tu wtopa. Złapała co najwyżej zrzedliwego starca, któremu nie zawsze... no wie pani, interes działał. Pierwszy mąż mnie zdradzał. Z przyjaciółką. Mieszkałam wtedy w Elblągu, więc czym prędzej się wyniosłam, zostawiając tych zdrajców. Zamieszkałam w Poznaniu. Zawsze mi się podobało to miasto, więc stwierdziłam, że czemu nie. W galerii, w której pracowałam, poznałam Eugeniusza. Mimo że był starszy ode mnie o piętnaście lat, nadawaliśmy na tych samych falach. Zakochałam się w nim szaleńczo i tym sposobem wzięliśmy ślub i zamieszkaliśmy tutaj. Gdy okazało się, że i on mnie zdradza, już nie uciekałam. Bo niby czemu ja mam rezygnować ze wszystkiego?

Spakowałam wszystkie jego rzeczy. Zmieniłam zamki. Później wszystko poszło przez prawników. Nigdy więcej go nie spotkałam.

- Smutne - wtrąciła Dorota Czerwińska, licząc, że to koniec ciekawych, lecz nic niewnoszących w jej dochodzenie historii.

- Takie życie, moja droga. Jesteś jeszcze młoda, ale nie raz, nie dwa przekonasz się, jak życie potrafi dopieprzyć. Ale wracając do Zubrzyckich, to im też nie było łatwo. Kilka lat po ich wprowadzeniu się tutaj Iwona miała jakieś problemy zdrowotne. Zupełnie przypadkiem zbiegło się to ze śmiercią jej matki, więc pewnie to dlatego. Dwa razy była u nich karetka. Tak rozmawiałam z sąsiadką z drugiej strony i zastanawiałyśmy się, czy to... No wie pani, nie były próby samobójcze...

- Kobieta zrobiła smutną minę i podniosła z ziemi mały zielony listek. - Nawet wtedy poszłam spytać, czy nie potrzebują pomocy, ale Jarek grzecznie odmówił. Nic nie powiedział konkretnego, ale dało się wyczuć jego smutek. Długo nie widziałam później Iwony. Jak kilka lat później zaczęły pojawiać się dzieci, ona mocno odżyła. Ich wesołe krzyki to chyba najradośniejsze dźwięki na tym osiedlu. Te dzieci to jak aniołki z turbodopalaniem. Zawsze uśmiechnięte, takie pozytywne. Nawet jak się kłóćą, to są w tym urocze.

Kobiecie aż świeciły się oczy, gdy opowiadała o dzieciach sąsiadów. Całą sobą mówiła: „Też chciałabym mieć dzieci”. Dorota z zazdrością na nią patrzyła i zastanawiała się, czy ona poczuje to samo, ale do własnego.

- Czy ta idylla trwała aż do teraz?

- Niestety nie. Ostatnio zmarł ojciec Iwony. Kilka razy z nim rozmawiałam, raz nawet mnie zapraszał na kawę, ale podziękowałam. Mam już dość mężczyzn do końca życia. Moje roślinki są bardziej przewidywalne i nie zostawią mnie dla młodszej. Byłam w szoku, gdy dowiedziałam się o jego pogrzebie. Nie wyglądał na jakiegoś schorowanego. No, miał brzuszek - wykonała ruch ręką, jakby pokazywała jego rozmiary - ale mam wrażenie, że mało który mężczyzna w tym wieku go nie ma. Najgorsze w tym wszystkim było jednak to, że Iwona znowu zgasła. Ze swojego okna z kuchni widzę ich dom i kawałek podwórka. Zauważyłam, że przestała wychodzić z domu, a przez to i maluchy. Jarek dwoił się i troił, aby jej jakoś pomóc, aż w końcu zatrudnił opiekunkę. Marlena wniosła energię do ich życia. Iwona odżyła i mam wrażenie, że jest już dobrze.

- A wie pani coś więcej o tej dziewczynie?

- Młoda. Średnio urodziwa, ale bardzo pomocna, sympatyczna i uwielbia dzieci. Anioł, nie człowiek.

- To jeszcze dwa pytania i nie będę pani zawracać głowy. Czy jest możliwe, że Jarosław Zubrzycki ma romans? - spytała Dorota, bacznie obserwując swoją rozmówczynię.

- Nie - odpowiedziała pewnie i uśmiechnęła się. - Ja mam duże doświadczenie, jeżeli chodzi o zdradzających mężczyzn, i mogę prawie postawić swoją prawą rękę, że to nie ten typ. Wiadomo, może się jakoś super ukrywa, ale wątpię. Widziałam go tyle razy z Iwoną i on wpatrzony jest w nią jak w obraz. A jakie jest drugie pytanie?

- Czy coś nietypowego działo się ostatnio w państwa okolicy? - spytała policjantka, niepewna tego, jaki sens ma zadane przez nią pytanie. Może zadała je bardziej dla własnego użytku. Cały czas się zastanawiała, czy zostać w Suchodole, czy wyjechać do Warszawy.

- Powiem pani tak, nie ma miejsc idealnych. Są psy szczekające po nocach. Jest jeden facet, co odkrył w sobie muzyka i gra po nocach na perkusji. Niby ma wygłuszone pomieszczenie, ale zazwyczaj nie domyka drzwi i się niesie ta kocia muzyka po okolicy. Jest oczywiście mały fanklub kosiarki i piły mechanicznej, który najchętniej odpala sprzęt w niedzielę lub w sobotę, gdy do mieszkańców wpadają goście na grilla. Ale to chyba standard. Tak generalnie jest tutaj bezpiecznie. Dwa lata temu było włamanie do domku na końcu ulicy, a rok temu... - Kobieta zawiesiła głos, wstała i podeszła do stojącego na szafce zdjęcia.

- Basia Jaworska. Miała wypadek. Jako jedyni w okolicy mają basen w ogrodzie. Z tego, co się dowiedziałam od jej męża, to poślizgnęła się, uderzyła w głowę i wpadła do basenu. Szczęście, że akurat Marlena, opiekunka Zubrzyckich, była w pobliżu i szybko zareagowała. Inaczej źle by się to skończyło.

„Kolejny dziwny wypadek”, pomyślała Dorota i momentalnie poczuła ten dreszczyk emocji, który zawsze przebiegał jej po plecach, gdy odkrywała kolejny element układanki.



# Część 4

## Rozdział 1

1988

Nigdy dotąd nie była pijana, ale w momencie, gdy się ocknęła, pomyślała, że tak właśnie czuje się człowiek po alkoholu. W ustach miała przeraźliwą suchość, która powodowała, że wargi i policzki przykleiły się jej do zębów, a w gardle drapało, jakby była chora. Do tego ten przeraźliwy ból głowy, który rozchodził się od potylicy, przez czubek czaszki, aż po czoło i powodował, że mimowolny ruch gałek ocznych paraliżował ją bólem.

Powoli zebrała się w sobie i otworzyła oczy. W pierwszym momencie pomyślała, że to kontynuacja jakiegoś surrealistycznego snu. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, bez dwóch zdań mogło być scenerią do kręcenia jakiegoś filmu dla dzieci, z księżniczką jako główną bohaterką. Wszystkie ściany pomalowane były na bladoróżowy kolor, który do niedawna tak lubiła, a na nich wisiały oprawione w kolorowe ramki zdjęcia. Powoli dźwignęła się z łóżka, na którym leżała, co wywołało jeszcze większy ból głowy, i podeszła do najbliższego z nich, ponieważ siedziała za daleko, żeby dojrzeć szczegóły,

- O ja pierdołę! - krzyknęła sama do siebie przerażona.

Na wszystkich zdjęciach była ona, ale szczególną uwagę przykuło jej jedno. Dokładnie pamiętała, kiedy to było. Sylwester. Poszła na imprezę do koleżanki, bo wiedziała, że tylko tak uda się jej wyrwać z domu. Ale nie taki był jej cel. Gdy wszyscy już się lekko wstawili, wymknęła się niespostrzeżenie do niego. Henryka. Współpracownika ojca, z którym w tajemnicy się spotykała. Wiedziała, że będzie na nią czekał.

Gdy zapukała do drzwi jego mieszkania, otworzył już po trzech sekundach. Ubrany był w garnitur, czym wywołał uśmiech na jej twarzy. Zaprosił ją do środka, a na powitanie cmoknął w policzek. Właśnie to jej w nim imponowało. Przy każdym spotkaniu czuła, że jest dla niego ważna i że on chciałby, żeby byli nie tylko przyjaciółmi. Czasami delikatnie musnął jej dłoń swoją, wielką i owłosioną, wywołując ciarki podniecenia na jej plecach. Ale to było tyle. Tak bardzo w swoich zachowaniach różnił się od jej rówieśników, którzy na pierwszej randce chcieli potarrosić piersi koleżanki, a najlepiej splądrować jej usta swoim niesfornym językiem.

Ale on był inny. Niby był o siedemnaście lat starszy, poważny, jednak miał w sobie jakiś magnetyzm, który powodował, że chciała do niego przychodzić i czasami po prostu z nim siedzieć. Nawet milczenie w jego towarzystwie było w jakiś sposób magiczne.

Gdy przyszła do niego wtedy, w sylwestra, nie tylko był ubrany odświętnie, ale również przygotował małą wieczerzę. Na stole stały półmiski z pierogami i sałatką warzywną. Podejrzewała, że dostał to od matki, która nadgorliwie opiekowała się swoim jedynym synem, ale nie miało to dla niej znaczenia. Mógł w końcu schować to do lodówki, a na stół wystawić jedynie szklankę z paluszkami.

Zaprosił ją do stołu. Nalał do kieliszków szampana. Wiedziała, że powinna odmówić, ale wstydziła się. Piła powoli, delektując się rozplływającym się w jej ciele trunkiem. Miała wrażenie, że jej ciało robi się jakby bardziej plastyczne, a na twarzy pojawia się jeszcze szerszy uśmiech. Momentalnie zapomniała o wszystkich problemach ostatnich miesięcy. O tych wyzwiskach i śmiechach kierowanych w jej stronę. Zawsze jej kolorowe stroje wywoływały taką reakcję, a gdy przeszła na drugą stronę i zaczęła ubierać się na czarno, to też nie spotkało się z aprobatą rówieśników. Czuła, że cokolwiek zrobi, będą się z niej śmiać.

Z rozmyślań wytrącił ją huk fajerwerków, a bardziej jego ręka na jej ramieniu. Wielokrotnie przyglądała się jego dłoniom. Mimo że nie był zbyt wysoki, ręce miał jak niedźwiedź – wielkie i owłosione. Miała nadzieję, że kiedyś jej nimi dotknie, a gdy to się stało, najpierw się wzdrygnęła, a potem spojrzała mu w oczy. Jego wzrok był taki ciepły i pełen spokoju.

- Zrobimy sobie zdjęcie? - spytał swoim trochę skrzeczącym głosem, który zupełnie jej nie przeszkadzał, i wyciągnął do niej rękę.

Nie oponowała oczywiście. Wiedziała, że fotografia jest jego pasją, której nikt nie popiera i nie rozumie. Może nie robił rewelacyjnych zdjęć, ale czy wszyscy początkujący artyści od razu byli znakomici w tym, co robili?

Stała w wyznaczonym miejscu i poprawiała sukienkę, która cały czas ją drażniła. Nigdy nie chodziła w takich rzeczach, ale dla niego chciała się poświęcić i wyglądać na starszą, bardziej dorosłą. W końcu stanął obok niej i drugi raz w ciągu tego wieczora dotknął jej. Ale tym razem nie było to przypadkowe muśnięcie. Chwycił ją za rękę, tak jak to robią zakochani. Miała wrażenie, że nigdy nie była tak szczęśliwa. Gdy błysnął flesz, szczyrzyła się, odsłaniając czerwone dziąsła.

Teraz Maria Markowska patrzyła na to, co uchwycił aparat, uśmiechnęła do siebie na wspomnienie ich wspólnych chwil i ciężko opadła na łóżko. Sięgnęła po stojącą na różowym nocnym stoliku szklankę z wodą, ale zamiast wypić jej zawartość, wylała ją sobie na głowę. Przez sekundę było jej lepiej, ale niestety stan nie trwał dłużej.

Nagle poczuła wewnętrzny strach. Jakby dopiero teraz jej mózg zanotował, że coś jest nie tak, i połączył wszystkie kropki - uzmysłowiła sobie, że miejsce, w którym się znajduje, nie jest przypadkowe. Zerwała się szybko z łóżka, przeczuwając, że skończy się to zawrotami głowy, i choć czuła się jak marynarz na łodzi, podbiegła do drzwi i chwyciła za klamkę, a właściwie gałkę. Ona również nie była typowa. Wyglądała jak spory diament. Była przezroczysta i zdecydowanie za duża na jej drobne dłonie. Chwyciła ją i spróbowała przekręcić. Początkowo delikatnie, a z każdą próbą coraz mocniej i mocniej. Jednak drzwi nie drgnęły ani o milimetr. Mimo to nie przestawała, licząc, że jakimś cudem zamek wreszcie ustąpi, a ona będzie wolna.

W końcu po kilku minutach walki z kanciastą gałką i walenia w drzwi osunęła się na podłogę i zaczęła płakać.

## Rozdział 2

2017

To nie tak miało być. Miał być gwiazdą, media miały mówić o nim przy każdej możliwej okazji, a całe miasto miało przeszukiwać każdy zakamarek, aby go znaleźć. Niestety po trzech dniach lokalne media, nie mając żadnych nowych informacji, przerzuciły się na inne, według niego zupełnie nieistotne tematy.

Filip nalał sobie resztkę odgrzewanej w garnku zupy i usiadł na kanapie. Siedzenie szósty dzień w jednym miejscu powoli zaczynało go denerwować. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jego plan był dziurawy niczym szwajcarski ser. Zupełnie nie przemyślał, co ma się z nim stać później, po tajemniczym zniknięciu. Niby miał na koncie sześć milionów, które w myślach już porozdzielał na mniejsze kupki, ale wiedział, że nie może z nich teraz skorzystać. Był osobą zaginioną i mógł się spodziewać, że policji niewiele czasu zajmie znalezienie go, gdy podejmie próbę wypłaty chociażby stu złotych. Na miejscu zdarzenia znaleźli jego bluzę i łańcuszek niedoszłej teściowej, który podkraść podczas wizyty u niej. Podrzucenie młotka też nie było trudne. W końcu miał klucze do jej mieszkania. Było jeszcze nagranie, z którego był niesamowicie dumny.

„Wiem, kim jesteś, i wiem, co zrobiłaś. Dlatego trzymaj się i swojego syna z daleka od nas. Bo inaczej pożałujesz”. Słowa te cały czas dudniły mu w głowie i wywoływały uśmiech, przynajmniej do czasu, gdy zorientował się, że jego plan nie wywołał aż takiego chaosu, jak przewidywał. Anna po kilku dniach została wypuszczona z aresztu, ponieważ na narządzie zbrodni znaleziono nie tylko jej odciski, a specjalista od dźwięku doszedł do wniosku, że notatka głosowa, którą dostała Kornelia Janiszewska, jest kompilacją wielu nagrań. Niestety prokurator nie miał wyjścia i wypuścił niedoszlą teściową Filipa na wolność.

W tym wszystkim pocieszająca była tylko rozpacz matki, która całymi dniami przesiadywała w domu i nie wychodziła nawet na spacer z swoim psem, którego tak uwielbiała pokazywać sąsiadom.

Patrzył na zmieniający się na ekranie telewizora obraz, zupełnie nie wyłapując, co się na nim dzieje, gdy poczuł, że nie da rady dłużej siedzieć w tej dziurze. Musi wyjść z ukrycia i zacząć działać. Zrobić coś bardziej konkretnego. Dopracować plan i faktycznie zemścić się na tych, którzy zniszczyli mu życie. Nie analizując sytuacji zbyt

szczegółowo, zerwał się z kanapy i z całej siły przywalił barkiem we framugę drzwi. Momentalnie poczuł przeszywający ból, który rozlał się po całym ciele. Bolało niewyobrażalnie, ale wiedział, że nie może wrócić z zaświatów bez uszczerbku na zdrowiu.

## Rozdział 3

2017

Starsza aspirant Dorota Czerwińska musiała się trochę naszukać, aby odnaleźć profile niani małych Zubrzyckich w mediach społecznościowych. Na szczęście po kolejnym szkoleniu wiedziała, że ludzie często ukrywają się pod nickami, ale bez pomysłu odznaczają swoją lokalizację. Dzięki temu odnalazła na Instagramie profil @happyosa, za którym ukrywała się Marlena Osowska.

Dziewczyna praktycznie codziennie wrzucała zdjęcia pokazujące życie, które niewiele miało wspólnego z prawdą. Zdjęcia z dziećmi, które podpisywała w taki sposób, jakby to ona była ich matką. Zdjęcia w kuchni rodziny Zubrzyckich. Starszych nie znalazła, tak jakby Osowska stworzyła profil, dopiero gdy zaczęła pracę u małżeństwa. Dorota przejrzała raz jeszcze wszystkie publikacje i po odprawie wybrała się na wycieczkę, ignorując poranne mdłości, które od kilku dni nie dawały jej żyć.

Zajechała pod dom, gdzie powinna przebywać dziewczyna, i powoli wysiadła, starając się jak najmniej napinać brzuch, by uniknąć kolejnych fal mdłości.

- Coś się stało? - usłyszała damski głos, zanim zdążyła zamknąć drzwi do samochodu.

Lekko przestraszona, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z nianią. Kobieta miała niewiele ponad dwadzieścia lat, jak wynikało z jej profilu, ale tego dnia próbowała wyglądać na starszą. Sięgająca kolan ołówkowa spódniczka w kolorze beżowym, a do tego mocno wydekoltowane body na szerokich ramiączkach powodowały, że nie

wyglądała jak opiekunka, a bardziej jak sekretarka, i to raczej średnio urodziwa. Duże sarnie oczy i szeroki u nasady, upstrzony piegami nos sprawiały, że urodę dziewczyny można było podsumować raczej słowami „ciekawa” czy „oryginalna” niż „ładna”.

- Dzień dobry, starsza aspirant Dorota...

Nie zdążyła dokończyć, bo kobieta jej przerwała:

- Ja wiem, kim pani jest. Widziałam panią, gdy karetka zabierała Iwonę. Poza tym Jarek mi o pani opowiadał. - Imię swojego pracodawcy wypowiedziała z lekkim uśmiechem na twarzy.

- Chciałabym porozmawiać z panią na temat ostatnich wydarzeń.

- Ze mną? Ale po co? Przecież Iwona miała wypadek.

- Tak, wszystko na to wskazuje, jednak chcemy sprawdzić każdy szczegół.

- Rozumiem. Co chce pani wiedzieć? - spytała dziewczyna i założyła ręce na piersi, przyjmując pozycję bojową. Stała cały czas w tym samym miejscu, dając do zrozumienia, że nie zamierza zapraszać policjantki do domu swoich pracodawców.

- Długo pracuje pani u państwa Zubrzyckich?

- Jakiś rok.

- Jak została pani zatrudniona? Z ogłoszenia? Przez agencję?

- Nie. Sama się zgłosiłam.

- Czyli na ogłoszenie?

- Nie, nie było żadnego ogłoszenia. Kiedyś zobaczyłam, jak Iwona męczy się z dziećmi na placu zabaw. Zupełnie ich nie ogarniała. Podeszłam i zaproponowałam pomoc. Początkowo patrzyła na mnie jak na wariatkę, ale ja jestem stanowcza, jak sobie coś wymyślę. A dzieciaki skradły mi serce od pierwszego momentu. Poprosiłam ją, aby dała mi szansę. Niechętnie, ale się zgodziła. Po chwili mieliśmy już przełamane lody i dzieciaki bawiły się ze mną, jakbyśmy znali się od lat.

- Dziewczyna uśmiechnęła się triumfalnie, jakby jej osiągnięcie było co najmniej na miarę Nobla.

- Jak wam się współpracuje?

- Super, bez żadnych zarzutów.

- W domu Zubrzyckich nie działo się nic podejrzanego? - dopytywała dalej Dorota Czerwińska.

- Nie - odpowiedziała pewnym głosem.

- Żadnych dramatów? Kłótni?

- Dramaty to tak, bo niedawno zmarł ojciec Iwony, ale jakoś sobie radzi. Ma niesamowite wsparcie męża. Dodatkowo bierze leki, które jej pomagają. Był moment, że nie wychodziła z pokoju. To trwało kilka tygodni. Tylko że... - Na chwilę przerwała i zapatrzyła się na sąsiadkę wyprowadzającą małego psa. - Po tych lekach jest trochę otumaniona. Tak sobie myślałam, że to pewnie przez nie doszło do tego wypadku. Może wzięła ich za dużo?

- Rozumiem. A może mi pani powiedzieć, co stało się u Jaworskich? - rzuciła policjantka, licząc, że zaskoczy dziewczynę. Ta jednak tylko uśmiechnęła się delikatnie i zaczęła opowiadać.

- Pani Basia miała wypadek i poślizgnęła się przy basenie, a później do niego wpadła. Była pod wpływem bardzo dużej ilości proszków przeciwbólowych i nie tylko. Gdyby nie ja, już by nie żyła. - Uśmiechnęła się ponownie i opuściła w końcu ręce wzdłuż tułowia.

- Miała dużo szczęścia. To jeszcze jedno pytanie i nie będę przeszkadzać.

W tym momencie zza rogu wyszedł młody mężczyzna ubrany w same spodnie, pchał taczkę po czubek wypełnioną liśćmi, trawą i gałęziami. Jednak nie to przyciągało uwagę, ale jego wytatuowana klatka piersiowa, a w szczególności umieszczony na lewej stronie wizerunek dziewczynki z ujmującym uśmiechem i bukietem kwiatów w dłoni.

- Coś się stało? - krzyknął do Marleny, przybierając pozycję obronną.

- Nie, wszystko w porządku! - Machnęła ręką i z powrotem odwróciła się do policjantki. - Przepraszam, to Remek. Pilnuje mnie. - Uśmiechnęła się. - O co chciała pani jeszcze spytać?

- Tylko się zastanawiałam, czy państwo Zubrzyccy widzieli to. - Dorota Czerwińska odblokowała swój telefon, na którym wcześniej oglądała profil dziewczyny. Twarz Osowskiej momentalnie spochmurniała. W oczach pojawiła się złość, usta zrobiły mniejsze.

- Nic pani do tego. To takie... wygłupy.

- A pan Jarosław to widział?

- Może. Zresztą nie wiem. - Kobieta drżącą ręką wyjęła z kieszeni telefon. - Jest już późno. Muszę iść.

Po tych słowach, nie żegnając się z policjantką, odwróciła się i ruszyła w stronę domu państwa Zubrzyckich. Dorota chwilę obserwowała młodą kobietę, która dość pokracznie poruszała się w wąskiej spódnicy. Dopiero teraz zauważyła, że materiał z tyłu zebrany jest na zakładkę agrafkami. Wyglądało to tak, jakby dawno jej nie nosiła albo pożyczyła od kogoś za duży rozmiar.

## Rozdział 4

2017

Maria Kasprzak siedziała w swojej małej pracowni i jak co roku w dniu odzyskania wolności wspominała w samotności swoją rodzinę, a w szczególności brata. Tak bardzo chciała się z nim spotkać. Opowiedzieć mu wszystko, również o swoim obecnym życiu.

Od dłuższego czasu starała się nie myśleć o tym, co się stało. O tym, co przeszła. O tym, co zrobiła. Jednak raz w roku pozwalala sobie na to. Wszystko powracało do niej, jakby działa się to wczoraj.

Pierwsze dni w izolacji były chyba największą torturą. Zupełnie nie wiedziała, gdzie jest i kto ją porwał. Tak, porwał, bo nic innego nie mogło tłumaczyć sytuacji, w której się znalazła. Pamiętała, że jak co rano wsiadła do autobusu. Usiadła w środkowej części i próbowała udawać, że jest niewidoczna. Od kiedy zaczęła ubierać się na czarno, było to o wiele łatwiejsze. Ludzie nie gapili się już na nią za każdym razem, gdy wchodziła do pomieszczenia. Nikt jednak nie wiedział, dlaczego to robiła. A sprawa była dość prosta. Chciała być postrzegana jako doroślejsza. Jako partner do rozmowy, a nie gówniara, która ledwo odrosła od ziemi. No i co dla niej chyba było zdecydowanie najważniejsze, chciała, żeby on ją dostrzegł. I w końcu tak się stało.

Jak zwykle przechadzała się przez siedzibę firmy, w której pracował jej tata, i szukała okazji na spotkanie z wybrankiem jej serca, z którym rozmawiała raptem tylko raz, a i to należało raczej do grzecznościowej



wymiany zdań. Marzyła o czymś więcej i tego dnia miała nadzieję, że uda się to osiągnąć.

Nagle go zauważyła. Szedł, jak zwykle patrząc w podłogę, z książką pod pachą. Niewiele myśląc, ruszyła w jego stronę i wpadła na niego z impetem. Miała nadzieję, że wyglądało to bardzo przypadkowo. Z pełną premedytacją wylała na siebie znaczną część zawartości butelki, którą niosła.

- Matko, jaka ze mnie niezdara! - krzyknęła. Wewnątrz czuła, że zaraz się roześmieje i cały jej misterny plan pójdzie w komin. - Przepraszam!

- Nie, to ja przepraszam. Zupełnie cię nie zauważyłem. Nic ci się nie stało? - spytał i spojrzał na nią tym swoimi wielkimi oczami.

- Nie - odpowiedziała trochę zawstydzona i wyprostowała się.

- To bardzo się cieszę. Jeszcze raz przepraszam.

Nie czekając na jej reakcję, podniósł książkę, którą wcześniej trzymał w ręku, a która w wyniku zderzenia spadła na ziemię, i ruszył w kierunku, w którym przemieszczał się uprzednio.

Stała jak zamurowana, zupełnie nie wiedząc, co zrobić. Nie tego się spodziewała. Liczyła, że będzie ją długo i namiętnie przepraszał. Zaprosi na kawę lub chociaż zaproponuje, że odkupi wodę, którą na siebie i przy okazji również na niego wylała. A tu nic. Usiadła na krześle nieopodal i zapatrzyła się w dal. Musiała odpłynąć, bo dopiero szarpnięcie za ramię wytrąciło ją z marazmu.

- Ty jesteś córką Markowskiego. Marianna, tak? - zagaił mężczyzna, który po chwili wrócił, niezauważony przez dziewczynę.

- Maria. - Uśmiechnęła się do niego i powoli wstała.

- No tak, zapomniałem. Ojciec mi tyle razy o tobie mówił i pokazywał zdjęcia. - Zmierzył ją od stóp do głów i dodał: - Kiedyś chodziłaś inaczej ubrana.

- Tak. Postanowiłam dorosnąć - odpowiedziała.

- Niepotrzebnie, każdy z nas powinien pielęgnować w sobie dziecko - rzucił i rozpoczęli rozmowę, która była początkiem czegoś nowego. Może miłości.

Tak przynajmniej myślała. Przez trzy, a może cztery dni siedzenia w pomieszczeniu bez okien była sama, jedynie gdy zasypiała niespokojnym snem ktoś musiał ją odwiedzać, bo po przebudzeniu

znajdowała przy drzwiach naczynia z jedzeniem i wodą, a także czyste wiadro, które, jak się domyśliła, miało służyć do zaspokajania potrzeb fizjologicznych. Szybko się przełamała, by zacząć go używać.

Wszystko się zmieniło, gdy po tych kilku dniach drzwi się otworzyły i wszedł on. Jej wymarzony, ukochany, rycerz na białym koniu, jak często o nim myślała. Ale teraz był inny. A co zadziwiające, w rękach trzymał jakieś ubranie, podobne do tych, które nosiła kiedyś, bardzo kolorowe i bajkowe.

- Co ja tutaj robię? - Pokazała ruchem ręki pomieszczenie, które przypominało pokój dla lalek, a nie dla dorastającej nastolatki.

- To twój nowy dom.

- Dom?! - krzyknęła.

- Tak. Będziemy teraz razem. Wiem, że tego chcesz...

Spojrzał na nią łagodnie i podszedł bliżej. Czowała, że zaczyna drżeć, a jej ciało wypełnia ciepło. Delikatnie musnął dłonią jej policzek i pocałował w usta. To był jej pierwszy raz, ale nie o takim marzyła. Chciała, żeby zrobił to w bardziej... normalnych warunkach. Wbrew sobie odsunęła się od niego i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Nie mogę tu zostać. Muszę wrócić do domu. Do rodziców. Do Witka.

- Ale oni na ciebie nie czekają! - krzyknął i odskoczył od niej. Widać było, że zdenerwowała go tym. Miała ochotę podejść i przytulić się do niego, żeby go uspokoić, jednak zaciśnięte w pięści dłonie dawały jasny sygnał, że buzuje w nim złość, która w każdej chwili może eksplodować. - Następnym razem masz mieć na sobie to. - Rzucił na łóżko trzymane w rękach ubrania i zostawił ją znowu samą.

I tak upłynęło jej kilka lat. Nie wiedziała dokładnie ile, bo nie miała jak mierzyć. Siedziała w klatce, którą stworzył, jak to mówił, żeby ją chronić. Przez długi czas nie mogła wychodzić ze swojego bajkowego pokoju, aż pewnego dnia nie zamknął za sobą drzwi.

Z perspektywy czasu wiedziała, że powinna była wtedy uciec. Pobiec w las, w nieznane i liczyć, że natknie się na kogoś, kto jej pomoże. Ale karmiona codziennie historyjkami o swojej rodzinie, która się jej wstydi i która rzekomo od dawna robiła wszystko, żeby się jej pozbyć, czuła, że nie ma dokąd wracać. Dlatego gdy wyszła pierwszy raz ze swojego pokoju, nigdzie nie uciekła. Usiadła na kanapie w salonie i

rozglądała się. Zachowywała się tak, jakby nigdy nie widziała otaczających ją rzeczy, choć wystrój pomieszczenia niewiele różnił się od tego, który pamiętała choćby z ich wspólnego sylwestra. Stała tu drewniana meblościanka z dawnych lat, z przeszkloną górną częścią, w której równo poukładane były kieliszki i szklanki. Na kilku półkach stały książki, ale najbardziej zaintrygował ją ustawiony w centralnej części mebla rysunek.

Mimo strachu, że on zaraz wróci i siłą zaciągnie ją do jej pokoju, powoli wstała i podeszła bliżej. To była ona. Henryk narysował jej portret z ukrycia. I było to jeszcze w poprzednim życiu, gdy kolorowa jak motyl stała na przystanku i czekała na autobus.

- Taka jesteś najpiękniejsza - odezwał się nagle cichym głosem, a mimo to podskoczyła ze strachu.

Powoli obróciła się w jego stronę i uśmiechnęła.

- Dziękuję.

Poprawiła kolorową sukienkę, która tak ją drażniła, podeszła do niego zdecydowanie za blisko i położyła głowę na jego klatce piersiowej. Była ona gęsto obrośnięta włosami, co powodowało, że czuła, jakby położyła się na poduszce.

- Nie ma za co - szepnął jej do ucha i pocałował.

Zachęcona tym sygnałem zjechała ręką w dół, aż zatrzymała się na nieznacznej wypukłości poniżej paska. Nigdy nie była z chłopakiem, ale dokładnie wiedziała, co się dzieje z mężczyzną, gdy kobieta mu się podoba. Teraz jednak nic takiego się nie stało. Podniosła na niego wzrok i zobaczyła coś przerażającego. Nie zdążyła nic powiedzieć, bo na jej twarzy z impetem wylądowała jego duża, owłosiona dłoń.

- Wracaj natychmiast do swojego pokoju.

To był pierwszy raz, kiedy podniósł na nią rękę. Później było już tylko gorzej.

## Rozdział 5

Wiele w życiu wycierpiała. Mąż, który zdradzał ją na prawo i lewo. Odtrącenie przez jedynego mężczyznę, którego tak naprawdę kochała. Ale dopiero gdy jej syn zapadł się pod ziemię, poczuła, czym jest rozpacz. Miała wrażenie, że jej serce rozpadło się na tysiąc kawałków, a życie przestało mieć sens.

Od czasu, kiedy znalazła samochód syna w lesie, praktycznie nic nie jadła. Jej najlepsza przyjaciółka próbowała ją przekonać, aby cokolwiek w siebie wcisnęła, jednak na widok jedzenia robiło jej się najzwyczajniej w świecie niedobrze.

- Nie dasz rady długo tak pociągnąć - rzuciła Patrycja, gdy jak co rano wpadła niezapowiedziana, z torbą pełną jedzenia i małym pieskiem pod pachą.

Niezrażona reakcją na jej podarunki, a właściwie jej brakiem, codziennie o poranku przywoziła najlepsze frykasy, jakie znalazła. Wiele osób dałoby się za to zabić, ale matka Filipa pozostawała niewzruszona.

- Nie musisz tego robić, i tak nic nie zjem - odpowiedziała i nawet nie uraczyła przyjaciółki spojrzeniem.

- Guzik mnie interesuje twoje zdanie, będę tak długo przychodzić, aż zaczniesz jeść.

- Nie zacznę.

- Super. Wiem, że się powtarzam, ale co, jeżeli on się znajdzie i będzie cię potrzebował?

- Jakby miał się znaleźć, toby to już się wydarzyło.

Ledwo skończyła wypowiedziane zdanie, gdy leżący na stole telefon zaczął się wiercić. Kornelia już jakiś czas temu wyciszyła dźwięki. Przestała mieć jakąkolwiek nadzieję na powrót syna, a informację o znalezieniu jego zwłok wołała odwlec w czasie.

- Może odbierzesz? - Patrycja podała aparat przyjaciółce i dalej rozstawiała przyniesione przez siebie rzeczy. Nie widząc jednak żadnej reakcji z jej strony, wyszarpnęła go i szybkim ruchem odebrała połączenie.

- Nie możesz tak! - krzyknęła matka Filipa i spojrzała złowrogo na kobietę.

- Tak, to ja, Kornelia Janiszewska przy telefonie. - Patrycja puściła do przyjaciółki oczko, wiedząc, że ją tym zdenerwuje. - Słucham?! -

krzyknęła, zrobiła wielkie oczy i czym prędzej przełączyła na głośnomówiący. – Może pan powtórzyć?

– Tak jak mówiłem, dzwonię z policji. Starszy aspirant Marek Kamiński. Znaleźliśmy pani syna.

## Rozdział 6

2017

Ta myśl chodziła za nią jak niezapłacony rachunek i nie dawała spokoju. Po prawie dwudziestu dziewięciu latach, od kiedy wyszła z rodzinnego domu i nie wróciła, Maria poczuła, że musi skonfrontować się z przeszłością.

Może nie spotka się z rodzicami i bratem, ale zobaczy, jak mieszkają, poczuje stare życie na własnej skórze. Nigdy o tym nie myślała. Nie chciała prowokować, a zawsze jej nadrzędnym celem było odcięcie się od dawnych czasów w każdy możliwy sposób. Teraz jednak czuła przemożną potrzebę konfrontacji z przeszłością i nie zamierzała odpuścić.

– Jak to wyjeżdżasz? – rzucił Mariusz, jej mąż, gdy usłyszał o szalonym pomysle wyjazdu. Nigdy nie opowiedziała mu szczegółów rozstania z rodziną, mimo to wspierał ją i był oparciem, gdy po nocach płakała w poduszkę.

– Przepraszam, muszę. Wiem, że masz teraz projekt i nie masz czasu na zajmowanie się Julią i Guciem...

– Gustawem – poprawił ją momentalnie i zrobił groźną minę. Od dłuższego czasu prowadzili małą wojnę o to, jak mówić do szesnastoletniego już syna.

– Sorry, ale nie o tym teraz. – Maria popatrzyła na męża swoimi wielkimi, zielonymi oczyma i uśmiechnęła się. – Muszę. – Tylko to jedno słowo wystarczyło, aby mężczyzna przyciągnął ją mocno do siebie i przytulił.

Bojąc się, że nagle zmieni zdanie, wieczorem siedziała już w samochodzie i jechała do Suchodoła. Wynajęła pokój w jakimś hostelu i z sercem pełnym przerażenia pokonywała kolejne kilometry dzielące ją od domu. Mimo że nie mieszkała tam od tylu lat, tak właśnie myślała o tym miejscu. Dom. To tam zostawiła to, co miała w życiu najcenniejsze. Rodzinę, przyjaciół, ale i spokój.

- Witaj, Mario! - przywitał ją mężczyzna siedzący na recepcji i serdecznie się uśmiechnął. Do koszuli miał przypięty znaczek z imieniem Tymek.

- Mam na dzisiaj rezerwację - powiedziała przestraszonym głosem.

- Tak, wiem, oczywiście. Masz też duże szczęście, bo dzisiaj wyjechała grupa dość hałaśliwych Niemców, którzy chyba zaliczyli wszystkie poznańskie, i nie tylko, kluby. Więc nie dość, że będzie ciszej, to jeszcze pokój, w którym wynajęłaś łóżko, jest cały do twojej dyspozycji.

- Bardzo się cieszę - skomentowała, mile zaskoczona tak sympatyczną obsługą.

- Byłaś już kiedyś w Suchodole? - spytał mężczyzna, czym momentalnie podniósł jej ciśnienie. Wiedziała, że pewnie zadaje to pytanie każdemu przyjezdnemu, ale ona odebrała je jako atak, na który wolała nie reagować.

- Nie - odpowiedziała i nerwowo podrapała się po lewej ręce.

- To tutaj masz ulotki, które zrobiłem dla takich jak ty. - Podał jej kartkę w formacie A6. - Znajdziesz w nich informacje, co i jak. Niby to mała miejscowość, ale mamy kilka atrakcji. Zamek, parę fajnych knajpek. No i są tu też wskazówki, jak dotrzeć do Poznania.

- Dziękuję.

- Widzę, że jesteś zmęczona podróżą, więc nie będę przeciągać. Poproszę jeszcze o dowód osobisty i daję kluczyk.

- Dowód? - powiedziała zdziwiona.

Zupełnie wypadło jej z głowy, że to standard w takich miejscach. Powoli wyciągnęła portfel z torebki, którą miała przewieszoną przez ramię, i podała dokument Tymkowi.

- O, Szczecin. Zawsze chciałem tam pojechać, ale jakoś nigdy nie miałem po drodze. Fajnie tam?

- Tak - odpowiedziała krótko, nie chcąc ciągnąć tej rozmowy.

- Dobra, mam już wszystko.

Oddał jej dowód, wyciągnął z szuflady klucz, wyszedł zza blatu i dziarskim krokiem poprowadził ją do jej pokoju. Nie był to apartament w Hiltonie, ale zupełnie jej na ten moment wystarczył. Nie potrzebowała wielkiego łóżka czy barku z dostępem do alkoholu. Cisza i spokój, które otoczyły ją po przekroczeniu progu, w zupełności jej wystarczyły.

Położyła walizkę na podłodze, usiadła na dolnym poziomie jednego z trzech mieszczących się w pomieszczeniu łóżek piętrowych i wyciągnęła swoją komórkę. Gdy wybrała ikonkę przeglądarki, otworzyła się ostatnia przeglądana przez nią strona. Strona komendy w Suchodole, a na niej uśmiechający się sympatycznie jej brat - komendant Witold Markowski.

## Rozdział 7

2017

- Ja poprowadzę! - krzyknęła Patrycja do przyjaciółki, widząc, że ta bierze kluczyki do swojego samochodu i rusza do wyjścia. - Nie możesz prowadzić w takim stanie.

- Ale ty nie wiesz, gdzie jechać! - odezwała się Kornelia i spojrzała na nią zapłakanymi oczami.

- To mi powiesz. Jak rozbijemy się na pierwszym lepszym drzewie, bo zemdlejesz z wyczerpania, to w niczym nie pomożesz młodemu.

- Dobrze - powiedziała zrezygnowana i podała kluczyki koleżance.

Drogę do znajdującego się jakieś dziesięć kilometrów od domu Janiszewskich szpitala pokonały w zawrotnym tempie. Zaparkowały pod budynkiem i pędem ruszyły do wejścia, przed którym krążyło kilka zdenerwowanych osób. Przepisnęły się między nimi i nie zmniejszając tempa, wbiegły do holu.

- Szukam mojego syna, Filipa. Podobno go przywieźli niedawno! - wykrzyczała Kornelia do rejestratorki, zupełnie ignorując kilka osób,

które stały w kolejce.

- Tak nie można! - rzucił oburzony starszy pan, któremu przerwała w pół słowa.

- Może i nie można, ale mój syn zaginął. Właśnie go odnaleziono i nie przekona mnie pan, że jest coś ważniejszego. - Spojrzała na niego zapłakanymi oczami.

- Niech będzie, ale szybko, mam zaraz wizytę.

- Dziękuję - odpowiedziała Kornelia i po raz pierwszy od kilku dni delikatnie się uśmiechnęła.

- No dobra, to kogo mam szukać? - rzuciła rejestratorka.

- Filipa Janiszewskiego.

- Mam, sala sto dwadzieścia pięć na oddziale ortopedii, pierwsze piętro, tylko że on...

Dalszego ciągu Kornelia już nie słyszała, bo pędziła jak szalona w kierunku schodów. Gdyby została dwie sekundy dłużej, usłyszałyby, że syn nie chce się z nią widzieć.

## Rozdział 8

2017

Czuła się jak bohaterka filmu szpiegowskiego, w którym bohater musi się ukrywać i zrobić wszystko, aby nikt go nie zauważył. Szła ulicami Suchodoła ubrana w najbardziej nierzucający się w oczy strój i czuła się dziwnie. Z jednej strony była podekscytowana ponad miarę, jak dziecko w sklepie z zabawkami, z drugiej zaś czuła paraliżujący strach. A co, jeśli ktoś ją pozna? A co, jeśli spotka kogoś znajomego i nie wytrzyma, rzuci się na niego, chcąc zatrzeć te dwadzieścia dziewięć lat rozłąki?

Powoli przemierzała miasteczko, dostrzegając na każdym kroku ogromne zmiany, które zaszły w ciągu tych wszystkich lat. Nie było już jej ukochanego parku, w którym ganiała się z bratem. W jego miejscu powstało małe centrum handlowe, którego drzwi nie zamykały się nawet na chwilę. Kino, do którego chodziła z klasą, wyglądało z



zewnątrz zupełnie inaczej. Ale największy szok przeżyła, gdy stanęła przed ich domem, a dokładniej miejscem, gdzie kiedyś był, bo teraz stał tam mały, elegancki blok, z dużymi oknami i małym ogródkiem przy każdym z mieszkań na parterze.

W pierwszym momencie poczuła złość, ale właściwie czego miała się spodziewać? Nie było jej tutaj tak długo, a życie trwało dalej. Przez ten cały czas nigdy nie śledziła losów swojej rodziny i przyjaciół. Nigdy nie sprawdziła w gazecie, co stało się z Henrykiem, a dokładniej – jak go znaleziono.

Wędrując uliczkami Suchodoła, znowu przed oczami miała dzień, który na zawsze zmienił całe jej życie. Zaczęło się dość niewinnie. Rano przyszedł do niej, otworzył drzwi jej „apartamentu”, jak często mówił o ukrytym pokoju, i rzucił:

- Pooglądamy telewizję?
- Oczywiście. - Powoli wstała z łóżka i ruszyła za nim na górę.

Oglądali po raz kolejny „Akademię Pana Kleksa”, którą Henryk tak bardzo lubił, gdy zachciało jej się do toalety. Normalnie wstałaby i poszła, ale wiedziała, jak bardzo nie lubił, gdy cokolwiek zakłócało jego ulubiony film. Jednak gdy poczuła, że już nie da rady, wstała z kanapy najciszej, jak potrafiła, i ruszyła do łazienki. Nie widziała jego twarzy, ale była pewna, że ciska teraz w jej plecy gromy. Zazwyczaj oznaczało to, że zaraz wybuchnie i uderzy ją po raz nie wiadomo który.

I wtedy wydarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Miotła oparta o ścianę przewróciła się, a Maria tak się przestraszyła, że źle stanęła. Momentalnie jej nogę przeszył niewyobrażalny ból, a z jej ust wydobył się krótki, lecz donośny krzyk. Trzęsąc się z bólu, usiadła na ziemi, licząc, że nie rozgniewa tym mężczyzny.

Po chwili stanął nad nią.

- Zaprosiłem cię na film. Potraktowałem jak partnera, a ty nawet tego nie potrafisz uszanować.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Gównu mnie obchodzą twoje przeprosiny. Nie powinienem był nigdy ci pomagać i zabierać z domu. Mogłaś tam zgnić, niechciana przez nikogo. - Zbliżył się jeszcze bardziej i przyklęknął, chcąc zobaczyć, co jest powodem tego całego zamieszania. - Wstań z podłogi i idź na kanapę. Przyniosę trochę lodu, a ty wyciągnij nogę.

- Dobrze - odpowiedziała cicho i pokuśtykała we wskazane miejsce. Po chwili pojawił się z torbą mrożonek.

- Cały czas nie mogę uwierzyć, że jesteś tak tępa, żeby zrobić sobie coś takiego i zniszczyć mi cały dzień. - Wypluwał słowa jak z karabinu, coraz bardziej się nakręcając. - Człowiek chce dobrze, a wychodzi jak zwykle. Ale to się zmieni. Nie będę już taki dobry - powiedział i ścisnął ją za skrzyżowaną nogę.

- Auu, to boli!

- I ma boleć. Nie umiesz chodzić, to masz za swoje. - Pociągnął ją znowu za nogę, ale tym razem nie wydała z siebie dźwięku. Nie chciała dać mu satysfakcji. - To był twój ostatni raz na górze. Nie potrafisz się zachowywać porządnie.

- Ale ja nie chciałam...

- Gównu mnie obchodzi, czy chciałaś, czy nie. Człowiek pomaga innym i coś takiego go spotyka. - Kiwnął głową na telewizor. - Ale to już twój koniec. Zgnijesz w piwnicy niechciana przez wszystkich. Przeze mnie też.

Ostatnie słowa wycedził przez zęby w taki sposób, że momentalnie poczuła w całym ciele złość. Wypełniła ona każdą komórkę jej ciała i dała coś na kształt mocy. Później, gdy wielokrotnie to wszystko analizowała, nie wiedziała, jak to dokładnie było.

Zebrała się w sobie i z całej siły zdrową nogą kopnęła mężczyznę w klatkę piersiową. Moc uderzenia była tak silna, że odrzuciło go daleko i z hukiem runął na podłogę, a z jego głowy poleciała strużka krwi.

## Rozdział 9

2017

Leżał nieruchomo na łóżku szpitalnym i robił wszystko, żeby tylko się nie uśmiechnąć. Cały czas czuł rękę Matyldy na swojej i słyszał powtarzane przez nią słowa - „kocham cię” zamiennie z „nie zostawiaj mnie”. W końcu nie wytrzymał i powoli otworzył oczy.

- O Boże! - krzyknęła dziewczyna. - Już wszystko dobrze. Jesteś bezpieczny.

- Gdzie jestem? - odpowiedział słabym głosem. Nie mógł się zdradzić. Musiał grać najdłużej, jak się dało. A najlepiej do końca.

- W szpitalu. Jakiś mężczyzna zauważył cię w rowie. Podobno nie było z tobą żadnego kontaktu. Jesteś mocno poturbowany. Masz rozwalony bark, kolano, mnóstwo obtarć, ale najważniejsze, że jesteś bezpieczny. - Uśmiechnęła się do niego i pogładziła po twarzy. - Tak bardzo się o ciebie martwiłam. Myślałam, że nie żyjesz. Że już nigdy nie będziemy razem i spełni się marzenie mojej... - Zawiesiła na chwilę głos i spojrzała na niego zupełnie inaczej niż dotychczas. Widać było, że waha się, czy kontynuować.

- Czyje marzenie? - spytał.

- Nieważne, jak odpoczniesz, wszystko ci opowiem.

- Czuję się dobrze, więc dawaj. Ja nic nie pamiętam.

- Ale to nie będzie miłe i fajne.

- Trudno, „life is brutal and full of zasadzkas”.

- Od razu powiem, że dla mnie nie ma to znaczenia. Kocham cię ponad wszystko. Ponad to, co mówi i myśli moja mama. A także to, co mówią wyniki badań...

- Też cię kocham i nic tego nie zmieni.

Matylda usiadła na brzegu szpitalnego łóżka, wzięła głęboki wdech i zaczęła opowiadać.

- Twoja mama cię śledziła.

- Co? Ale jak? - wtrącił.

- Miała jakąś apkę i dzięki niej znalazła twój samochód stojący na poboczu, w lesie. Obok była twoja zakrwawiona bluza i łańcuszek.

- Łańcuszek? Ja nie noszę żadnego.

- Tak. Zaraz do tego dojdę. Nigdzie cię nie było, więc pojechała na komendę, gdzie zgłosiła twoje zaginięcie. Niestety wszystko wskazywało, że stoi za tym... - Nagle zawiesiła głos i wbiła wzrok w podłogę.

- Kto?

- Moja matka.

- Anna?

- Podobno ona wysłała do twojej matki jakąś groźbę. Na tej podstawie ją aresztowano. Dodatkowo w naszym domu znaleziono zakrwawiony młotek.

- Tylko ja... - znowu wtrącił, ale przerwał, widząc jej minę.

- No i jeszcze na miejscu zdarzenia znaleziono jej łańcuszek. Nie wiem, dlaczego to nie wystarczyło, bo ją wypuścili - powiedziała dziewczyna wkurzonym głosem, jakby zapomniała, że mówi o własnej matce. - Ja cały czas nie mogę zrozumieć, dlaczego ukrywała przede mną prawdę o ojcu. Niezależnie od tego, kim był i jak się poznali, miała zaszraną obowiązek mi powiedzieć. Teraz, gdy zupełnie przypadkiem prawda wyszła na jaw, przeprasza i się kaja. Ale jest za późno. Szambo się rozlało i niech radzi sobie z tym sama. Ja jej tego nie ułatwię - mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. - Jeżeli to ona...

Nie zdążyła skończyć, bo w tym momencie drzwi do sali otworzyły się z impetem i wpadła matka Filipa. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle. Włosy miała w nieładzie, a zazwyczaj mocno podkreślone makijażem oczy teraz były tylko od dołu otoczone ciemnymi sińcami i opuchlizną.

- Synku! - krzyknęła, gdy tylko go zobaczyła. - Jesteś już bezpieczny. Nic ci nie grozi, ja się wszystkim zajmę.

Podbiegła do chłopaka i zaczęła go ścisnąć. Ten jednak zupełnie na to nie reagował, tak jakby kobieta była dla niego obca.

- Mati, możesz wyjść na chwilę? - Uśmiechnął się miło do dziewczyny i puścił oczko. - Muszę coś załatwić.

Matylda niechętnie wstała z łóżka i wyszła ze szpitalnej sali. Filip popatrzył na matkę, przekrzywił delikatnie głowę na bok i zrobił taką minę, że odsunęła się na metr od niego i zamarła.

- Jeżeli myślisz, że jestem taki głupi, to się mylisz. Wiem wszystko o tobie i o tym, co zrobiłaś. Więc jeden jedyny raz poproszę cię o zostawienie mnie w spokoju. Jeżeli kiedykolwiek zadzwonisz do mnie lub zbliżysz się na odległość, która mi się nie spodoba, zrobię coś, co przekreśli twoje życie. Na zawsze.

- Boże, o co ci chodzi? Musiałeś się mocno uderzyć albo ona coś ci nagadała...

- Ze mną wszystko jest dobrze, a umysł mam sprawny w dwustu procentach. Nigdy w życiu nie widziałem wszystkiego tak wyraźnie.

- Ale ja nic takiego...

- Nie zrobiłaś? - wtrącił i znowu się uśmiechnął, wybałuszając przy tym oczy. - Ty naprawdę myślisz, że nic nie wiem. Ale zonk, mamuśka. Wiem dużo więcej, niż ktokolwiek wiedział. To znaczy w sumie była jedna osoba, która wiedziała, ale nie żyje.

- Co?

- Nie co, tylko kto, ale i tak ci nie powiem. Możesz się dodatkowo pomęczyć. A tymczasem żyj ze świadomością, że wiem, że to ty zabiłaś ojca, Anna była jego kochanką, a z Matyldą jesteśmy spokrewnieni, chociaż, niespodzianka, nie mamy tego samego tatusia. Mnie to jednak zwisa. Rodziny z nią nie założę, więc wałą mnie te wszystkie genetyczne farmazony. Zresztą rozgadałem się niepotrzebnie. - Strząsnął z ramienia jej rękę, którą położyła, wykorzystując chwilę jego nieuwagi. - Wypad stąd i nie wracaj. Jeżeli myślisz, że żartuję, to się mylisz. Zbliżysz się do mnie kiedykolwiek, a cały świat się dowie, że jesteś morderczynią, a teraz wypierdalaj!

Nie czekając na jej reakcję, nacisnął czerwony przycisk na ramie łóżka, czym wywołał wycie alarmu.

## Rozdział 10

2017

- Przepraszam - powiedziała Maria, gdy tylko usłyszała, że mąż odebrał.

- Nie ma sprawy, tylko za co?

- Że nigdy ci nie opowiedziałam o sobie wszystkiego... - Zawiesiła głos, bojąc się jego reakcji.

- Pokochałem cię od pierwszego spojrzenia. Nawet jakbyś była seryjną morderczynią, twoje zielone oczy i tak pochłonęłyby mnie bez reszty. Niezależnie od tego, co wydarzyło się kiedyś, to było kiedyś. - Ostatnie słowo przesylabizował, dając jej odczuć dobitniej, że nie ma to żadnego znaczenia.

- Wiem, ale i tak muszę ci wszystko powiedzieć, jak wrócę. - Powoli wstała z piętrowego łóżka i podeszła do okna. Od rana lał deszcz, więc z niecierpliwością czekała na chwilę przerwy w opadach.

- A powiesz mi chociaż, gdzie jesteś?

- W Suchodole.

- Zabij mnie, ale nie mam pojęcia, gdzie to jest.

- To pod Poznaniem. Obiecuję, jak wrócę, wszystko ci opowiem.

W tym momencie zamarła. Otworzyła okno, bo spływający po szybie deszcz rozmywał obraz, ale mimo to była pewna, że to on. Nie żegnając się, przerwała połączenie z mężem, chwyciła kurtkę i wybiegła z hostelu. Nigdy nie była typem sportowca, więc nawet przebiegnięcie stu metrów było dla niej nie lada wyczynem, ale mimo odbierającej jej oddech zadyszki biegła za mężczyzną, który wolnym tempem podążał w stronę jej dawnej szkoły średniej.

Szedł dokładnie jak on, lekko kuśtykając na prawą nogę, co podobno było konsekwencją wypadku w dzieciństwie. Henryk. Jej młodzieńcza miłość. Jej oprawca. Jej ofiara. Potrząsnęła głową i odrzuciła tę myśl. To nie mogła być prawda. Przecież dwadzieścia sześć lat temu go zabiła. Gdy uciekała z jego domu, leżał bez ruchu na ziemi, a kałuża krwi otaczała jego głowę. Nie sprawdziła mu pulsu, ale nie było szansy, aby z tego wyszedł.

Pamiętała, jak stała otępiała i patrzyła na niego, zupełnie bez pomysłu, co powinna zrobić. W końcu oprzytomniała, zabrała kasetkę z pieniędzmi, którą chował pod łóżkiem. Wrzuciła do torby kilka jego rzeczy, ponieważ ciuchy, które jej dawał, były zbyt rzucające się w oczy, i wyszła. Dopiero gdy stanęła przed jego domem, uzmysłowiła sobie, że jest zaledwie pięć minut drogi pieszo od swojego. Przez chwilę chciała wrócić do rodziny. Pobiec i rzucić się matce w objęcia, ale wiedziała, że nie ma to sensu. Postawili na niej krzyżyk. Skreślili z życia. Henryk tyle razy jej o tym mówił. Nie była dla nich ważna, bo gdyby tak było, przecież dawno by ją znaleźli. A oni nawet nie szukali.

Poza tym teraz była morderczynią, a takich ludzi zamyka się w więzieniu i zapomina o nich.

Wyrywając się z przykrych wspomnień, przyspieszyła kroku i dogoniła mężczyznę. Wiedziała, że to jest absurdalne i nie może być prawdziwe. Oczami wyobraźni widziała, jak łapie go za rękę, a on

odwraca się zaskoczony zaczepką i wtedy jej oczom ukazuje się twarz zupełnie inna niż ta, której się spodziewała.

Wzięła głęboki wdech. Szarpanie za rękaw nieznanego nie było w jej stylu, więc zrównała się z mężczyzną i poczuła, jak zjedzona kilka godzin temu, wysmarowana ponad miarę majonezem kanapka cofa jej się z żołądka.

- Myślałem, że już nigdy cię nie spotkam - powiedział spokojnym głosem Henryk, gdy w końcu zobaczyła jego twarz. Wyglądał tak, jak go zapamiętała, ale jednak był inny. Lewy kącik ust wyraźnie opadał, a wzrok był jakiś mętny. - To... - Pokazał palcem na swoje wargi. - To pamiątka po tobie. Tak żebym nigdy nie zapomniał. I nie zapomniałem.

- Ale jak ty...? - Nie była w stanie skłecić całego zdania. Cała się trzęsła, a mdłości targwały jej całym ciałem.

- Przeżyłem? Sam nie wiem. Szczęście. Dar od losu. Gdy się ocknąłem, udało mi się na czworakach dojść do sąsiadów. To oni wezwali pomoc.

- Czyli upiekło ci się? Za to, co mi zrobiłeś?

- Takie życie. - Uśmiechnął się, pokazując dwa rzędy krzywych i zjedzonych przez próchnicę zębów. - Miałem fart. Nikt mnie o nic nie podejrzewał, a to, co mi się stało, uznali za zwykły pijacki wypadek.

- Ale mogę teraz pójść na policję i donieść na ciebie.

- Chyba nie - westchnął teatralnie. - Jest to przeterminowane.

- Przedawnione - poprawiła go Maria.

- Zwał, jak zwał. A nawet jakby, to jak to udowodnisz? Twoje słowo przeciwko mojemu. Zresztą jesteś średnio wiarygodna. Nie było cię tyle lat. Twoi rodzice umierali z tęsknoty. Więc gównu mi zrobisz. Poza tym tyle razy mogłaś uciec, a tego nie zrobiłaś. - Triumfalnie się uśmiechnął, odwrócił i kontynuował swój marsz, zostawiając Marię z natłokiem myśli.

## Rozdział 11

2017

- Dziękuję, że przyszłaś - powiedział Witold Markowski do siedzącej przed nim starszej aspirant Doroty Czerwińskiej. To, co zamierzał zrobić, tępił na co dzień wśród swoich podwładnych, ale nie mógł postąpić inaczej, a policjantka była do tego idealną osobą.

- Szef nie musi mi dziękować. Wywiązywanie się z obowiązków służbowych jest chyba w zakresie mojej pracy.

- Wiem, jednak... - Zawiesił na chwilę głos i zapatrzył się za okno. - Sprawa jest dość delikatna i wolałabym...

- Żeby nie wszyscy się o tym dowiedzieli - skończyła za niego.

- Dokładnie.

- Chodzi o Annę Kozereę i tego Filipa Janiszewskiego?

- W pewnym sensie tak. A zresztą skąd wiesz?

- Jestem w końcu policjantką. - Uśmiechnęła się do niego i poprawiła rozjeżdżającą się na brzuchu koszulę. - I to podobno całkiem niezłą, więc czasami daję radę połączyć kropki. A tak na serio, w czym mogę pomóc?

- Sam nie wiem, czy jest w czym. Anna jest moją kuzynką.

- Przecież wiem o tym od dawna - powiedziała triumfalnie.

- Aha - wtrącił zmieszany. - Chodzi o to, że musimy na nowo przyjrzeć się sprawie zabójstwa Grzegorza Mazurka. Niestety są podejrzenia, że kobieta, która za to siedzi, jest niewinna.

- O Boże, to straszne!

- Niestety, i możliwe, że prawdziwe. Trzeba to bardzo dobrze sprawdzić.

- Ale skąd taki pomysł? - dopytywała widocznie zaintrygowana Dorota.

- Jak ci powiem, to pewnie nie uwierzysz. Historia jest rodem z serialu brazylijskiego.

Witold Markowski szczegółowo opowiedział o romansie Anny, zaręczynach z zamordowanym, jej ciąży. Aż w końcu doszedł do oświadczeń, przy których na palec Matyldy trafił ten sam pierścionek, który Anna dostała dwadzieścia lat wcześniej. A na koniec opowiedział o dziwnych wynikach badań genetycznych, które pokazały, że Filip i Matylda nie mają tego samego ojca, ale jednak są spokrewnieni.

- Faktycznie, historia jak z tasiemca. Jeżeli jest to prawdą, to w więzieniu siedzi niewinna osoba. Tylko pytanie, kto jest winny? -



spytała Dorota.

- Żona Grzegorza? - odpowiedział pytaniem komendant i podał podwładnej przygotowaną wcześniej teczkę z dokumentami starej sprawy.

- Dziękuję - powiedziała. - To najbardziej oczywisty trop, ale może to ktoś inny. Może ona sama miała kochanka, który z miłości do niej pozbył się męża, a później podarował jej pierścionek. W tej historii można spodziewać się wszystkiego.

- Tak, zdecydowanie. Dlatego musimy się spieszyć i odkryć wszystkie elementy tej układanki.

- Oczywiście - powiedziała Dorota i spojrzała badawczo na swojego szefa. - A co z oskarżeniem przeciwko Annie w związku ze zniknięciem Filipa Janiszewskiego?

- Na chwilę obecną wszystkie oskarżenia zostały wycofane. Filip się odnalazł, a na każdy dowód przeciwko Annie znalazło się wyjaśnienie. Ślady krwi Filipa na młotku były wynikiem uderzenia, które sam sobie zadał. Podobno przybijał gwoździe do ściany i walnął się w palec tak nieszczęśliwie, że zalał się krwią. Łańcuszek prawdopodobnie zaplątał się w praniu w jego bluzę i wypadł, gdy Filip został wyciągnięty z auta. Twierdzi, że spotkał się z dilerem. Oczywiście nie będzie zaskoczeniem, że nie chce podać żadnych danych. Powiedział, że go nie zna, ale mu nie wierzę.

- Ja chyba też.

- No więc wersja oficjalna brzmi następująco. Chłopak potrzebował dopalaczy. Umówił się z jakimś ziomem na odbiór. Niestety coś poszło nie tak. Filip sugerował, że tamten był pod wpływem czegoś, bo mówił od rzeczy. Nagle zaczął go okładać pięściami. Ściągnął z niego bluzę, a gdy Filip leżał zwinięty w kłębek na ziemi, zaczął przeszukiwać samochód w poszukiwaniu bliżej nieokreślonego przedmiotu. Wtedy Filip rzucił się do ucieczki, zostawiając napastnika i samochód.

- Ale dlaczego tak długo go nie było? Minął tydzień od jego zniknięcia.

- Twierdzi, że biegnąc, uderzył się w głowę i długo leżał nieprzytomny. Próbował znaleźć drogę powrotną, ale nie był w stanie. W końcu znalazł jakiś domek, gdzie były puszki z żarciem. - Komendant

westchnął i poprawił się w fotelu. Widać było po jego minie, że dość sceptycznie podchodzi do tych zeznań.

- Śmierdzi na kilometr.

- Wiem, ale chłopak idzie w zaparte, że tak było. Najdziwniejsze jest to nagranie, ale nic na niego nie mamy. Nie mamy dowodów, że to on za tym stoi. Zresztą o co mielibyśmy go oskarżyć? Przez tydzień nigdzie się nie udzielał. Nie korzystał z kart, telefonu. Nic, zero, więc mimo że jego wersja jest mocno naciągana, nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Teraz najważniejsze jest....

Jego wypowiedź przerwało pukanie do drzwi.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - W drzwiach pojawił się jeden z młodszych policjantów, który pracował na recepcji, odbierając zgłoszenia od mieszkańców. - Ma pan gościa.

- Gościa? Ale ja na nikogo nie czekam.

- Ta pani mówi, że pilnie musi z panem porozmawiać.

- Pilnie, niepilnie, musi poczekać. Mam sprawę do obgadania i nie mogę przerywać.

- Przepraszam, ale ona nalega. Kazała powiedzieć, że nazywa się...

Gdy Witold usłyszał dziecięcą ksywkę swojej siostry, poczuł, że cały pokój zaczyna wirować, a słowa wypowiedane przez siedzącą naprzeciwko Dorotę zupełnie do niego nie docierają.

## Rozdział 12

2017

Dorota Czerwińska nie zdążyła wyłożyć informacji o prowadzonej przez nią sprawie, a właściwiej rozpoznaniu, bo nagłe pojawienie się zaginionej siostry Markowskiego wywróciło do góry nogami wszystkie plany komendanta.

Nakręcona jak zabawka zasilana bateriami Duracell, wybrała numer do szpitala, dokąd dzwoniła każdego dnia, licząc na pozytywną wiadomość dotyczącą zdrowia Iwony Zubrzyckiej.

- Ma pani szczęście - powiedział lekarz prowadzący, który co rano ze stoickim spokojem znosił jej telefony. - Obudziła się i czuje się lepiej. Teraz jest u niej rodzina, ale myślę, że jak podjedzie pani za godzinę, będzie dobrze.

Policjantka aż podskoczyła z radości. Przejrzała jeszcze raz zdjęcia na profilu @happyosa, wydrukowała kilka i pojechała do szpitala.

Przed salą, w której leżała poszkodowana, minęła się z jej rodziną.

- Proszę jej nie męczyć - rzucił Zubrzycki po zdawkowej wymianie powitalnych uprzejmości.

- Nie zamierzam - odpowiedziała i spojrzała na dzieci, które zasiadły na krzesłach pod salą, zajęte liczeniem cukierków pochowanych po kieszeniach. Widząc, że nie zwracają na nich uwagi, postanowiła wykorzystać sytuację i rzuciła: - Czy mieli państwo kiedykolwiek problemy ze swoją nianią?

- Nie. Nigdy. To najwspanialsza osoba na świecie. Gdyby nie ona, Iwona nie doszłaby do siebie. Dzięki niej miała czas na terapię, a dzieci nie siedziały całymi dniami w przedszkolu. Oczywiście chodzą tam, ale na pół dnia, żeby się socjalizować.

- Dziękuję. Nie będę pana dłużej zatrzymywać - powiedziała zmieszana i ruszyła na rozmowę z kobietą.

Gdy tylko otworzyła drzwi, uderzył w nią zapach kwiatów, sprawiając, że zakręciło jej się w głowie. Zresztą ostatnimi czasy miała wrażenie, że większość bodźców, które dotychczas nie robiły na niej wrażenia, atakowała ją co najmniej ze zdwojoną siłą.

- Dzień dobry - powiedziała cichym i spokojnym głosem, nie wiedząc, czy kobieta, do której przyszła, śpi, czy może czeka na jej wizytę. Stojąc w progu, nie widziała jej twarzy, którą zasłaniał szpaler różnokolorowych kwiatów.

- Dzień dobry, zapraszam - usłyszała w odpowiedzi mocno zachrypnięty głos. - Proszę podejść, nie widzę pani.

- Przepraszam, zapatrzyłam się na kwiaty. Starsza aspirant Dorota Czerwińska z...

Nie skończyła, bo kobieta momentalnie usiadła, jakby chciała zerwać się z łóżka.

- Boże, to pani! - krzyknęła.

Dopiero teraz policjantka zobaczyła jej twarz. Praktycznie niczym nie przypominała tamtej, którą zapamiętała z akcji ratunkowej. Teraz siedziała przed nią na szpitalnym łóżku piękna kobieta z długimi, prostymi jak druty, kasztanowymi włosami, które mimo niezbyt sprzyjających warunków spokojnie mogłyby reklamować jakiś szampon lub odżywkę do włosów. Zresztą cała jej twarz wyglądała zdrowo. Gładka jak pupa niemowlaka skóra w niektórych miejscach nie wykazywała możliwości zmarszczenia się, ale mimo to nie wyglądała jak coraz częściej spotykane nadmuchane dziewczyny, które niezależnie od tego, czy się śmiały, czy płakały, wyglądały tak samo. - Pani nie wie, jaki ja mam dług wobec pani.

- Niczego nie jest mi pani dłużna. - Uśmiechnęła się.

- Oj nie. Jestem. Gdyby nie pani, pewnie bym tam umarła. Jak wyjdę, znajdę sposób na odwdzięczenie się, a teraz pewnie chce pani porozmawiać - rzuciła zachrypniętym głosem. Nachyliła się po stojącą obok plastikową butelkę i pociągnęła z niej łyk wody.

- Tak. Wiem, że wszystko wskazuje na wypadek, ale...

- To nie był wypadek - powiedziała stanowczym głosem. - Nie powiedziałam o tym mężowi, bo on uważa mnie za paranoiczkę, ale ktoś mnie zepchnął.

- Gdy panią znalazłam, powiedziała pani coś w stylu „to ona”, „to on” lub „to oni”. Pamięta to pani?

- Nie - wyszeptała kobieta. - Pamiętam panią, ale z tego, co działo się wcześniej, zupełnie nic.

- A co pani pamięta? - spytała Dorota i usiadła na stojącym przy łóżku krześle.

- Marlena poszła z dziećmi do przedszkola. Normalnie ja to robię, ale tego dnia bolała mnie głowa, więc poprosiłam ją o pomoc. Jak zwykle z uśmiechem na twarzy to zrobiła. Zresztą ta dziewczyna jest niesamowita. - Na twarzy kobiety pojawił się uśmiech błogości i szczęścia, czym wywołała u policjantki niemałe zaskoczenie. - Ona przeszła w życiu tak wiele, a mimo to wprowadza radość wszędzie, gdzie się pojawia.

- A co jej się stało?

- Gdy miała kilka lat, wraz z rodziną jechała na wakacje. Ona, jej dwie siostry i rodzice. Niestety... - Kobieta przerwała i spuściła wzrok.

- Mieli wypadek. Tylko Marlena przeżyła. Nikt z rodziny nie chciał jej przygarnąć, dlatego wylądowała w domu dziecka. To, co mi opowiedziała o swoim dzieciństwie, to jakiś koszmar. Bicie, wyzwiska. Gdy tylko mogła, uciekała. Zaczęła pracować i powoli zapominać o tym koszmarze, który ją spotkał.

- Od kiedy u państwa pracuje?

- Od ponad roku.

- Nigdy nie mieliście państwo z nią problemów?

- Nie. Jest bardzo pomocna. Ma niesamowite podejście do dzieci, czego czasami jej zazdroszczę. No i gotuje jak mało kto.

- Aha - westchnęła zdeorientowana policjantka. - Przepraszam, ale muszę się spytać, czy widziała pani jej konto...?

- Na Instagramie? - dokończyła Zubrzycka.

- Tak, zgadza się. Pani o tym wie?

- Tak, nawet ja robię te zdjęcia - powiedziała z dumą w głosie i przeczesła ręką włosy.

- Ale dlaczego?

- Kiedyś przyłapałam Marlenę, jak płakała. Powiedziała, że jak ogląda te wszystkie zdjęcia w sieci, to jest jej smutno. Próbowałam jej wytłumaczyć, że to tylko złudzenie, że tym ludziom żyje się tak super. Oni pozują do tych zdjęć i później wracają do swojego smutnego życia. A ona już nie ma czym się smucić. Założyłyśmy ten profil i razem go prowadziłyśmy, ale to Marlena jest jego gwiazdą. Wiem, że może to dziwne, ale chciałam, żeby poczuła się lepiej. I co zaskakujące, ludzie łyknęli ten nasz stworzony świat. Marlena występuje tam jako bogata matka dwójki. Twarzy moich dzieci nigdy nie widać, więc to nic szkodliwego. To jest taka nasza zabawa. Nawet raz już dostała zapytanie o współpracę od jakiejś marki odzieżowej.

- Rozumiem. Możemy wrócić do dnia wypadku? Co pani pamięta?

- Tak jak mówiłam, bolała mnie głowa. Położyłam się, ale długo nie pospałam. Zadzwoił mój telefon. Nie wiem po co, ale odebrałam. To była moja była asystentka, którą musiałam zwolnić. Próbowała mnie przekonać, żebym dała jej drugą szansę, ale ja nie miałam tego w planie. Rozłączyłam się i jeszcze chwilę poleżałam. Na szczęście po jakimś czasie tabletki zaczęły działać. Niestety musiałam ich trochę wziąć, więc kręciło mi się w głowie. Nastawiłam pranie i poszłam

sprawdzić, jak wyglądają nowe schody, które nam montowano od kilku dni. I wtedy ktoś mnie uderzył. Nie miałam nawet czego się chwycić, bo balustrada nie była jeszcze zamontowana. A później wie pani, co się działo. Uratowała mnie pani. – Kobieta ponownie się uśmiechnęła, a po jej twarzy spłynęła łza.

- I bardzo mnie cieszy, że przyszłam na czas. A wracając do tego zdarzenia... Kto panią popchnął lub uderzył?

- Nie wiem. Od kiedy się obudziłam, cały czas się nad tym zastanawiam i nic.

- A ktoś był w domu?

- Nie. Wcześniej był Remek, ale on wyszedł, jak zadzwoniła ta asystentka.

- Kim jest Remek? – spytała zaintrygowana Czerwińska.

- To kolega Marleny, jeszcze z domu dziecka. Są jak rodzeństwo. Pomagają sobie, jak mogą. Teraz u nas robił schody, a wcześniej wielokrotnie pomagał. Złota rączka, a do tego miły, sympatyczny i wpatrzony w dziewczynę jak w obrazek.

## Rozdział 13

2017

Zapięła ostatni guzik w ulubionej koszuli córki, włożyła jej dół w spodnie i pociągnęła za suwak. Nie czuła się komfortowo w tym stroju, ale Anna wiedziała, że spodoba się Matyldzie. Ta nie raz i nie dwa z przekąsem komentowała jej sukienki, nazywając je babcinymi lub w stylu starej, zdewociałej księgowej. Starła się nie brać tego do siebie, ale dzisiaj postanowiła temu ulec. Dziwnie się z tym czuła. Tak jakby chciała przypodobać się córce, mimo że czuła, że to bez sensu. Matylda jasno oświadczyła, że jest to ich pożegnanie.

Miała wielką nadzieję, że uda jej się jeszcze przekonać córkę do zmiany zdania. Postanowiła wyjechać z Filipem i grubą kreską odciąć się od tego, co było. Przyziemne argumenty, jak choćby kazirodztwo,

zupełnie do niej nie przemawiały. Tak jakby fakt sypiania z własnym bratem nie był czymś złym. Liczyła, że ta pożegnalna kolacja nie będzie jednak ich ostatnią. Że córka zmieni zdanie i zostanie. Wiedziała, że będzie to trudne, bo przy stoliku nie będą same. Będzie jeszcze Filip, który miał wpływ na córkę jak przywódca sekty.

„W sumie nie różni się od ojca”, pomyślała Anna i wyszła z łazienki. Zerknęła na wiszący na ścianie zegar i widząc, że zostało jej raptem osiem minut do przyjazdu autobusu, chwyciła za torebkę, zarzuciła na plecy jedyny płaszcz, jaki miała, i wyszła z domu.

Mogła pojechać samochodem, bo nie planowała pić alkoholu, jednak poziom zdenerwowania był tak wysoki, że zrezygnowała z tego środka komunikacji. Wsiadła do autobusu i zajęła miejsce bezpośrednio za kierowcą. Do przejechania miała zaledwie trzy przystanki, więc przy dobrej pogodzie pewnie poszłaby spacerkiem, ale zacinający deszcz ją odstraszył. Miała jeszcze dziesięć minut do spotkania, ale była pewna, że córka już jest na miejscu.

I też tak było. Przez okno autobusu zobaczyła ich siedzących przy stoliku. Śmiali się i rozmawiali. Wyglądali jak zwykła zakochana w sobie para.

Z rozmyślań wytrąciło ją mocne szarpnięcie, tak jakby kierowca zapomniał o przystanku. Autobus stanął dokładnie naprzeciwko restauracji. Szybko wstała, wyszła przednimi drzwiami.

Skręciła dwa razy w lewo i szła wzdłuż maski autobusu zahipnotyzowana widokiem córki. W pewnym momencie Matylda podniosła głowę, lecz zamiast uśmiechu Anna zobaczyła na jej twarzy dziwny grymas. Nie tego się spodziewała po córce, której poświęciła całe życie. Miała nadzieję, że chociaż uśmiechnie się do niej, ale jej mina robiła się coraz dziwniejsza.

„Może nie powinnam tutaj być...”, pomyślała i wyszła z autobusu, wprost pod koła nadjeżdżającego z dużą prędkością samochodu.

## Rozdział 14

Natłok myśli powodował, że Kornelię od dwóch dni bolała głowa. Zupełnie nie była w stanie ogarnąć swoim rozumem wydarzeń ostatnich dni. Wiedziała, że nie jest nieskazitelną osobą i ma na swoim sumieniu życie dwóch osób – swojego męża i jego kochanki. Ta druga, fakt faktem, żyła, ale siedzenia w więzieniu przez dużą część swojego życia chyba nie można było nazwać spełnieniem marzeń. Jednak źródłem całego tego zła był on, jej mąż.

Dobrze pamiętała, jak pierwszy raz dowiedziała się, że Grzegorz coś przed nią ukrywa. Powiedział, że idzie z kolegami z pracy na piwo. Siedziała w domu i nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca, ubrała się i postanowiła przejść. Nie planowała tego, ale nogi same poprowadziły ją pod pub, gdzie miał być Grzegorz. Z daleka zobaczyła, że coś jest nie tak. Lokal był zamknięty na cztery spusty. Nie było szans, żeby Grzegorz się tam z kimkolwiek spotkał. Niespiesznie wróciła do domu, położyła się i czekała.

Musiała zasnąć, bo obudził ją dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Leżała nieruchomo, czekając, aż mąż przyjdzie do sypialni.

- I jak było w barze? – spytała niby od niechcenia.

- Fajnie. W końcu wyluzowałem po ostatnim projekcie. Potrzebowałem tego.

- A jak nazywa się ten bar, w którym byliście?

- Przecież ci powiedziałem. „Malinka” – wymienił nazwę baru, który był zamknięty.

- Aha – westchnęła.

Wiedziała, że nic więcej z niego nie wyciągnie i będzie musiała pobawić się w detektywa, żeby dowiedzieć się prawdy. Zupełnie przypadkiem okazja nadarzyła się już trzy dni później. Ponownie powiedział jej, że wychodzi. Czekala na niego pod pracą, ukryta tak, żeby jej nie zauważył. Wszedł głównym wyjściem i od razu skręcił w przeciwnym kierunku niż restauracja, w której rzekomo miał spotkanie z klientem. Przeszedł jeszcze pięćset metrów i wsiadł do zaparkowanego pod sklepem spożywczym samochodu. Nie wiedziała, czyje to auto, a kierowcy z daleka nie widziała. Na początku pomyślała, że to jakiś kolega z pracy, który zaproponował podwózkę. Jednak gdy



podeszła bliżej, zobaczyła Grzegorza migdalącego się z jakąś blondyną. W pierwszym odruchu chciała podejść do pojazdu, wyciągnąć kobietę za włosy i zrobić jej krzywdę. Tylko co by to dało?

Wiedziała dobrze, że jest w patowej sytuacji i nie może tak po prostu go zostawić. Wszystko, co mieli, było jego. Poza tym Grzegorz nigdy nie pozwoliłby jej odejść. A na pewno nie na jej warunkach.

Patrzyła na swojego męża w objęciach innej i powoli w jej głowie rodził się pomysł, jak odzyskać męża. Następnego dnia poszła do fryzjera i umówiła się do kosmetyczki. Musiała zrobić wszystko, aby znowu być dla męża atrakcyjną kobietą.

Przez jakiś czas miała wrażenie, że jej plan to było to, czego potrzebowało ich małżeństwo. Grzegorz wracał do domu wcześniej, patrzył na nią jak kiedyś.

Jednak po pół roku jego zapał znowu zaczął spadać. Przestał kupować jej kwiaty, a randki niespodzianki, które tak pokochała, nie były już standardem. Wiedziała, że znowu musiała się pojawić inna kobieta. Więc ponownie, niczym niezrażona, podkreśliła ich małżeńskie relacje. Kupiła taką bieliznę, że sama czerwieniła się na widok swojego odbicia w lustrze. Grzegorz był zachwycony jej kolejną metamorfozą, ale znowu euforia nie została z nim na długo.

I wtedy pojawił się u jej boku Tadeusz, brat Grzegorza. W sumie to znali się od dawna, ale dopiero gdy postanowiła wypłakać mu się w ramię, dostrzegła jego urok. Był lepszą wersją jej męża. Może nie był przystojniejszy, ale na pewno bardziej opiekuńczy i wpatrzony w nią jak w obrazek.

Sama nie do końca pamiętała, jak to się stało, ale przespaała się z nim. Nawet nie raz. Gdy okazało się, że jest w ciąży, wpadła w panikę. Zawsze chciała zostać matką, ale nie wiedząc, kto jest ojcem, była w bardzo niekomfortowej sytuacji. O badaniach na ustalenie ojcostwa słyszała już wielokrotnie, ale nie mogła przecież poprosić męża i jego brata o udział w nich.

Nie widząc żadnego sensownego rozwiązania, postanowiła tkwić w tym i udawać przed światem, że jest szczęśliwą żoną i niedługo matką. Ku jej zdziwieniu przez dwa lata nie było to trudne. Miała wrażenie, że wizja ojcostwa, a później narodziny syna zmieniły Grzegorza. Jakby fakt

posiadania potomka pozbawił go chęci do zdrad. Niestety, jak wszystko, co dobre, to też się skończyło.

Zaczął się jak poprzednio, od niewinnych wyjść z kolegami, po których wracał z zapachem jakiejś kobiety na ubraniu. I tak jak przed narodzinami syna może i miała wyjście, tak teraz czuła, że utknęła w klatce na zawsze.

Miała już tego dość. Poniżania, śmiania się jej w twarz. Każdego dnia czuła, że wybuchnie. Dlatego postanowiła skupić swoją uwagę na innych rzeczach. Na Filipie, a także na swojej pasji. Postanowiła wrócić do malowania obrazów, czym zajmowała się, zanim poznała Grzegorza. Zrobiła listę potrzebnych rzeczy - farby, blejtramy, ale zapisała również takie mniej oczywiste - jak młotek, aby przybić materiał na ramę, czy folię, aby nie ubrudzić podłogi.

Wracała już do domu z zakupów, gdy zobaczyła jego samochód na parkingu pod hotelem. Dobrze wiedziała, co tam robi. Pojechała do domu i zaczęła wyrzucać jego rzeczy na podłogę. Chciała je spalić, pozbyć się ich raz na zawsze. Krążyła po mieszkaniu cała nabuzowana, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Tyle razy go tłumaczyła, robiła wszystko, żeby być z nim, ale to był ten raz, który przepełnił czarę goryczy.

Wzięła płaczącego z bliżej nieokreślonych powodów Filipa i wyszła z domu. Wiedziała, że podczas jazdy chłopiec szybko zaśnie i będzie mogła na chwilę zostawić go w samochodzie. Miała przemożną potrzebę złapania Grzegorza na gorącym uczynku.

Droga do hotelu zajęła jej piętnaście minut, podczas których intensywnie myślała, co zrobi, gdy stanie z nim twarzą w twarz. Miała mnóstwo myśli w głowie, ale wiedziała, że jak go zobaczy, nie będzie w stanie wydusić z siebie słowa.

I tak też się stało, gdy stanęła przed pokojem numer trzydzieści siedem. Wzięła głęboki wdech i zapukała. Sądziła, że chwilę zajmie mu obudzenie się, ale już po kilku sekundach usłyszała ruch za drzwiami. Zanim jeszcze otworzył drzwi, dobiegł ją jego głos:

- Zapomniałaś czegoś? - powiedział Grzegorz i szerzej otworzył drzwi. Na jej widok zdębiał, jednak szybko się otrząsnął. - Coś się stało? - spytał już spokojniej. Wiedziała, że chce ją wkręcić w swoją grę.

- Wiem, co tu robisz.

- Tak? A niby co?

- Zdradzasz mnie.

- Serio? A niby z kim? - Otworzył przed nią drzwi i pokazał puste łóżko.

- Nie wiem, ale zdradzasz mnie. I to nie pierwszy raz.

- Boże, chyba hormony ci szaleją. Nie zdradzam cię. Wiesz, że muszę się czasami wyspać, a Filip nie daje żyć. Mam teraz dużo pracy, jutro ważne spotkanie i nie mogę tego zawalić.

- Nic mi nie szaleje. - Kornelia czuła, że brakuje jej tchu.

- Zawsze sobie coś wmawiałaś. Żyjesz w szklanej kuli i jesteś zupełnie oderwana od rzeczywistości.

Odwrócił się do niej plecami i ruszył w kierunku łóżka. To był ułamek sekundy. Zanurzyła rękę w swojej torebce i natrafiła na dokonany kilkanaście godzin wcześniej zakup. Chwyciła młotek, pewnym ruchem wyjęła go z torebki i uderzyła nim z całej siły w głowę Grzegorza. Tego, co później się działo, nigdy nie była w stanie odtworzyć. Wiedziała tylko, że zabrała z hotelu list i jakiś pierścionek, który znalazła na szafce nocnej. Wyszła tak, jak weszła - bocznym wejściem, po czym wróciła do samochodu, gdzie Filip smacznie spał.

A teraz zdarzenia sprzed dwudziestu lat odbijały jej się czkawką.

Nalała sobie whisky, dołała coli i uśmiechnęła się. Grzegorz zawsze powtarzał, że dodawanie do złocistego trunku czegokolwiek poza lodem to profanacja. Poszła z drinkiem do łazienki i rozebrała się. Gorąca kąpiel z pianą już na nią czekała. Powoli weszła do wanny, czując parzącą wodę na swojej skórze. Zanurzyła się cała, znikając pod gęstą pianą, i po kilku sekundach wyłoniła się.

Sięgnęła po szklankę i na raz wypiła całą jego zawartość. Zamknęła oczy, policzyła do pięciu, nieśpiesznie uniosła powieki i sięgnęła po przygotowaną wcześniej żyletkę.

- Kocham cię, synku - powiedziała, czując spływające po policzku łzy.

Wzięła głęboki wdech i pewnym ruchem przecięła żyły na wewnętrznej części lewego nadgarstka.

# Część 5

## Rozdział 1

2017

Gdy tylko Matylda zobaczyła twarz matki w oknie zbliżającego się autobusu, poczuła w sercu mocne ukłucie. Dobrze wiedziała, ile Anna musiała znosić i ile dla niej poświęciła. Jako samotna matka zawsze miała pod górkę, a mimo to nie narzekała. Z uśmiechem na twarzy przyjmowała rzucane pod nogi kłody. Matylda dobrze pamiętała, jak nauczycielka w podstawówce wręcz szykanowała ją za bycie matką bez męża. Traktowała ją wręcz jak kobietę lekkich obyczajów, która sypia z kim popadnie.

Matylda dobrze pamiętała, jak matka często sobie odmawiała przyjemności, aby tylko kupić jej wymarzoną koszulkę, wysłać na wakacyjny obóz z koleżankami czy kupić rolki, bo przecież wszyscy je mają. Leżały później w szafie i się kurzyły, bo okazało się, że nie ma koordynacji i za bardzo się męczy. Nie czuła wtedy wyrzutów sumienia, że matka się zarzyna, aby ona miała wszystko, aby nie czuła się gorsza przez ich sytuację rodzinną.

Za to przez całe życie miała do matki pretensje o to, że milczała. Od wielu lat próbowała się od niej dowiedzieć, kim był jej ojciec. O tym, że nie żyje, wiedziała od zawsze. Jednak nigdy się nie dowiedziała, jak miał na imię i nazwisko. Czym się zajmował. Co lubił, a czego nie. Czy była do niego podobna.

Dlatego gdy dowiedziała się, że nazywał się Grzegorz Mazurek i pracował jako dyrektor finansowy, ucieszyła się jak małe dziecko. Dopiero po chwili przyszła refleksja, że w takim razie Filip jest jej

bratem. W pierwszym momencie pojawiło się zdziwienie. Jak mały jest ten świat, że spośród milionów potencjalnych kandydatów na chłopaka trafiła właśnie na niego. Że to właśnie w nim zakochała się na zabój i z nim chciała spędzić resztę życia. Wiedziała, że dla wszystkich z jej otoczenia, którzy znali prawdę, jest to nie do zaakceptowania. Mimo to nie zamierzała nic z tym zrobić. Nad kwestią dzieci na razie nie planowała się pochylać, zresztą miała inne problemy.

Najważniejszy był Filip. Po całej tej akcji z jego zniknięciem i pobiciem nie miała ochoty rozmawiać z matką, słuchać jej tłumaczeń lub próśb, żeby została, jednak wiedziała, że jest winna jej to jedno ostatnie spotkanie. Z pełną premedytacją wybrała restaurację, a nie ich dom, i zabrała ze sobą narzeczonego, od którego pierścionek nosiła z dumą. W tej sytuacji miała nadzieję, że spotkanie przebiegnie w mniej emocjonalnej atmosferze. Bez płaczu i prób wymuszenia zmiany zdania.

Autobus się zatrzymał, a matka niespiesznie wstała z zajmowanego miejsca. Matylda od razu zauważyła jej strój. „Ubrała się dla mnie”, pomyślała i uśmiechnęła się. Na chwilę kobieta zniknęła za autobusem, ale zaraz pojawiła się z przodu pojazdu i szła w ich stronę. Widać było, że jest zamyślona, jakby nieobecna. Podniosła na nią wzrok, lecz zamiast zobaczyć uśmiech na twarzy córki, zobaczyła przerażenie. Matylda kątem oka widziała już zbliżający się w stronę matki samochód, który nie wygładał, jakby mógł zwolnić.

Trwało to ułamek sekundy. Anna Kozera wyszła z autobusu, po czym została z impetem wyrzucona w powietrze. Wszystko wyglądało jak w filmie akcji, gdzie uderzenie pojazdu wystrzeliwuje bohatera, który następnie pada na ziemię parę metrów dalej. Tylko to, co właśnie widziała Matylda wraz z siedzącym obok niej Filipem, było rzeczywistością. Siła uderzenia była tak duża, że kobieta wylądowała jakieś pięć metrów dalej.

Leżała na brzuchu. Prawą nogę miała nienaturalnie wygiętą w kolanie i wypływała spod niej cienka strużka krwi. Jedna z kości przedramienia była złamana tak niefortunnie, że przebiła skórę. Na szczęście uderzenie głowy o asfalt zamortyzowała ręka, która jako pierwsza dotknęła jezdni.

- Mamo! - krzyczała Matylda, wybiegając z restauracji. Przy wyjściu wpadła na kelnera niosącego tacę obstawioną naczyniami. Usłyszała za

sobą tylko dźwięk tłuczonego szkła, ale nawet nie zwolniła kroku. - Niech ktoś wezwie pomoc!

- Już dzwonię! - Momentalnie przy jej boku znalazł się Filip, który wybierał numer alarmowy.

Nie czekali nawet trzech minut, gdy usłyszeli charakterystyczny dźwięk. Samochód z piskiem opon zaparkował na środku ulicy i już po chwili dwóch sanitariuszy układało kobietę na noszach.

- Czy ona będzie żyć?! - krzyczała do nich Matylda przez łyzy.

- Proszę pani, proszę się modlić. Wszystko w rękach Najwyższego...  
- odpowiedział wysoki mężczyzna, niosąc poszkodowaną do karetki.

## Rozdział 2

2017

Nie tak to miało wyglądać. Chciał zranić matkę i Annę, ale nie pragnął ich śmierci. Przede wszystkim miały cierpieć. To właśnie tak widział swoje zwycięstwo. Jego rodzicielka za swoją zdradę i odebranie mu ojca miała stracić to, co dla niej najważniejsze, czyli jego. Matka Matyldy miała cierpieć za romans z żonatym mężczyzną. Wiedział, że nie zrobiła tego z premedytacją, ale powinna trzymać się z dala od mężczyzny, który ma już żonę i dziecko.

Teraz zalany łzami siedział na krawędzi wanny i patrzył na matkę, która leżała z twarzą pod wodą w krwawej kąpieli. Wyglądała tak nieidealnie. Jej oczy były jak u lalki, takie puste. Usta miała uchylone i nic nie robiła sobie z tego, że wypełnia je woda. Bo niby co miała robić. Prawdopodobnie zemdląła pod wpływem utraty dużej ilości krwi. To właśnie głęboko rozciętą tętnicą lewej ręki wypłynęła z niej życiodajna krew.

Zawsze uważał, że Kornelia ma jakieś supermoce i niezależnie od wszystkiego będzie żyła wiecznie. Przez całe swoje życie patrzył na nią jak na superbohaterkę, która w każdej sytuacji da sobie radę i wyjdzie z opresji z podniesioną głową. Dobrze pamiętał, jak gdy miał osiem lat,

jechali samochodem i nagle poczuli mocny wstrząs. Gdyby nie było ciemno i nie padał śnieg, pewnie nie bałby się tak bardzo. Długo prosił mamę, żeby nie wychodziła z samochodu. Nie chciał zostawać sam, ale w końcu się zgodził. Przez zaparowane i przysypane śniegiem szyby nic nie widział. Minuty dłużyły się niemiłosiernie. Miał wrażenie, że ten koszmar nigdy się nie skończy. W końcu drzwi się otworzyły i mama z uśmiechem na twarzy oświadczyła, że mogą jechać. Przez lata myślał, że w tej śnieżycy, w nocy sama naprawiła auto. Jakiś czas temu dowiedział się, że zatrzymał się wtedy jakiś mężczyzna i zmienił jej koło. Takich sytuacji było o wiele więcej, a każda kończyła się wiarą w jej supermoce. Nawet jak dorósł, dostrzegał jej moc, a nie słabości.

A teraz patrzył na kobietę, którą tak długo uznawał za najwspanialszą osobę na świecie. Była jego opoką i wsparciem. To dzięki niej miał wszystko, czego pragnął. Swoją pracowitością stworzyła małe imperium, którego jej zazdrozczono. Po śmierci ojca wiele osób uważało, że samotna matka nie da sobie rady. Powinna poszukać bogatego mężczyzny, potulnie oprzeć głowę na jego ramieniu i oddać swoje życie w jego ręce. Ale Kornelia Janiszewska nie należała do takich kobiet. Lubiała mieć wszystko pod kontrolą i dzięki temu tak wiele w życiu zdobyła.

„Nawet umarła tak, jak chciała”, zaśmiał się sam do siebie Filip. W wannie, z whisky – tak jak kochała spędzać czas po ciężkim dniu pracy.

Patrzył na jej nagie ciało i czuł wzbierającą złość. Tak niewiele zabrakło, a może by żyła. Po tym, co stało się z matką Anny, poczuł nagłą potrzebę, by ostatni raz ją zobaczyć i tak po ludzku pogadać. Jednak nie zdążył.

## Rozdział 3

2017

- Szeffie, pana siostra uciekła temu zwyrolowi, ale jakoś nie chce mi się wierzyć, że była jego jedyną ofiarą. Jak pan chce, mogę się tym zająć -

powiedziała Dorota Czerwińska, jak zwykle ze swoim zadziornym uśmiechem na twarzy.

Siedzący naprzeciwko komendant wiedział, że kobieta nie ustąpi, nawet jak nie da jej zielonego światła. Zresztą jemu również zależało na tym, aby facet nie uniknął kary.

- Wiesz dobrze, że nic na gościa nie mamy. To było wieki temu. Żaden prokurator nam nie klepnie takiej akcji.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę, ale mimo to powęszę. To nie jest żaden intelektualista, który przeprowadził dużo wcześniej zaplanowaną akcję. Na sto procent popełnił niejeden błąd, i już moja w tym głowa, aby to znaleźć. Tak na zdrowy rozsądek. Nikt nigdy nie zapukał do jego drzwi, więc co sobie typek pomyślał?

- Że jest bezkarny - odpowiedział komendant.

- Dokładnie, a co się wtedy najczęściej robi?

- Popełnia kolejne przestępstwo.

- Widzę, że szef dobrze wszystko ogarnia, a ja staję się specjalistką od spraw beznadziejnych.

- A właśnie, co ze sprawą tej kobiety, co spadła ze schodów? Ostatnio nie zdążyłem spytać.

- Iwony Zubrzyckiej? Sama nie wiem. Z jednej strony kobieta twierdzi, że ktoś ją popchnął. Tylko nie ma nikogo podejrzanego. Nic nie zniknęło z domu. Przecież musiała sobie czymś zasłużyć na to, żeby ktoś zrzucił ją ze schodów. Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu. A z drugiej strony wiem, że bierze leki. Może przez nie coś jej się przewidziało.

- Powiem tak, jeżeli uważasz, że jest pole do działania, to draż. Masz moją zgodę. A jak ktoś się przyczepi, to biorę na siebie pełną odpowiedzialność. - Uśmiechnął się i zrobił głęboki wdech. Dorota od razu wiedziała dlaczego. - Wiem, że obiecałem ci więcej czasu, ale cisną mnie z Warszawy i muszę im coś powiedzieć.

Policjantka mimowolnie pogładziła się po brzuchu i rozplakała, wprowadzając komendanta Witolda Markowskiego w nie lada zdziwienie.



# Rozdział 4

2017

Rozmowa Marii z mężem i dziećmi o jej przeszłości przebiegła zaskakująco dobrze. Od zawsze wiedziała, że prędzej czy później przyjdzie ten moment, jednak zupełnie inaczej sobie go wyobrażała. Oczami wyobraźni widziała płaczącą rodzinę, która nie może pogodzić się z jej przeszłością. Jednak oni się ucieszyli – po pierwsze z tego, że w końcu poznają jej rodzinę, po drugie dlatego, że od zawsze wiedzieli, jak bardzo cierpi, ukrywając swoje dawne życie.

Teraz siedziała naprzeciwko swojego brata i czuła, że pomimo lat rozłąki jest między nimi jakaś niewidoczna więź. Łapał w mig jej sucharowe dowcipy, mimo że większość osób patrzyła na nią jak na kosmitkę. Opowiadali sobie na zmianę historie z ich życia. O tym, jak rodziły się ich dzieci, jak poznali partnerów, z którymi postanowili spędzić resztę życia, o swoich pasjach, próbach zrzućcia wagi, które za każdym razem kończyły się porażką.

Maria opowiedziała mu nawet o swoich dwóch procedurach in vitro, z których tylko jedna skończyła się sukcesem. O tym, jak po narodzinach starszej córki totalnie odpuścili. Mieli już jedno wyczekiwane i wychuchane dziecko i liczyli się z tym, że będą rodzicami jedynaczki. Dlatego gdy pięć miesięcy po porodzie zaczęła mieć mdłości, ostatnią rzeczą, o której pomyślała, była ciąża. Grypa żołądkowa, zatrucie pokarmowe, takie powody złego samopoczucia krążyły jej po głowie, gdy wisiała z głową nad toaletą, pozbywając się każdego zjedzonego posiłku.

Gdy po czterech dniach cały czas tylko ona źle się czuła i nic nie pomagało, do głowy wpadła jej abstrakcyjna myśl – „Może jestem w ciąży?”. Nie powiedziała o swoich podejrzeniach mężowi. Podczas spaceru z młodą wstąpiła do apteki, a w pobliskiej kawiarni poszła do łazienki z plastikowym testerem w kieszeni. Gdy zobaczyła dwie kreski, zdębiała. Radość przeplatała się z niedowierzaniem i strachem. Jak sobie poradzą? Kiedyś wyrwana w nocy o północy powiedziałyby, że chciałyby mieć dwoje, a najlepiej troje dzieci. Ale po czterech

miesiącach nieprzespanych nocy, kolek, płaczu i pieluch Maria zaczęła się zastanawiać, czy to jest to, czego by chciała.

Jednak wszelkie jej wątpliwości i stres odeszły w zapomnienie, gdy powiedziała o wszystkim mężowi:

- Żartujesz? - powiedział i patrzył na nią tak, jakby mówiła o spotkaniu z kosmitami.

Tyle razy słyszeli od lekarzy, że to jest praktycznie niemożliwe, aby doszło do zapłodnienia w sposób naturalny, że uznali to za pewnik. Jednak gdy zrobiła w jego obecności już czwarty test tego dnia, zaczął jej wierzyć. Ale dopiero USG w gabinecie ginekologicznym utwierdziło go w przekonaniu, że ma szansę zostać po raz drugi ojcem.

Od tego momentu nie odstępował jej praktycznie na krok. Przeniósł biuro do domu i pomagał, w czym tylko mógł, tak aby Maria jak najmniej narażała siebie i noszone przez nią dziecko. Te wszystkie emocje, które temu towarzyszyły, próbowała przekazać bratu, smucąc się po raz nie wiadomo który, że nie miał szans przeżywać tego z nią.

Siedzieli kolejną godzinę w salonie w domu komendanta, gdy ten rzucił:

- Mam plan.

Patrzyła na jego sympatyczną twarz i zastanawiała się, czy chce wiedzieć, czego ten plan dotyczy. Od kiedy tylko wparowała z zaskoczenia na komendę, delikatnie, lecz systematycznie wyciągał od niej informacje dotyczącego tego, co się stało. Dlaczego przez dwadzieścia dziewięć lat nikt nie wiedział, co się z nią działo? Dlaczego ukrywała się przed nim i całą ich rodziną? Dawkowała mu informacje, a gdy poznał całą prawdę, miała wrażenie, że wybuchnie.

- Nie możemy tego odpuścić.

- Wiem, ale sprawa się przedawniła, co możemy zrobić?

- Generalnie to mało, ale jako rasowy pies nie odpuszczę. Rozmawiałem już z Dorotą.

- Z kim? - przerwała mu.

- Przepraszam, moją najlepszą policjantką. Ona jest jak ja, tylko trochę niższa, młodsza i sprawniejsza. - Uśmiechnął się. - Obiecała pomóc. Nie wiemy, czy byłaś jedyną ofiarą...

- O matko, nigdy o tym nie myślałam... - Głos Marii zadrżał. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógł skrzywdzić jeszcze kogoś.

- Nie powinnaś być zdziwiona. Tacy goście zwykle niestety nie poprzestają na jednej ofierze. To jest trochę jak nałóg. Wciąga i ci popieprzency nie potrafią zrezygnować. A w przypadku tego gościa może być jeszcze gorzej. W pewien sposób dostał zielone światło na kolejne zbrodnie. Nikt go nie złapał. Z tego, co sprawdziłem, to poza jednorazowym udziałem w bójce ma czystą kartotekę. Dorota zaczęła bardzo nienachalnie robić wywiad wśród jego sąsiadów. Dotychczas wszyscy wypowiadają się o nim bardzo pozytywnie. Trochę jak w sprawie Richarda Kuklinskiego.

- Kogo?

- Richard Kuklinski, znany większości jako The Iceman. Mało kto wie, że miał polskie korzenie, ale nie to najważniejsze. Zawodowo zajmował się mordowaniem dla włoskiej mafii Gambino. Prawdopodobnie przez dwadzieścia pięć lat zamordował ponad dwieście osób.

- Aha - westchnęła, zupełnie nie rozumiejąc powiązania z jej sprawą.

- Było to wielkim szokiem dla wszystkich. Sąsiedzi myśleli, że jest zwykłym biznesmenem. Nikt się nie spodziewał, że na co dzień zajmuje się zabójstwami na zlecenie.

- To straszne. Aż strach się bać, kto mieszka za ścianą.

- Niestety taka jest prawda, dlatego fakt niezalezienia niczego na tego gościa nie podetnie nam skrzydeł, będziemy szukać dalej.

- I co planujecie?

- W pierwszej kolejności przeszukamy bazy danych, sprawdzimy, czy nie było spraw podobnych do twojej albo niewyjaśnionych zaginięć. Niestety to wielce prawdopodobne. Szczególnie po tym, jak nie został złapany na poprzedniej zbrodni. Mógł poczuć się pewnie i ruszyć na kolejne łowy.

- Boże. Jak mogłam być taka głupia... Nie tylko skrzywdziłam rodziców, ciebie, a także mogłam ściągnąć niebezpieczeństwo na innych.

- Przestań. - Mężczyzna wstał i usiadł obok siostry. Przy nim czuła się taka mała i bezbronna. Otoczył ją swoim wielkim ramieniem i kontynuował: - To ty jesteś ofiarą. I może to nieładnie zabrzmie, ale twoim zadaniem jest skupić się na sobie. To ja znajdę sposób, aby ukarać tego bydlaka.

# Rozdział 5

2017

Rozmowa z komendantem nie należała do najprzyjemniejszych, a jej emocjonalny przebieg ją samą zaskoczył. Gdy w końcu Dorota Czerwińska przestała płakać, przedstawiła swoją aktualną sytuację, niczego nie ukrywając. Tego, że była w ciąży, jak się okazało, domyślił się sam już jakiś czas temu. Wskazywały na to wymioty, delikatne muśnięcia po brzuchu, bardziej emocjonalne podejście do niektórych spraw.

Natomiast tego, że nie była pewna, kim jest ojciec, zupełnie się nie spodziewał. A gdy zdradziła, kto oprócz Jakuba potencjalnie może zostać tatą, zaniemówił. Przez ponad minutę patrzył na zamknięte drzwi, nie odzywając się ani słowem.

W końcu, gdy pierwszy szok minął, ustalili, że na razie ma skupić się na dziecku i jeżeli będzie się czuć na siłach, pracować, ale tak, aby nie zagrażało to ciąży.

Komendant obiecał porozmawiać z przełożonymi i przesunąć w czasie możliwość awansu. Na koniec z troską w głosie poprosił, żeby nie udawała niezniszczalnej i w razie problemów odpuściła. Zgodziła się, wiedząc, że będzie ciężko. Już dwie godziny później złamała przyrzeczenie, za co jej się dostało, ale nie od komendanta.

- Czy ty zawsze musisz wpakowywać się w kłopoty?! - rzuciła Kasia i sięgnęła po kolejny kawałek pizzy. Od kiedy Jakub się wyprowadził, raz w tygodniu spotykały się na plotki.

- O czym ty mówisz?

- Jak to o czym, o łamaniu przez ciebie prawa.

- Oj tam, oj tam. To wcale tak nie było.

- I powiesz, że włamanie się do czyjegoś domu to nie przestępstwo? Ja może nie jestem zbyt bystra i nie znam dokładnego numeru paragrafu, który złamałaś, ale wydaje mi się, że wchodzenie do czyjegoś domu chyba nie jest zgodne z prawem. Zresztą jako psiara powinnaś to wiedzieć.

- Tylko bez wyzwisk - skomentowała Dorota i wypić kolejny łyk herbaty owocowej, która, jak miała nadzieję, zastąpi jej czasowo ukochane wino. - Zresztą nie mogłam inaczej postąpić. Sprawa siostry komendanta w tym momencie jest dla mnie priorytetowa, i to nie tylko dlatego, że związana jest z szefem i jego rodziną. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co ta kobieta przeżyła. Facet więził ją latami, doprowadził na skraj obłądu. Wmówił, że nikt jej nie chce, a rodzina nie szuka. A gdy się od niego uwolniła, wpadła w kolejne szambo. Przez kilkadziesiąt lat żyła w przekonaniu, że kogoś zabiła. Straszna katorga. Choć jego śmierć chyba niewiele osób by zasmuciła. Ten gość śmierdzi z daleka.

- Może się nie myje - wtrąciła Kasia.

- Ale śmieszne. To taki obleśny typek, co jak masz mu podać rękę, to się pięć razy zastanowisz, a jak ma cię cmokać w policzek, to boisz się, że jego dotyk wyżre dziurę. Nie znoszę takich śliskich gości. Zawsze miałam na takich alergię.

Na te słowa przyjaciółka zaczęła się głośno śmiać i pokręciła głową.

- Zapominał wół, jak cielęciem był.

- O czym ty mówisz?

Kasia sięgnęła po swój telefon, który leżał na stoliku obok kieliszka wina, i zaczęła czegoś szukać. Po chwili triumfalnie wyciągnęła aparat w stronę przyjaciółki, pokazując znalezione w internecie zdjęcie.

- Oskarek Romanowski.

- No nie, tylko nie on. - Dorota patrzyła na ekran aparatu wielkimi oczami i z przerażeniem na twarzy.

- Teraz tak mówisz, ale chyba nie pamiętasz, jak zawrócił ci w głowie. A on nawet nie potrafił wymówić swojego imienia i nazwiska. Oskaf Łomanowski. Ale gdyby to był jego jedyny problem, to luz. Ale on wyglądał jak zakapior, zresztą nadal wygląda. - Kobieta ponownie wyciągnęła komórkę w stronę przyjaciółki. - Co ty, dziewczyno, w nim widziałas?

- Hmm, żebym to ja wiedziała... - Dorota zaśmiała się, patrząc z niedowierzaniem na zdjęcie mężczyzny. - Pamiętam, że zaczął mnie, jak jeździł na deskorolce przed szkołą, i zapisał sobie mój numer telefonu markerem na portfelu. To było takie słodkie i chwyciło mnie za serce. Widziałam się z nim może trzy razy. Raz nie przyszedł, bo jak się

później tłumaczył, uciekał przed policją. Podobno przyłapali go na malowaniu graffiti na szkole lub przystanku. Nie pamiętam.

- Czyli widzisz, czasami nasze wybory nie są racjonalne i może dlatego zauroczenie Marii, nawet takim obleśnym facetem, może mieć wyjaśnienie.

- W sumie masz rację. Może jako nastolatka nie dostrzegała tego, co my widzimy teraz. Ale nieważne. Gostek wśród sąsiadów uchodzi za sympatycznego mruka. Nigdy się nie ożenił, nie ma dzieci. Sporadycznie ktoś widywał go z jakąś kobietą, ale były to krótkie związki. Chyba z żadną nawet nie zamieszkał.

- Dlatego postanowiłaś zaryzykować i wtargnąć do jego domu? O czym ty myślałaś, przecież teraz powinnaś uważać bardziej niż zwykle. Nie jesteś już sama - powiedziała Kasia i od razu pożałowała. Przy ich pierwszej rozmowie na ten temat obiecała, że nie będzie go poruszała, dopóki Dorota nie ułoży sobie tego w głowie. Cały czas nie dostała zielonego światła, więc teraz zamilkła ze skruszoną miną.

- Wiem o tym doskonale, ale ja się nie włamałam. Drzwi były otwarte.

- Aha, czyli jak nie zamknę drzwi na klucz, bo zapomnę, lub dzieci, bawiąc się, je otworzą, to jest to przyzwolenie na wejście nieproszonej osoby? - Kasia zrobiła teatralnie zdziwioną minę i pociągnęła kolejny łyk wina.

- Nie wchodźmy w szczegóły, bo to średnio interesujące. Ważne jest to, co znalazłam w środku.

- Serio coś znalazłaś? - Kasia przysunęła się bliżej przyjaciółki, jakby zmiana pozycji miała sprawić, że usłyszy więcej.

- Chwila. Od początku. Kolesz pracuje w sklepie budowlanym. Sprawdziłam, czy jest w pracy, a jak zobaczyłam go w dziale śrubek i innych młotków, pognałam do jego domu. Na moje szczęście nie ma bezpośrednich sąsiadów, więc nie musiałam się nikim stresować. Dostanie do środka nie było trudne, co dość zadziwiające, bo przecież facet ma prawdopodobnie sporo na sumieniu. Powiem szczerze, że tak dziwnego mieszkania dawno nie widziałam. Oczywiście na wejściu mały korytarz, ale co zaskakujące, bez szafki, komody czy czegokolwiek w tym stylu. Tylko dwa wieszaki. Na jednym wisiła kurtka, a na podłodze leżała jedna para butów, tak czystych, jakby chwilę wcześniej zostały

wyciągnięte z pudełka. Dalej salono-kuchnio-jadalnia. Na oknach brak zasłon czy firanek, tylko rolety typu blackout, które po zaciągnięciu dają totalną ciemność. Na ścianach brak obrazków czy zdjęć. Zupełnie puste pomieszczenie, poza stolikiem z jednym krzesłem. Wyobrażasz to sobie?

- Może nie przyjmuje gości - rzuciła Kasia.

- Może, ale i tak wyglądało to bardzo dziwnie. W kuchni mała lodóweczka z minimalną ilością rzeczy w środku. Obok jedna szafka z pojedynczymi naczyniami, zlew i kosz do segregacji. I tyle.

- Trochę jak jakieś więzienie.

- Zdecydowanie minimalistyczny wystrój.

- Rozumiem, że był jeszcze jeden pokój.

- Tak, ale w nim na środku leżał materac, a obok ubrania poukładane w kosteczkę. Trochę jak u Zborowskich. Wszystko kolorystycznie poukładane, tak jakby za chwilę miała wpaść ta pani z rękawiczką. Zdecydowanie byłby faworytem w jej programie.

- W przeciwieństwie do ciebie - stwierdziła Kasia, podnosząc z ziemi noszoną już skarpetkę.

- Ja nie lubię zajmować się rzeczami nieistotnymi - zaśmiała się Dorota, zabrała przyjaciółce znalezisko z dłoni i wrzuciła je za łóżko.

- O, robisz jak moje dzieci! - Przyjaciółka się uśmiechnęła. - Czyli rozumiem, że nic nie znalazłaś?

- Jeszcze nie skończyłam. Ostatnia sprawa u Zborowskich nauczyła mnie, aby nie oceniać domu po wnętrzu. Wspomniałam ci o tym ukrytym pomieszczeniu u nich. Ja go nie zauważyłam. Dopiero strażak mi uzmysłowił, że z zewnątrz dom wygląda na większy niż od środka. I podobnie było w tym przypadku. Od zewnątrz nie wyglądał na taki malutki.

- I znalazłaś coś?

- Zdziwiasz mnie czasami takimi pytaniami. Oczywiście, że jeśli było tam coś do znalezienia, to to znalazłam! - rzuciła pewnym głosem Dorota.

- No, ale u Zboro...

Kasia nie zdążyła dokończyć, bo przyjaciółka jej przerwała:

- Wtedy nie znalazłam od razu, ale myślę, że prędzej czy później tak by się stało. Więc u tego zwyroła obeszałam dom dookoła i nie widząc

żadnych drzwi, włazów, wróciłam do środka. Z układu pomieszczeń i bryły z zewnątrz jasno było widać, że jest jakieś pomieszczenie na lewo od wejścia. Weszłam jeszcze raz i zdębiałam. Drzwi wejściowe otwierały się do wewnątrz, co w przypadku domków wolnostojących raczej rzadko się zdarza. To w blokach jest taki wymóg, aby przy jakimś zdarzeniu typu pożar ludzie nie przeszkadzali sobie w ewakuacji, ale w domkach raczej wygodniej jest je otwierać na zewnątrz. Zresztą nieważne, nie o tym miało być. Za drzwiami była boazeria. Zupełnie nie zwróciłam na nią uwagi, bo od razu poszłam dalej. Była dość nietypowa. Nic do niej nie było przyczepione i stanowiła jedyny ozdobny element w całym domu. Bo nie wiem, czy wspominałam, ale całe mieszkanie było białe. Wszystkie meble, nawet podłoga.

- Tak laboratoryjnie.

- Trochę. Dlatego ta ściana się mocno wyróżniała. Stałam przed nią chwilę, zastanawiając się, co może się za nią kryć. W końcu bez pomyślunku zaczęłam ją macać. Jakby ktoś stał obok, pomyślałby, że jestem jakąś wariatką. Gdy poczułam, że jedna deseczka ustępuje pod naciskiem mojej dłoni, zamarłam. Momentalnie włosy na rękach stanęły mi dęba z podniecenia, a całe ciało napięło się w oczekiwaniu na coś zaskakującego.

- Wow, nie dziwię się. W takich momentach mogłabym być twoją partnerką i przeżywać to z tobą. Ale tylko wtedy, gdy coś odkrywasz i żadne niebezpieczeństwo nie czai się za rogiem.

- Okej, mogę cię brać na te lajtowe akcje. - Puściła do przyjaciółki oczko i sięgnęła po kawałek pizzy z szynką parmeńską i rukolą. Odkąd była dwupakiem, jak o sobie myślała, cały czas miała zachcianki, które dzielnie odganiała. Tylko raz w tygodniu, siedząc z Kasią na kanapie, pozwalała sobie na chwile rozpusty i zjadała to, na co miała ochotę.

- Szczegóły współpracy ustalimy później, opowiadaj, co tam było.

- Oj, uważaj, bo dostaniesz ciekawskiej mordki. - Dorota się zaśmiała. - Co tam znalazłam? Nic.

- Co? Chyba żartujesz.

- Niestety nie. Małą klatką schodową zesłam do piwnicy, gdzie było jedno pomieszczenie. Puste. Ale było, co potwierdza całą opowieść Marii.

- Nie wierzyłaś jej?



- To nie jest kwestia wiary. Po dwudziestu dziewięciu latach wiele wspomnień mocno różni się od tego, co się naprawdę wydarzyło. Nie wiem, jak u ciebie, ale u mnie parę razy się okazało, że moje wspomnienia z dzieciństwa odbiegały od prawdziwych zdarzeń. Z czasem zaczynałam je sobie inaczej wyobrażać.

- W sumie masz rację. Kiedyś myślałam, że moja babcia nauczyła mnie pływać. Zupełnie nie wiem dlaczego. Po latach okazało się, że to nieprawda i tylko raz w młodości byłam z nią nad wodą, a to mój tata mnie nauczył.

- No widzisz. To jakiś błąd w naszym mózgu, dlatego bardzo chciałam mieć potwierdzenie, że to wyglądało dokładnie tak, jak opowiadała siostra komendanta.

- Okej, tylko nadal nic na tego gościa nie macie.

- Tak, ale nie odpuścimy.

- I co planujesz dalej?

- Jak zawsze, mam wszystko przemyślane trzy kroki do przodu, ale może zmienimy temat? Podobno nie powinnam się stresować. - Puściła do przyjaciółki oczko. - Lepiej powiedz, czy ruszyłeś z przygotowaniami do ślubu.

## Rozdział 6

2017

- Ja nie mogę tego dłużej ciągnąć. Cięży nad nami jakaś klątwa - powtarzała Matylda, siedząc przy kuchennym stole z kubkiem podwójnej melisy i wzrokiem utkwionym w drzwiach lodówki, gdzie przyczepiała magnesy ze wszystkich zakątków Polski i Europy, które odwiedzała sama, z matką lub narzeczonym. - Jeżeli ona z tego nie wyjdzie, będę sierotą.

- Jak ja - odpowiedział cicho Filip.

- Tak, tak jak ty - powiedziała już spokojniej, jakby chciała dodać mu otuchy. - Nawet nie wiesz, jak mi przykro. Twoja mama zawsze

przywodziła mi na myśl niezatapialny statek, którego nic nie pokona. Przecież odzyskała ciebie. Ja cały czas nie rozumiem, dlaczego to zrobiła... – mówiła Matylda drżącym głosem. – Powinna się cieszyć, skakać z radości, a ona... w wannie... Nawet sobie nie wyobrażam, co mogło ją do tego doprowadzić.

– Ja też.

– Może ktoś z jej znajomych wie? Może ta plastikowa blondynka? Powinieneś się dowiedzieć. Popytać. Musiało się wydarzyć coś, o czym nie wiemy. Może w firmie? A może ktoś ją szantażował? Wiem, że gadam głupoty, ale musi być jakieś uzasadnienie. Powinieneś się dowiedzieć.

– Ale po co? Co to zmieni? Ona nie żyje! – krzyknął tak głośno, że Matylda aż podskoczyła. Wiedziała, że obydwójce tkwią na skraju przepaści i o ile ona jeszcze stoi pewnie na dwóch nogach, o tyle on w każdej chwili może spaść, popchnięty nawet delikatną bryzą.

Widzieli się pierwszy raz od pięciu dni. Od dnia, kiedy Anna wpadła pod samochód, a Filip odnalazł swoją matkę martwą w wannie.

Matylda po całych dniach spędzonych przy szpitalnym łóżku nie miała sił, by jechać do chłopaka i go pocieszać. Wysyłała tylko zdawkowe SMS-y: „Trzymaj się”, „Jestem z Tobą”. Nic więcej nie mogła z siebie wykrzesać, szczególnie że sama nie wiedziała, co będzie z jej własną matką.

Dopiero gdy lekarz oświadczył, że wybudzają ją ze śpiączki farmakologicznej, w którą wprowadzili z powodu obrzęku mózgu, poczuła ulgę. A gdy przenieśli ją z intensywnej terapii na zwykły oddział, zadzwoniła do Filipa i zaprosiła go do siebie. Nie do końca wiedziała, o czym mają rozmawiać. Przez te ostatnie dni skoncentrowała się w stu procentach na matce, praktycznie zapominając o chłopaku, z którym planowała związać się do końca życia. Dla którego była gotowa zapomnieć o przeszłości i oddzielić ją grubą kreską.

Przez te ostatnie dni jej myśli krążyły wokół przeszłości, bała się kierować je w stronę niepewnej przyszłości. Wspominała ich pierwszą wycieczkę do Trójmiasta, gdy przez pomyłkę wsiadły do niewłaściwego pociągu i wylądowały w Krakowie. Szybko przesunęły termin przyjazdu nad morze o kilka dni i delektowały się klimatem dawnej stolicy Polski.

Albo gdy chciały polecieć do Bułgarii, a przy odprawie okazało się, że ktoś ukradł im paszporty i prawie wszystkie pieniądze. Po pięciu minutach lamentu matka wymyśliła plan alternatywny. Pojechały do Borów Tucholskich, do ośrodka, który prowadziła jej przyjaciółka i której nigdy nie miały czasu odwiedzić. Szybko ustaliły szczegóły przyjazdu i już po kilku godzinach moczyły nogi w Jeziorze Charzykowskim.

Mama zawsze miała jakiś alternatywny pomysł. Jakieś nietypowe podejście, czym wiele osób wprowadzała w zakłopotanie, ale co jednocześnie powodowało, że Matylda nie miała wielu powodów do zmartwień. Zawsze każde niepowodzenie, każdą porażkę przekładała na coś pozytywnego. Tak naprawdę pierwszy raz została sama i musiała zmierzyć się z tragedią.

Teraz na dodatek zamierzała zrobić coś, czego bardzo nie chciała, ale czuła, że musi. Była to winna mamie. Wiedziała, że to przez nią doszło do tej tragedii. Gdyby nie chciała jej zostawić, nie umówiła się w tej knajpie, gdyby zrezygnowała ze spotkania się z Filipem, to by się nie stało. Może nawet jego matka by żyła. Może wszystko wyglądałoby inaczej.

- Nie możemy się już spotykać - wyrzuciła w końcu z siebie i obserwowała Filipa.

Chłopak odwrócił się do niej i zamarł. W jego oczach momentalnie zagościł gniew. Jego spojrzenie, gdyby mogło, zraniłoby ją fizycznie.

- Że co? Chcesz ze mną zerwać?! - krzyknął głosem szaleńca.

Matyldzie od razu przed oczami stanął Heath Ledger i grany przez niego demoniczny Joker. Poczowała spływający po plecach pot, który pojawił się w ułamku sekundy, jakby jej ciało wyczuło zagrożenie.

- Tak. Musimy zrobić sobie przerwę - wydukała kłamstwo.

Nie to chciała powiedzieć. Gdy czekała na chłopaka, wszystko sobie przećwiczyła. Planowała powiedzieć: „Nie możemy się spotykać. Muszę zająć się mamą. Ona całe życie poświęciła dla mnie. Czas się odwdzińczy”. Miała jeszcze dodać, że to przez nią doszło do tragedii i chyba popełnili błąd, lekceważąc prośby jej matki. Jednak teraz, gdy patrzyła na nienawistny wyraz twarzy Filipa, nie miała siły, aby to wszystko z siebie wydusić. Aby powiedzieć cokolwiek. Zaciśnięte w

pięści dłonie chłopaka były jasnym sygnałem, że gotowy jest w każdej sekundzie wyprowadzić cios.

- Ty chyba sobie jaja ze mnie robisz! Teraz, gdy zostałem na świecie sam jak palec, zostawiasz mnie?! Ja pierdolę! - krzyknął chłopak i z całej siły przywalił pięścią w ścianę.

- Co ty robisz?! - pisnęła przerażona Matylda i odruchowo doskoczyła do chłopaka, który trzymał się za krwawiącą rękę.

- Kurwa mać - syknął i strzepnął jej dłoń z ramienia. Wyglądało to trochę tak, jakby próbował pozbyć się upierdliwej muchy, która lata wokół swojej ofiary, raz po raz siadając na odsłoniętej części ciała. - Wy wszystkie jesteście popieprzone. Człowiek myśli, że może na was polegać, ale wy w najbardziej nieodpowiednim momencie pokazujecie środkowy palec. Jesteście jak rak, który atakuje po cichu. Zżera od środka i dowiadujesz się, że jest źle, gdy jest już za późno.

Matylda patrzyła na miłość swojego życia, jak do niedawna o nim myślała, i nie wierzyła w to, co słyszy. Wiedziała, że jest w rozsypce. Miał do tego pełne prawo. Jego matka odeszła chyba w najbardziej dramatyczny z możliwych sposobów. Odebrała sobie życie, zostawiając syna z wieloma niewyjaśnionymi sprawami. Jednak nawet jego rozpacz nie powinna stać się powodem do takiego zachowania.

- Wyjdź - szepnęła.

Filip podniósł na nią wzrok i podszedł zdecydowanie za blisko. Jeszcze niedawno nie stanowiłoby to dla niej problemu. Wtuliłaby się w jego ramiona, czując się bezpieczna i kochana. Teraz jednak paraliżował ją strach.

- Tak chcesz to zrobić? Pozbyć się mnie? Jesteś jak twoja matka. Mała dziwka, która się puszcza, nie biorąc na siebie konsekwencji. Rozbiła moją rodzinę. Zabiła mi ojca, i w sumie matkę też. I co? Nie poniosła za to kary. Szkoda, że ten gostek nie walnął jej mocniej. - Zaśmiał się. - Byłaby martwa. Taka mała rekompensata za spieprzenie mi życia.

- Przestań. Nie mów tak. Wcale tak nie myślisz.

- Oj, jaka ty jesteś głupiutka. Czy wy, kobiety, macie mniejsze mózgi, a może nie pracują wam prawidłowo? Dałaś mi sobą sterować jak marionetka. Grałaś dokładnie tak, jak chciałem. Ja nadal nie wierzę, że dla mnie chciałaś rzucić matkę. Kobietę, która poświęciła dla ciebie

całe życie. Jaką beznadziejną kreaturą trzeba być, aby tak postąpić, i to w imię wydumanej miłości?

- Ale my...

- Mieliliśmy spędzić ze sobą całe życie. Zamieszkać w raju i wieść spokojny żywot do końca naszych dni. - Zaśmiał się szyderczo. Odsunął się od niej i zmierzył wzrokiem. - W sumie dobrze, że to już koniec. Nie będę musiał patrzeć na twoją mordę.

Nie czekając na jej odpowiedź, ruszył do drzwi, zostawiając Matyldę samą.

## Rozdział 7

2017

- Dorota, nie wiem, czy mi się to uda - powiedział komendant Witold Markowski do kobiety siedzącej po drugiej stronie biurka. - Takie rzeczy muszą mieć podstawę. Nie można wezwać ekipy do sprawy, której nie ma, i zrobić demolkę w miejscu, które bardzo hipotetycznie może być grobem.

- Wiem. Tylko to jest prawie na sto procent pewne, że Henryk Borowski ukrył na swojej posesji zwłoki. Po odkryciu tajemniczego pomieszczenia...

- Które odkryłaś nielegalnie, za co obydwójce możemy beknąć - wtrącił mężczyzna.

- Tylko ja - odpowiedziała Dorota, zupełnie nie czując powagi sytuacji.

- Gdyby cokolwiek się wydarzyło, biorę to na siebie. Nie ma innej opcji.

- Ale nikt się nie dowie. Chyba że szef się wygada. - Uśmiechnęła się serdecznie. - A wracając do sedna. Pogadałam jeszcze z sąsiadami i okazało się, że facet uwielbia prace w ogródku. Muszę potwierdzić, wygląda imponująco. Minimalistyczny, ale niezwykle zadbany. Tak jakby

nożyczkami strzygł trawę. Co ciekawe, jedna sąsiadka powiedziała, że raz na dwa, trzy lata zmienia ustawienie drzew.

- Co?

- Też tak zareagowałam. Od razu zapaliła mi się czerwona lampka. Po co ktoś miałby wykopywać drzewa i przesadzać je gdzie indziej? - powiedziała z dumą w głosie policjantka.

- Brzmi intrygująco. A masz jakieś daty?

- Tak. - Dorota z uśmiechem na twarzy wyciągnęła swój notes. - Kobieta powiedziała, że ma niesamowitą pamięć i w głowie tysiące niepotrzebnych dat. Wymieniła mi trzy dokładne terminy, kiedy Henryk Borowski robił przemeblowanie w ogrodzie.

- Nadal to nic nie daje - powiedział zmieszany, zupełnie nie rozumiejąc powodu zadowolenia podwładnej.

- Może tak to wygląda, ale jeszcze nie powiedziałam wszystkiego. Okazuje się, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat w okolicach zaginęło bez wyjaśnienia około stu osób. Jeżeli przyjmiemy, że Henryk Borowski lubuje się w nastolatkach, to mamy potencjalnie dwadzieścia nazwisk. Porywał je, a po dwóch, trzech latach zakopywał i sadził na grobie drzewo.

- Ty tak serio? - spytał zszokowany komendant. Zupełnie się nie spodziewał, że mogą trafić na seryjnego mordercę.

- Jak najbardziej. Czuję, że gość nie tylko porywał kolejne dziewczyny, ale gdy mu się znudziły, zabijał je, a ich ciała zakopywał w ogrodzie.

- Brzmi przerażająco.

- Wiem. Gostek wygląda jak menel. I to taki obślizgły, który jak pyta: „Popilnować autka, złotko?”, dajesz mu wszystkie drobne, bojąc się, że gdy go rozdrażnisz, porysuje ci auto. Ale nie wygląda na intelektualistę. A nie ukrywam, że jeżeli moje podejrzenia okażą się prawdziwe, będę musiała przyznać przed sobą, że się pomyliłam.

- Niestety historia zna takich, co udawali innych przed otoczeniem...

- Kuklinski.

- Dokładnie, nawet wspominałem o nim ostatnio Marysi.

- O, to ciekawe. A jak ona się czuje?

- Powoli lepiej. Dochodzi do siebie. Myślę, że będzie musiało upłynąć trochę czasu, zanim się z tym upora. Na szczęście ma spore wsparcie w

rodzinie.

W tym momencie Dorota Czerwińska poczuła wibrację telefonu, który wyciszyła, wchodząc do gabinetu komendanta.

- Skończyliśmy? - spytała, zastanawiając się, czy może odebrać.

- Tak, postaram się załatwić to, o co prosiłaś - odpowiedział i sięgnął po jedną z teczek leżących na biurku.

- Dorota Czerwińska, słucham - rzuciła policjantka, gdy tylko znalazła się na korytarzu.

- Muszę z panią pilnie porozmawiać - powiedziała dzwoniąca kobieta, której głosu nie kojarzyła. - Przypomniałam sobie coś.

- A z kim rozmawiam?

- Iwona Zubrzycka, przepraszam. Ma pani chwilę, żeby do nas podjechać? Muszę coś pani pokazać.

Kobieta nie zdradziła nic więcej, dlatego już po dwudziestu minutach Dorota siedziała z poszkodowaną przy tym samym stole, przy którym ostatnio rozmawiała z jej mężem.

- Jak pani się czuje? - spytała policjantka, gdy gospodyni szykowała herbatę, którą miała ochotę wypić. Od rana cały czas coś się działo, więc na tak prozaiczną przyjemność nie znalazła czasu.

- Już lepiej. Ciągle boli mnie noga, ręka i czasami głowa. Wiem, że czeka mnie jeszcze długa droga do sprawności, ale wiem też, że mam za co dziękować. Lekarz, który się mną opiekował, powiedział, że początkowe rokowania nie były optymistyczne - powiedziała kobieta i sięgnęła po oparte o szafki kuchenne kule. Mimo że nadal miała problemy z poruszaniem, odmówiła pomocy przy przygotowaniu poczęstunku. Za wszelką cenę chciała pokazać, że jest już wystarczająco samodzielna.

- Nie będę ukrywała, miałam przed oczami najczarniejsze scenariusze, gdy panią znalazłam.

- Jeżeli to nie problem, proszę mówić mi Iwona. - Wyciągnęła do policjantki zabandażowaną rękę.

- Dorota - odpowiedziała ta i delikatnie uścisnęła dłoń, bojąc się, że może coś jej zrobić.

- Jak już wyzdrowieję, to chyba pójdę na pielgrzymkę, żeby okazać wdzięczność. - Uśmiechnęła się i wzniosła oczy w kierunku sufitu. - Ale nie przeciągajmy, bo pewnie jesteś ciekawa, po co dzwoniłam. - Nie

czekając na reakcję Doroty, podeszła do stojącej w rogu szafki. Wyciągnęła książkę kucharską z przepisami na dania z ziemniaków, a z niej kartkę. – Mój mąż nie chce słyszeć o tym, że to nie był wypadek. W sumie nie wiem dlaczego, ale uparł się, że coś sobie wymyśliłam. Dlatego stwierdziłam, że nie będę go stresować i dopóki nie będę miała na to dowodów, nie poruszam tematu.

– Niestety to smutne, ale czasami jest to lepsza strategia – skomentowała policjantka, z zaciekawieniem zerkając na kartkę. Niestety jej wierzchnia strona odwrócona była w sposób uniemożliwiający zobaczenie, co się na niej znajduje.

– Tak jak ostatnio mówiłam, nadal nie pamiętam wypadku – powiedziała Iwona. – Ale od dwóch dni chodzi za mną obrazek małej dziewczynki. Nawet udało mi się ją narysować...

Kobieta położyła na blacie kartkę. Gdy Dorota Czerwińska zobaczyła niezdarne szkice, wiedziała już, z kim bezwzględnie musi porozmawiać.

## Rozdział 8

2017

– Co za głupia dupa! – krzyknął Filip i rzucił plastikowym kubkiem w ścianę. – Jak ona śmiała mnie odrzucić?! Straciłem przez nią wszystko, a ona... Aaa!!! – krzyczał jak opętany.

Usiadł przy wysokim barowym stole, który był przedłużeniem kuchennego blatu, i nalał sobie whisky. Tej samej, którą znalazł w łazience obok matki. Nigdy nie pił tego typu alkoholu. Zresztą niezbyt lubił mocne trunki.

W liceum raz poważnie się upił i żeby nie narzygał w taksówce, koledzy zawiesili mu na uszach reklamówkę, widząc przesywający wzrok kierowcy. Niestety, gdy podjechali pod jego dom, od mamy właśnie wychodzili goście. Wszyscy patrzyli na niego jak na kosmitę. Zupełnie nie wiedząc, czy się śmiać, czy współczuć gospodyni, bez



nawet krótkiego pożegnania wsiedli do swoich samochodów, zostawiając Kornelię Janiszewską w stanie ekstremalnej złości.

Filip dobrze wiedział, że nie była zła dlatego, że się upił. Wybaczała synowi znacznie więcej. Jednak to, czego nie mogła znieść, to upokorzenie. Nie znosiła, kiedy ktoś myślał, że nie jest doskonała, idealna w każdym calu, a zdecydowanie nie tak zaprezentowała się, gdy z samochodu wypadł ledwo żywy syn z workiem na uszach.

Z tego też powodu postanowił nie organizować pogrzebu. Nie chciał, aby banda napompowanych blondynek, które wyglądały, jakby wyszły z jednej fabryki, ckliwymi głosikami rozprawiała o tym, jakie to musiała mieć problemy ich ukochana Nelka, jak bardzo przeżywała zniknięcie syna, i o tym, że musiała mieć depresję, jakąś chorobę psychiczną lub coś z głową, skoro zrobiła coś takiego.

Wiedział, że jego decyzja nie zostanie dobrze przyjęta, i nie pomylił się. Od kilku dni jego telefon był rozgrzany do czerwoności z powodu dzwoniących bliskich i znajomych matki. Nawet nie wiedział, że tyle osób ma jego numer. Zresztą nie miał ochoty sprawdzać, kto krył się z drugiej strony i czy przyjął jego decyzję z szacunkiem, czy zamierzał pouczać, próbując wpłynąć na jego poczucie winy i odpowiedzialności. Jedyną osobą, której dał znać, była jego babcia Zosia, mama taty, z którą utrzymywał kontakt pomimo niechęci matki do niej.

- Jak się czujesz? - spytała następnego dnia po odkryciu przez niego zwłok matki w wannie. Zupełnie nie wiedział, skąd wie o tym, co się stało, ale nie zamierzał dopytywać.

- Babciu, nie wiem. Ja nic nie rozumiem... - powiedział. Nie chciał wyjaśniać kobiecie, że prawda jest zupełnie inna. Że dokładnie wie, dlaczego to zrobiła, i że to on ponosi za to odpowiedzialność. Nie chciał pocieszenia. Sam musiał się z tym uporać.

Rozmawiali przez dobre pół godziny i w tym czasie powiedział jej, co zamierza. W sumie zrobił to z premedytacją. Wiedział, że gdy wyjawi, że nie planuje pogrzebu, po pięciu minutach będą wiedzieć wszyscy. I nie pomylił się, o czym świadczył ciągle podświetlający się ekran telefonu komórkowego, który miał wyłączony dźwięk i wibrację.

Jednak teraz problem stanowiło nie to, lecz jego niedoszła żona i jej matka. Musiał się na nich zemścić i nie zamierzał przejmować się możliwymi konsekwencjami.

# Rozdział 9

2017

- Będę twoją dłużniczką do końca życia - powiedziała Dorota do swojego rozmówcy i mocno zacisnęła kciuk lewej dłoni.

Powodzenie akcji bardzo zależało od człowieka po drugiej stronie. Dominik Kroczeński był dobrze po pięćdziesiątce, ale jego ciało wyglądało lepiej niż u niejednego dwudziestolatka, a to za sprawą miłości do triathlonu. Każdą wolną chwilę spędzał na treningach. Czasami wpadały mu nawet trzy treningi w ciągu dnia. Do pracy jechał na rowerze, a po niej biegł na basen. Jednocześnie spełniał się przy tym jako ojciec trojaczek, którym poświęcał każdą wolną chwilę.

Dorota wiedziała, że jest świetnym, niezwykle profesjonalnym technikiem i dlatego mógł nie chcieć ryzykować. Nie miała jednak czasu na czekanie na oficjalną pomoc, którą próbował zorganizować komendant.

- Dłużniczką, powiadasz? - odpowiedział przeciągle. Z wydawanych przez mężczyznę dźwięków wnioskowała, że wstrzeliła się w jego przerwę obiadową. Cały czas mlaskał i głośno przełykał. - Dobrze wiesz, że nie powinienem, jednakże... - Zawiesił głos i przełknął. - Nie wiem, czy pamiętasz, ale kiedyś mi bardzo pomogłaś. Sara bez twojej pomocy nie dostałaby się do lekarza tak szybko, a wtedy nie wiadomo, co stałoby się z naszymi dziećmi.

- A no tak... - wydukała Dorota. Dopiero teraz sobie przypominała. Faktycznie, sześć lat wcześniej udało jej się pomóc koledze załatwić wizytę u jednego z najlepszych ginekologów-położników w okolicy, do którego ustawiały się gigantyczne kolejki. Kiedyś słyszała nawet, że kobiety zapisują się do niego na wizyty, jeszcze gdy nie są w ciąży. - Na śmierć o tym zapomniałam.

- To tym bardziej ci pomogę, chociaż jak bardzo chcesz, możesz być moją dłużniczką. - Zaśmiał się do telefonu. - Podeślij mi adres i spotkajmy się za godzinę.

- Już? - rzuciła zaskoczona. Myślała, że umówią się za kilka dni. Nie była na to gotowa, i nie chodziło tylko o psychiczne nastawienie. Przez

chwilę się zawahała. - Daj mi sekundę. Muszę się upewnić, że właściciela nie będzie, dam ci znać.

Wcisnęła czerwoną słuchawkę i poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna mieszać nikogo w swoje sprawy. To znaczy nie swoje, tylko komendanta, jednak czuła się współwinna.

Gdy wydrukowała listę prawdopodobnych ofiar Henryka Borowskiego, jedno nazwisko mocno ją uderzyło. Oliwia Budzyńska. To była jedna z jej pierwszych spraw. I jedna z niewielu, których nie udało jej się rozwiązać.

Osiemnastoletnia dziewczyna wyszła z domu i nigdy już do niego nie wróciła. Nie dość, że była to jedna z jej pierwszych spraw, to na dodatek dość wyjątkowa. W wieku sześciu lat zdiagnozowano u Oliwii autyzm. Było to w czasach, gdy jeszcze mało kto o tym mówił. Mimo że specjalistów było jak na lekarstwo, jej matka stanęła na wysokości zadania i zajmowała się nią znakomicie, jednocześnie starając się przygotować dziewczynkę do dorosłego życia.

Samodzielne mieszkanie raczej nie było możliwe, ale jej marzeniem była praca w schronisku, bo ze zwierzętami dogadywała się zdecydowanie lepiej niż z ludźmi. Dziewczyna funkcjonowała nie najgorzej, dlatego chodziła do zwykłego liceum, do którego dojeżdżała samodzielnie. Oczywiście przez długi czas matka śledziła ją w drodze do szkoły, żeby mieć pewność, że ta dotrze. Gdy po dwóch miesiącach była pewna bezpieczeństwa córki, odpuściła.

Pewnego marcowego dnia w 1996 roku rano Grażyna Budzyńska dostała niepokojący telefon ze szkoły. Oliwia nie dotarła na lekcje.

Poszukiwania ruszyły pełną parą. Wszyscy uczniowie zostali zwolnieni z lekcji i wspomagali policję i rodzinę dziewczyny w próbach jej odnalezienia. Niestety nic to nie dało. Nie trafiono ani na jej ciało, ani na rzeczy, które miała ze sobą.

Udało się ustalić, że o 7:10 jak zwykle wyszła z domu. Poszła na pobliski przystanek, gdzie widziała ją sąsiadka mieszkająca w klatce obok. Wsiadła do autobusu i zniknęła. Niestety w autobusie było bardzo tłoczno, czego policja dowiedziała się od kierowcy. Znalezione wówczas kilku pasażerów, ale Niestety nikt nie pamiętał dziewczyny.

Ślad po niej zaginął. Przepadła jak kamień w wodę, zostawiając zrozpaczoną rodzinę, która podobnie jak rodzina komendanta przez

lata nie dowiedziała się, co stało się z ich ukochaną córką, wnuczką, siostrzenicą.

Dorota Czerwińska, upewniwszy się, że Henryk Borowski przebywa aktualnie w pracy, wysłała dokładny adres technikowi. Pół godziny później spotkali się na miejscu.

- Dzięki - rzuciła na powitanie. Podali sobie dłonie i stanęli przed kanciastym budynkiem. - Szczerze powiem, że nie wiem, czy nie strzelam ślepakami, ale jeżeli twój sprzęt wykaże, że jest opcja, że w ogrodzie facet ukrył zwłoki, ruszymy z całą oficjalną machiną. Muszę mieć tylko jakiś punkt zaczepienia. Na razie mam tylko domysł.

- Ten typ serio przetrzymywał siostrę Markowskiego?

- Myślisz, że to zmyśliłam, żebyś się zaangażował? Maria zniknęła dwadzieścia dziewięć lat temu. Została porwana przez gościa, który tu mieszka. Niestety to uległo przedawnieniu. Musimy znaleźć na niego coś innego, żeby się nie wywinął.

- Rozumiem. To gdzie mam szukać? - spytał, wyjmując jednocześnie wielkie urządzenie do skanowania tego, co jest pod powierzchnią ziemi.

- Z tego, co dowiedziałam się od jednej z sąsiadek, to ostatni raz kopał trzy lata temu tam. - Pokazała palcem w stronę trzymetrowej sosny, która wyglądała, jakby stała tam od lat.

Mężczyzna szybko zabrał się do pracy. Sukcesywnie, centymetr po centymetrze, prześwietlał ziemię w celu odnalezienia jakichkolwiek nieprawidłowości.

Minuty mijały, a Dorota zaczęła już tracić nadzieję, gdy nagle Dominik Kroczewski napiął się jak struna i zaczął mieszać coś w sprzęcie.

- Znalazłeś coś?

- Daj mi chwilę - powiedział cicho. Jego twarz wyrażała najwyższe skupienie.

## Rozdział 10

2017

Witold Markowski stał przed domem Henryka Borowskiego i miał wrażenie, że słyszy płynącą w czaszce krew, która zaraz spowoduje jej wybuch. Zawsze mu się wydawało, że potrafi panować nad emocjami, być opanowanym i myśleć jasno, ale dopiero teraz zorientował się, że nigdy żadna sprawa nie dotyczyła go osobiście. Nigdy żaden z członków jego rodziny czy bliskich znajomych nie wpadł w jakieś poważne kłopoty, nie licząc przyjaciela za nastoletnich czasów – wtedy jednak nie miał żadnego wpływu na rozwój wydarzeń. Oczywiście czasami któryś z podwładnych znajdował się w okolicznościach zagrażających życiu, jednak i w tych sytuacjach wszystko kalkulował na zimno. To była ich praca i pomimo wielu starań czasami wdzierało się do niej niebezpieczeństwo.

Patrzył na ekipę raz po raz wbijającą w ziemię małe metalowe szpadelki, tak aby nie uszkodzić potencjalnego znaleziska, i liczył na to, że odkrycie przez Dominika Kroczewskiego bliżej nieokreślonego obiektu zakopanego pod jednym z drzew pozwoli oskarżyć porywacza jego siostry.

- Szefie, będzie dobrze – powiedziała Dorota Czerwińska, która niespodziewanie wyrosła za jego plecami.

- Mam nadzieję. Zadzwonili do mnie z Poznania z zapytaniem, co ja odpierdalam. Okazało się, że pan Henryk Borowski ma przedziwne znajomości i jego adwokat od razu wszczął raban.

- Matko, nie spodziewałabym się. To zaczyna wyglądać, jakby ten wygląd menela był tylko przykrywką.

- Gość kiedyś pracował jako inżynier. Zresztą z moim ojcem. Nikt nie wie, co działo się z nim przez długie lata. Pewnego dnia, a było to jakieś trzy lata po zniknięciu mojej siostry, przestał przychodzić do pracy. Nawet nie złożył wypowiedzenia, dlatego został wyrzucony.

- To skąd miał pieniądze?

- Dobrze pytanie. Dopiero teraz dotarło do mnie, że przecież nie mógł mieć jakichś gigantycznych pieniędzy.

- Może odziedziczył.

- Wiesz co, jest to możliwe, ale chyba żyłby wtedy bardziej przyzwoicie. Ten dom to jakaś rudera.

- Zaraz zadzwonię do prokuratora Migdalskiego i poproszę o wystawienie nakazu na sprawdzenie kont bankowych. Miałam dać

znać, jakbym czegokolwiek potrzebowała. Wpadł tu rano i wydał dyspozycje. Dobrze, że to on się tym zajmuje. Inaczej mielibyśmy jeszcze bardziej pod górę.

- Wiem, na szczęście znamy się od dawna i mogłem liczyć na jego pomoc. Kilka razy byliśmy na piwie i opowiadałem mu o Marysi. Miałem wrażenie, że mocno poruszyła go tragedia mojej rodziny, więc teraz chciał pomóc. Tak po ludzku...

Nie zdążył dokończyć, bo usłyszał krzyki:

- Szefie, mamy coś!

# Część 6

## Rozdział 1

2017

- To pies! - krzyknął jeden z techników.

- Pies?

- Tak, takie zwierzę, ma cztery łapy i szczeka.

- Jeżeli uważasz to za śmieszny żart, to się grubo mylisz - powiedział komendant Witold Markowski i spojrzał na funkcjonariusza karcąco. Uważał się za osobę z poczuciem humoru, ale teraz zdecydowanie nie było mu do śmiechu.

Stresowało go nie tylko to, co działo się dookoła, i fakt, że próbowali znaleźć coś na porywacza jego siostry, ale również to, że łamał jedną ze swoich fundamentalnych zasad. Zawsze pilnował, aby osoby prywatnie zaangażowane w daną sprawę nie miały na nią wpływu. A teraz dokładnie to robił i czuł, że buzująca w nim złość zdecydowanie zagłusza zdrowy rozsądek.

Ból głowy stał się jeszcze mocniejszy. Komendant miał wrażenie, że zaraz rozerwie mu czaszkę na milion drobnych kawałków. Ryzykował wiele. Swoją karierę. Możliwość rozwiązania sprawy sprzed lat. A to tylko dlatego, że był w gorącej wodzie kąpany i nie miał ochoty czekać. Chciał jak najszybciej zamknąć faceta, mimo że ten tyle lat chodził wolno, tak jakby te kilka dni cokolwiek zmieniło.

A najgorsze, że wizja sukcesu, która jeszcze o poranku była tak realna, nagle stała się odległą...

- Mamy kopać dalej? - spytał zrezygnowany Baltazar Gaworski, który od początku był na miejscu. Kumpel z dawnych lat dobrze

pamiętał poszukiwania Marysi Markowskiej. Sam od rana do nocy przeczesywał okoliczne lasy, łąki czy rudery, zupełnie nie przejmując się tym, że często u jego boku stali zniechęceni milicjanci albo osoby, z którymi miał na pieńku. Teraz, po latach, tym bardziej liczył na rozwiązanie sprawy, mimo że dla wielu już sam fakt odnalezienia siostry komendanta oznaczał sukces.

- Kopcie, chociaż przestaję mieć wiarę, że uda się coś znaleźć. - Usiadł na krześle ogrodowym. - Gość skrzywdził moją rodzinę, siostrę, a ja nie mam jak go złapać. Tak nie powinno być. Powinien od lat gnić w więzieniu, a on śmieje się nam w twarz - powiedział sam do siebie, ze zwieszoną głową, licząc, że nikt nie wychwyci jego chwilowego załamania.

Posiedział chwilę, tępo patrząc na pracujących policjantów, gdy pod dom Henryka Borowskiego zajechał stary saab w kolorze butelkowej zieleni. Mężczyzna od razu się uśmiechnął i powoli wstał z rozklekotanego mebla. Agata Nalepa była osobą, której zdecydowanie teraz potrzebował.

## Rozdział 2

2017

Leżał nago na podłodze w łazience i chłonał jej zimno. Pierwszy raz od dawna czuł spokój. Panował nad swoim ciałem, oddechem i w końcu miał wrażenie, że ma szansę znowu zapanować też nad swoim życiem.

Kolejne minuty mijały, a on leżał, licząc, że uda mu się zasnąć na wznak, czego nigdy nie robił. Niestety spokój i ciszę przerwał dzwonek do drzwi.

- Kurwa - syknął i poderwał się na równe nogi. Gdyby nie fakt, że czekał na paczkę, pewnie zignorowałby intruza.

Filip Janiszewski zgarnął po drodze mały kuchenny ręcznik, którym zakrył przyrodzenie, i otworzył drzwi. Przed drzwiami stała młoda dziewczyna w brązowym mundurku z logo firmy kurierskiej na piersi, w



rękach trzymała wielkie pudło. Gdy zobaczyła nagiego mężczyznę, zdębiała.

- Pan... eee... Flip, to znaczy... Filip Janiszewski? - jąkała się kobieta. Miała około dwudziestu pięciu lat i posturę napakowanego mężczyzny, dlatego trzymany przez nią karton, który zawierał zestaw noży, nie wyglądał na ciężki.

- Tak. - Uśmiechnął się i chwycił pakunek, tym samym opuszczając ręcznik. Odwrócił się tyłem do dziewczyny, pokazując nagie pośladki, i zamknął drzwi, zostawiając zdeorientowaną kurierkę.

- Chyba nie podpisałem potwierdzenia odbioru - powiedział sam do siebie i ruszył do salonu.

Odstawił karton na blat kuchenny, który cały był pozostawianymi brudnymi naczyniami i butelkami po chyba każdym możliwym alkoholu. Po śmierci matki Filip zrobił imprezę. Zaprosił wszystkich znajomych, również tych dalszych, a nawet znajomych znajomych, których sam nie znał.

Matka zawsze chętnie organizowała mu urodziny, imieniny, rocznice, Halloween i tym podobne, ale nigdy w domu. Wynajmowała sale zabaw, restauracje i tam mógł robić, co chciał. Chociaż teraz, patrząc z perspektywy czasu, widział, że bardziej to, co ona chciała. Nigdy nie przepadał za bohaterami w stylu Batmana czy Supermana, a na jego dziesiąte urodziny goście mieli się przebrać za któregoś z superbohaterów. Nigdy nie lubił Kamila Kłodzińskiego, zwanego przez fanów Kłodkiem, młodego piosenkarza, który robił furorę wśród młodzieży, a na piętnaste urodziny to właśnie on zabawiał gromadę prawie pięćdziesięciu dzieciaków na jego imprezie.

Wszystko robiła tak, aby ich dom pozostawał oazą spokoju. Raz na jakiś czas pozwalała sobie na drinka z koleżanką połączonego z oglądaniem jakiegoś wyciskacza łez. Siedziała wtedy z kanapie z michą popcornu i pochlipywała smutno, raz po raz pociągając nosem. Nigdy nie mógł zrozumieć tej sadomasochistycznej potrzeby umartwiania się. Tego celowego dążenia do płaczu. Teraz wiedział, że już nigdy się nie dowie, co matka w tym widziała.

Sięgnął po rozpoczęte dzień wcześniej piwo i nie zwracając uwagi na fakt, że jest całkowicie wygazowane, pociągnął spory łyk i usiadł na podłodze. Dookoła niego leżała zawartość pudła, które znalazł na

strychu pod stertą ubrań, koców i dawno nieużywanych ręczników, które tak śmierdziały, że musiał je natychmiast wyrzucić.

Teraz patrzył na porozrzucane po podłodze zdjęcia stanowiące główną część znaleziska. Mały czterolatek z ciemnymi, kręconymi włosami siedzący na kucyku. Sześciolatek na huśtawce. Dwulatek z gołą pupą stojący na brzegu morza. Na wszystkich zdjęciach był on. Części rzeczy, miejsc, sytuacji zupełnie nie pamiętał. Był za mały.

Chwycił fotografię zrobioną na torze kartingowym i uśmiechnął się. W pierwszej klasie gimnazjum pierwszy raz w życiu chciał zarobić pieniądze, mimo że gdyby poprosił, matka by mu je dała. Przez miesiąc w tajemnicy przed mamą po szkole chodził i zbierał makulaturę i butelki. Wszystko układał przy płocie za ich domem i przysypywał gałęziami. W dniu, kiedy miał w końcu iść to sprzedać, odkrył, że ktoś zabrał jego łup. Siedział zapłakany w pokoju i nie pozwalał matce wejść, zastawiając drzwi krzesłem. W końcu po godzinie zgłodniał. Miał nadzieję, że kobieta sobie gdzieś poszła i będzie mógł w spokoju zjeść, ale ona siedziała pod jego drzwiami i cierpliwie czekała, aż nadejdzie czas na rozmowę. W końcu wyduślił z siebie, że zbierał na obóz gokartowy, na który zabroniła mu pójść. Chciał sam za niego zapłacić. Pamiętał, jak krzyczała, że jest nieodpowiedzialny, chodząc po krzakach i innych niebezpiecznych miejscach w poszukiwaniu skarbów.

Następnego dnia obudziła go rano i kazała się ubrać. Zjedli śniadanie w milczeniu. Miał wrażenie, że matka jest na niego śmiertelnie obrażona. Dopiero gdy powiedziała na głos, co mogło mu się stać, gdy samotnie chodził po okolicznych lasach, zdał sobie sprawę, że nie było to zbyt rozsądne. Gdy wsiadali do samochodu, nie miał zielonego pojęcia, dokąd jadą. A kiedy dotarli do celu, zdębiał.

- Przepraszam - powiedziała, gdy zaparkowali. - Nie wiedziałam, że to jest dla ciebie tak ważne. Nie powinnam stawać ci na drodze do marzeń. Moja matka odebrała mi moje. Nie chcę, żeby i ciebie to spotkało.

Po tych słowach, nim zdążył się w ogóle odezwać, wysiadła. Siedział jeszcze chwilę jak zamurowany, tępo gapiąc się w szyld szkoły kartingowej, o której marzył.

Przez cztery lata chodził do niej regularnie. Jeździł na obozy, licząc, że kiedyś zostanie kierowcą Formuły 1, jak Sienna czy Schumacher.

Niestety marzenia ulotniły się jak para po kąpieli, gdy podczas wieczornego prysznica jak zwykle na podłodze wszędzie było mokro, a on swoim zwyczajem założył na stopy klapki, które od spodu miały równiusieńką powierzchnię. Wywinął spektakularnego orła i aby uratować się przed zderzeniem z podłogą, wyciągnął rękę. Lewą, czyli tę mniej używaną w życiu codziennym, więc dla postronnego obserwatora sytuacja nie prezentowałaby się aż tak dramatycznie. Jednak dla Filipa był to koniec marzeń. Skomplikowana operacja nie pomogła w odzyskaniu pełnej sprawności i wizja przyszłości na torze zniknęła bezpowrotnie.

Teraz to wszystko nie miało znaczenia. Został on. Chęć zemsty i leżąca wśród zdjęć broń, którą mama ukrywała w kartonie. Sięgnął po zimny kawałek metalu i popatrzył w pustą lufę. Miał nadzieję, że będzie to ostatnia rzecz, jaką zobaczą Matylda i Anna. Dwie kobiety, które zniszczyły jego życie. Bezpowrotnie.

## Rozdział 3

2017

- Nie mam niczego do ukrycia - rzucił siedzący naprzeciwko Doroty Czerwińskiej Henryk Borowski. Jego pewność siebie była tak przekonująca, że policjantka zaczynała mieć wątpliwości, czy uda im się cokolwiek na niego znaleźć.

Na szczęście była na sto procent przekonana o jego winie. Rozmawiała z Marią Kasprzak kilkakrotnie i wiedziała, co ta przeżyła, więziona przez kilka lat przez tego mężczyznę. Jak od spodu na łóżku wydrapywała po każdym długim spaniu kreski, licząc, że dzięki temu będzie miała jakieś poczucie czasu. Jak każdego dnia modliła się o wolność albo jakiś wypadek, który spowoduje, że jej oprawca umrze. Jak dwa razy próbowała się zabić. Raz odmawiała przez kilka dni jedzenia. W końcu zdenerwowany Borowski zaczął wciskać w nią siłą

pokarm. Krztusiła się, pluła, ale on nic sobie z tego nie robił. Wciskał jej łyżkę w gardło tak głęboko, że przez tydzień bolało ją przy przełykaniu.

Za drugim razem próbowała podciąć sobie żyły. Niestety nóż, który udało jej się zabrać podczas jednej z wizyt na górze, nie był dostatecznie ostry.

Próbowała też zaproszyć ogień, aby tym samym wezwać posiłki. Niestety pomysł nie był przemyślany, skoro w jej „apartamencie” nie było okien. Po tym wydarzeniu na jej ciele została pamiątka w postaci sporych rozmiarów blizny na lewej ręce.

Mając w głowie te wszystkie informacje, Dorota Czerwińska, siedząc naprzeciwko mężczyzny, miała niewyobrażalną ochotę rzucić się na niego i gołymi rękoma wymierzyć mu karę.

- Poproszę pana imię i nazwisko - powiedziała beznamiętnym głosem, włączając jednocześnie dyktafon, na którego użycie zgodził się przesłuchiwany.

- Henryk Borowski.

- Miejsce i data urodzenia?

- Dwudziesty lipca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku, Gniezno.

- Miejsce zamieszkania?

- Suchodół, Ogrodowa dwadzieścia siedem.

- Czym się pan zajmuje na co dzień?

- Pracuję na pół etatu w sklepie budowlanym i czasami udzielam korepetycji z matematyki.

- Czy znał pan Marię Markowską?

- Hmm, coś mi to mówi - powiedział i teatralnie złapał się za brodę. Miał brudne paznokcie i wyraźne owłosienie na wierzchniej stronie dłoni. Dorota momentalnie poczuła mdłości i odruchowo złapała się za lekko już zaokrąglony brzuch lewą ręką, lecz szybko przeniosła ją na blat stołu. Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważył, w szczególności stojący za lustrem weneckim Marek Kamiński.

- Czyli nie pamięta pan jej?

- Chyba nie - odpowiedział niezwykle spokojnie, bez jakiegokolwiek zmiany na twarzy.

- To córka Romana Markowskiego. Pracował pan z nim wiele lat temu - rzuciła.

- A no tak! - przytaknął. - Już pamiętam. Taka kolorowa dziewczynka, która później zaczęła chodzić na czarno, myśląc, że doda jej to lat i powagi. Czemu pani o nią wypytuje?

- To ja tutaj zadaję pytania.

- Przepraszam. - Mężczyzna uniósł ręce w geście poddania.

- Czyli nieprawdą jest, że potajemnie się pan z nią spotykał?

- Nigdy się z nią nie spotykałem. Zresztą z tego, co pamiętam, to tylko raz z nią rozmawiałem.

- Czyli nie spędziliście razem sylwestra w osiemdziesiątym siódmym?

- Nie. - Mężczyzna zamilkł na chwilę. - Ona miała wtedy ile, piętnaście, szesnaście lat?

- Niecałe szesnaście.

- To była nieletnia, a ja miałem już swoje lata. Za kogo pani mnie uważa?

- Dlaczego ma pan w domu pomieszczenie do przetrzymywania ludzi?

- Co? O czym pani bredzi?

- Wiemy o pana piwnicy. Nie uważa pan, że wygląda dość dziwnie?

Mężczyzna zaśmiał się, oparł o krzesło i złożył ręce na klatce piersiowej. Mierzył policjantkę wzrokiem, jakby chciał jej nim zrobić krzywdę.

- Słyszała pani o deprywacji sensorycznej?

- O czym? - spytała zdziwiona.

- Tak myślałem. To odcięcie człowieka od bodźców. Oczywiście w warunkach domowych jest to ciężkie, ale brak dźwięków i źródeł światła jest do zrobienia.

- I chce mi pan wmówić, że zamykał się w tym pomieszczeniu, żeby żadne dźwięki do niego nie dochodziły?

- Tak. To mój sposób na relaks.

- Aha. A co pan powie na temat zakopanych zwłok po drzewem w pana ogrodzie? - Zmieniła temat.

- Zwłok? Mówi pani o Feliksie? To był mój pies, zdechł w zeszłym roku. Pochowałem go pod drzewem, pod którym lubił spędzać czas, szczególnie jak już nie mógł chodzić. To był labrador i jak pani wie lub nie, to mają one problemy z dysplazją biodrową i w pewnym momencie

przestają chodzić. Straszna śmierć w męczarniach. Jeżeli uważa pani za zbrodnię, że go tam pochowałem, to przyznaję się do winy. – Mężczyzna wyciągnął obrócone wewnętrzną stroną ręce przed siebie i trzymał tak chwilę, ponownie ścierając się wzrokiem z Czerwińską, która coraz mocniej zaciskała pięść lewej ręki.

– Proszę pana. – Przysunęła się bliżej przesłuchiwanego. – Mam po dziurki w nosie gry, w którą chce mnie pan wciągnąć. Dobrze wiem, co pan zrobił Marii. Jak więził ją latami. Znęcał się nad nią psychicznie, a z czasem fizycznie. Jak jej rodzina nie wiedziała, gdzie jest. Szukała jej żywej, a później już tylko ciała. Jak matka, umierając, prosiła syna, aby sprowadził jej córkę do domu i pochował. Jeżeli myśli pan, że odpuścimy, jest pan w błędzie. Wie pan, jak na nas mówią? – spytała szeptem, wywołując lekkie zmieszanie u mężczyzny. Jego dotychczasowy uśmiezek powoli zaczął znikać. – Psy. A zastanawiał się pan kiedyś dlaczego? Bo lubimy kopać, drążyć i węszyć. I nic nas nie powstrzyma przed odnalezieniem tego, czego szukamy.

– Nic pani na mnie nie znajdzie – odpowiedział również ściszym głosem. – Nigdy nie miałem nic wspólnego z tą dziewczyną. Może rozmawiałem z nią raz. Możecie mnie straszyć, stosować jakieś policyjne zagrania rodem z gestapo, ale nic na mnie nie znajdziecie. Możecie przeszukać moje mieszkanie, znajdziecie co najwyżej zalegającą gdzieś odrobinę kurzu. Możecie przekopać moją działkę – ostatnie słowo mocniej zaakcentował – i nic nie znajdziecie. Nie wiem, w co chcecie mnie wplątać, ale jeżeli opieracie się na zeznaniach jakiejś dziewczyny, która zniknęła na lata, zostawiając zrozpaczoną rodzinę, to może nie ze mną jest coś nie tak, ale z nią? Trzeba być bez serca, aby przez tyle lat nie pomyśleć o bliskich. – Mężczyzna wyprostował się i oparł dłonie o blat. – Nie mam czasu i sił na państwa gierki. Proszę mnie natychmiast wypuścić lub postawić zarzuty. Nie odpowiem już na żadne wasze pytanie.

I jak powiedział, tak zrobił. Dorota Czerwińska zadała wszystkie pytania, które ułożyła sobie wcześniej, ale nie otrzymując na nie jakiegokolwiek odpowiedzi, po trzydziestu minutach wyszła.

# Rozdział 4

2017

Widok bliskiej osoby, która cierpi i leży podpięta do nieznanego sprzętu, a z jej ciała wystają rurki, nie jest niczym przyjemnym, dlatego gdy lekarz poinformował Matyldę, że z jej mamą jest już dużo lepiej i przenoszą ją na zwykły oddział, dziewczyna odetchnęła.

- Jak miło cię widzieć w takim stanie! - Uśmiechnęła się do mamy i delikatnie pocałowała ją w policzek.

Najchętniej przytuliłaby się do niej mocno, ale nie miała odwagi. Gdzieś w głowie pozostawał strach, że może zrobić jej krzywdę. Wypadek spowodował długą listę obrażeń, po których została cała masa mniejszych i większych siniaków, które powoli schodziły, ale cały czas pozostawiały na ciele Anny wielobarwne ślady, trochę przypominające obraz uczącego się malarza, który testuje na płótnie różne kombinacje kolorów.

- Ciebie też - odpowiedziała cicho, lecz z radością w głosie. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Przepraszam... - Dotknęła ostrożnie dłoni matki. - Ja nie chciałam.

- Wiem. To już za nami. Nie musimy do tego wracać.

- Ale ja muszę. Ja nie powinnam...

- Nie, to ja powinnam była opowiedzieć ci całą prawdę, a nie ukrywać, kim był twój ojciec. Należało ci się to. Kim ja jestem, żeby odbierać ci tę wiedzę...

- Mamo, nie mów tak...

- Ale to prawda. Jestem ci to winna. - Rozejrzała się po sali i nie widząc żadnych nadstawionych uszu, zaczęła mówić: - Poznałam twój tatę w pracy. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Oczywiście ktoś powiedziałby, że zainteresował mnie, bo był niezwykle przystojny. Nie zaprzeczę, był, ale mnie ujął swoim spojrzeniem. Miał w nim jakąś mądrość. Zresztą odziedziczyłaś po nim oczy, dlatego zawsze godzinami mogła w nie patrzeć. Od razu zaznaczę, że nie był moim przełożonym. Pracowaliśmy w różnych działach, mniej więcej na

podobnym poziomie, jeżeli chodzi o hierarchię. Często spotykaliśmy się na przeróżnych naradach czy po prostu w pokoju socjalnym i poza zdawkowym „cześć” przez pierwsze dwa miesiące nie odezwałam się do niego słowem. Jakoś mnie paraliżował, zresztą wtedy chciałam się skupić na pracy. Niewiele wcześniej odziedziczyłam po babci mieszkanie i potrzebowałam budżetu na remont. Miałam jasno wyznaczony cel, jednak twój ojciec mocno mi go zmienił. – Kobieta pogłaskała córkę po twarzy i sięgnęła po stojącą na stoliku przy łóżku butelkę wody. – Pewnego dnia wyjeżdżałam z parkingu i jak to ja – zaśmiała się – jako średnio ogarnięty kierowca przywaliłam w jego samochód. I co było niezwykle zaskakujące, to on mnie uspokajał. Zupełnie nie miał do mnie o to żalu, mimo że jego samochód kosztował pewnie tyle co trzy moje. I tak się zaczęło. W ramach przeprosin zaprosiłam go na obiad, a później... Szczegóły nie są ważne. Chodzi o to, że się zakochaliśmy. I to była prawdziwa miłość. Wiem, że nie powinno się stawać między małżonkami, ale wiem, że był nieszczęśliwy. Nie kochał matki Filipa. Chciał, abyśmy byli razem. Tej ostatniej nocy, wtedy gdy zginął, oświadczył mi się i dał...

– Pierścionelek, który potem podarował mi Filip – skończyła za matkę Matylda.

– Tak. Gdy zobaczyłam go na twoim palcu, zdębiałam. Czułam się jak w jakimś nierealnym śnie. Widziałam go tylko przez chwilę. Grzegorz założył mi go na palec, ale zdjęłam go, bo trochę mi spadał. Zostawiłam go w hotelu i nigdy więcej nie widziałam, a mimo to dokładnie pamiętałam, jak wyglądał. To nie mógł być przypadek, że wylądował na twoim palcu.

– Pamiętam twoją minę – zaśmiała się smutno dziewczyna. – Wyglądałaś, jakbyś ducha zobaczyła. Stałaś blada i patrzyłaś na moją dłoń przerażonym wzrokiem. W pierwszym momencie pomyślałam, że dostałaś zawału z tych emocji. Przecież wcześniej tak bardzo cieszyłaś się z mojego związku z Filipem, więc zupełnie nie spodziewałam się czegoś negatywnego.

– Chyba nikt się nie spodziewał. Dopiero gdy wszystkie elementy układanki zaczęły wpadać we właściwe miejsca, zrozumiałam, że matka twojego niedoszętego męża to żona Grzegorza. Ta straszna kobieta, przed którą niby uciekał. Ja wiem, że na wielu płaszczyznach mnie oszukał. Omamił. Myślę, że to samo stało się z tą lekarką, tylko ona



zapłaciła jeszcze wyższą cenę. Spędziła tyle lat w celi, posądzona o coś, czego prawdopodobnie nie zrobiła. Na szczęście dzięki wysłanemu na policję listowi wyjdzie z więzienia.

- Co? Jak to?

- Okazało się, że Kornelia Janiszewska przed śmiercią wysłała mail, w którym przyznała się do wszystkiego i przedstawiła konkretne dowody na swoją winę. Nie wiem, czy zrobiła to, żeby chronić syna, czy dlatego, że nagle poczuła wyrzuty sumienia.

- Rozmawiałaś z wujkiem?

- Tak. Obiecał, że będzie się odzywał, jak coś jeszcze się pojawi, ale mam nadzieję, że już nic nas nie czeka. Zresztą teraz ma sporo na głowie w związku z ciocią Marysią.

- Tyle o niej przez całe życie słyszałam, że gdy w zeszłym tygodniu ją poznałam, miałam wrażenie, że już nieraz się widziałyśmy.

- Zawsze byłyśmy sobie bliskie - zaśmiała się Anna. - Kiedyś nawet chciałam zostać jej siostrą i poprosiłam mamę, żeby Marysia mogła z nami zamieszkać. Zbierałam na to pieniądze.

- Nie opowiadałaś mi o tym.

- Wiem i przepraszam. Zawsze wydawało mi się, że rozmowy o przeszłości nie interesują cię, a przy tym są dość bolesne. Ale teraz wiem, że cię z czegoś obrabowałam. Powinnam była pozwolić ci samej zdecydować.

## Rozdział 5

2017

Gdy wyszła z pokoju przesłuchań, Marek Kamiński już na nią czekał. Jak zwykle na twarzy miał swój łobuzerski uśmiech i wyglądał niezwykle pociągająco. Najchętniej Dorota zignorowałaby go i poszła w przeciwnym kierunku, ale nie mogła. Po pierwsze, sama poprosiła go o pomoc. Po drugie, wiedziała, że jest niezwykle spostrzegawczy, czego o sobie samej ostatnimi czasy nie mogła powiedzieć.

Jego bliskość połączona z szalejącymi hormonami powodowała nie tylko problemy z koncentracją, ale i jeszcze większy niż zwykle apetyt, i to nie tylko na jedzenie. Patrząc na kolegę, miała ochotę rzucić się na niego i kochać się z nim na środku korytarza w komendzie policji w Suchodole, nie zważając zupełnie na mijających ich funkcjonariuszy czy mieszkańców przychodzących tu ze swoimi sprawami.

- Dziwnie wyglądasz - rzucił Marek jak zwykle bez ceregieli. - Męczą cię upały?

- Tak. - Kiwnęła głową.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Ostatnimi czasy każda rozmowa z nim wywoływała w niej niepokój. Lęk przed tym, że z jakiegoś jej ruchu, słowa, wyrazu twarzy wyczyta, co ją męczy. Dobrze wiedziała, że otworzy tym samym puszkę Pandory, która wywróci do góry nogami życie Doroty i prawdopodobnie jeszcze dwóch osób. Dlatego chwilowo przyjęła strategię niemówienia i nierobienia niczego, trochę abstrakcyjnie licząc, że problem, chociaż starała się tak nie myśleć o swojej ciąży, rozwikła się sam.

- Zapraszam cię na lody - rzucił z uśmiechem. - Tylko bez podtekstów.

Niespiesznie wyszli z komendy i ruszyli do pobliskiej kawiarni serwującej lody domowej roboty. Dorota zamówiła jedną gałkę sorbetu mango, a jej towarzysz dwie stracciatelli. Usiedli w środku, gdzie można było odetchnąć od męczącego upału, i chwilę delektowali się zimnem, które otaczało ich z każdej strony. W końcu ciszę przerwał Marek:

- Nie mogę rozgryźć tego faceta.

- A najgorsze jest to, że najwyraźniej jest świetnym aktorem. Odpowiadał na wszystkie pytania bez zająknięcia.

- Wiem, widziałem. Nie znoszę takich aroganckich typków. Dobrze wie, że my wiemy, a mimo to idzie w zaparte.

- I co teraz mam zrobić? To jest sprawa inna niż wszystkie. Nie dość, że chodzi o siostrę komendanta, to jeszcze ta historia jest przerażająca. Tak jak Ariel Castro.

- Kto?

- Nie słyszałeś o nim? Gość porwał i latami przetrzymywał trzy kobiety, jedną, z tego, co pamiętam, to aż jedenaście lat, podczas

których wielokrotnie ją bił i gwałcił.

- Faktycznie przerażające. Co do tego typu, to ciężka sprawa. Jeżeli...

Nie zdążył skończyć, bo do kawiarni wpadła zdyszana Agata Nalepa.

- Cześć, co ty tu robisz? - rzuciła Dorota Czerwińska, patrząc na zdyszaną koleżankę.

Była to niezwykle skrupulatna i dokładna w swojej pracy technik kryminalistyki, która poświęcała każdą wolną chwilę na przeszukiwanie miejsc zbrodni, hodowlę robaków i dokształcanie się, zapominając o sobie. Nie dość, że miała sporą nadwagę, którą starała się tuszować workowatymi ubraniami, to na dodatek zawsze gdzieś na jej koszulce widniała plama po lodach, ketchupie czy innym świństwie.

- Stwierdziłam, że dzisiaj jest dzień, kiedy zacznę przygotowania do maratonu - rzuciła swoim skrzeczącym głosem. - A tak na serio to chciałam sprawdzić, ile kulek dzisiaj jestem w stanie zjeść. Wczoraj wcisnęłam w siebie osiem - powiedziała dumnym głosem, poklepała się po brzuchu i podeszła do szczerzącej się za ladą blondynki, która na widok policjantki przygotowała największe z możliwych opakowań na lody.

Dwie minuty później wracali na komisariat, słuchając pomlaskującej koleżanki.

- Ten młody policjant widział, jak wychodziliście, więc pognałam za wami najszybciej, jak mogłam - odezwała się w końcu Agata Nalepa.

- Nie mogłaś zadzwonić? - spytał zdziwiony Marek, przewracając swoim zwyczajem oczami. Dorota już dawno dostrzegła jego dość specyficzną mimikę.

- Mój drogi, gdyby to było takie proste... Na prośbę komendanta pojechałam do tego popaprańca...

- Henryka Borowskiego - skończyła za nią Dorota, widząc, że koleżanka wolała wcisnąć do buzi kolejną wielką porcję lodów niż skończyć zdanie.

- No właśnie. Zabezpieczałam ślady w środku, gdy zobaczyłam, że zbliża się śmieciarka. Niewiele myśląc, rzuciłam się biegiem.

- Ale po co? - spytał zdziwiony Marek.

- Wy nigdy nic nie kumacie. Ślady mogą być wszędzie. A ja uwielbiam sprawdzać wszystko. Więc jak szalona leciałam do tego auta.

- Ponownie zanurzyła łyżeczkę w lodach, po czym wyładowaną po brzegi wsadziła sobie do ust i kontynuowała: - Na szczęście panowie, zanim zabrali się do roboty, wdali się w pogawędkę z jakąś kobietą, preżąc się niemiłosiernie, dlatego nie dostałam zawału, bo ostatnie sto metrów z dwustu, które miałam do pokonania, mogłam przejść. - Dorota aż parsknęła śmiechem, a idący obok Marek pokręcił głową, uśmiechając się od ucha do ucha. - I wiecie co? Okazało się, że Święty Mikołaj w tym roku przyszedł wcześniej. - Kobieta wrzuciła puste pudełko do śmietnika przed komendą i zaczęła wdrapywać się po schodach. - Znalazłam coś, co może wam pomóc. A jeżeli chodzi o mój telefon, to wypadł mi z kieszeni i wpadł do studzienki. - Kobieta zaśmiała się głośno i dorzuciła: - A to peszek.

## Rozdział 6

2017

- Powiedziałam ci, że nie chcę z tobą być! - krzyknęła Matylda i zaczęła zamykać drzwi. Niestety nie przewidziała reakcji stojącego za progiem Filipa i zanim domknęła je całkowicie, jego stopa je zablokowała.

- Nie będziesz mi mówiła, co będzie, a co nie. Przez cały ten czas skakałem wokół ciebie jak wpatrzony we właściciela kundelek, ale dość tego.

- Wyjdź! - wrzasnęła, ale chłopak zupełnie nic sobie z jej prośby nie zrobił.

Przeszedł obok niej, mocno uderzając ją ramieniem, i skierował do salonu, w którym, tak jak przewidywał, na kanapie leżała Anna. Od paru dni obserwował ich dom i wiedział, że kobieta nie wychodzi na zewnątrz. Jedynie córka sporadycznie opuszczała cztery ściany, żeby uzupełnić zapasy jedzenia.

Matylda patrzyła na chłopaka z przerażeniem. Zupełnie nie przypominał tego, w którym się zakochała. Miał przymrużone oczy, jakby światło sprawiało mu ból. Jego zazwyczaj kręcone, niesforne,

ciemne włosy teraz leżały gładko na głowie oblepione żelem. Ale chyba najgorsze i najbardziej depresyjne było to, co na siebie założył – czarna bluza z przerażającym klaunem, któremu z oczu i ust spływała krew, a do tego skórzane spodnie, które ciasno opinały mu nogi.

Usiadł na fotelu, a na ziemi postawił sportową torbę z przygotowanymi wcześniej rzeczami, które planował wykorzystać.

- To co, żono i mamó... - powiedział z przerażającym uśmiechem na twarzy. - Tak niewiele dzieliło nas od takiej sytuacji, więc może pobawimy się w dom. Zawsze marzyłem o tym, by mieć taką normalną rodzinę. Wspaniałą teściową, która na pierwszym miejscu stawia dobro rodziny, i żonę, która dla mnie jest w stanie zrobić wszystko i będzie mi wierna po wsze czasy. - Filip Janiszewski wyrzucał z siebie słowa jak z karabinu, cały czas złowieszczo się uśmiechając.

- Matyldo, o co chodzi? - spytała zaniepokojona Anna.

Kobieta miała prawą rękę w gipsie, a na lewej nodze od pachwiny po kostkę długie usztywnienie, które uniemożliwiała swobodne poruszanie się.

- Mamó, nie denerwuj się. Filip już wychodzi. - Ostatnie słowa dziewczyna wypowiedziała przez zaciśnięte zęby. Miała ochotę zacząć krzyczeć na chłopaka, jednak bała się, że ponownie wybuchnie, jak podczas ich ostatniego spotkania.

- A skąd taki pomysł? - spytał rozbawiony, jakby Matylda zaserwowała śmieszny żart. - Ja się nigdzie nie wybieram. Zostanę z wami, tak jak planowaliśmy. Tylko poprzednio mieliśmy zamieszkać z moją mamą, ale niestety jej się zmarło, więc będziemy mieszkać z twoją, moja cudowna przyszła żonko. A w sumie to nie będę czekał na jakiś tam ślub. Już od teraz będę cię nazywał żoną.

- Zadzwoń na policję! - krzyknęła przerażona dziewczyna i już sięgała po telefon. Niestety chłopak był szybszy. Z całej siły uderzył ją w twarz otwartą ręką, powodując, że z impetem runęła na ziemię.

- Pożałujesz! - krzyknęła Anna, próbując wstać z kanapy. Niestety z dobrze zbudowanym i wysportowanym mężczyzną nie miała szans. W sekundę był przy niej, celując z broni, którą nagle wyjął z torby.

- Ja już żałuję! - wykrzyczał, patrząc na nią oczami pełnymi obłędu. - Żałuję, że nie przewidziałem, jakimi strasznymi kobietami jesteście. Nie przewidziałem, że doprowadzicie moją matkę na skraj, z którego nie

będzie miała powrotu! – krzyczał, przenosząc wzrok z jednej kobiety na drugą. Zachowywał się jak pacjent psychiatryka, który odstawił leki i dopadła go faza manii. Zaczął energicznie chodzić po niewielkim salonie, uderzając cały czas bronią o rękę, jakby nie było to śmiertelne narzędzie, którym mogłoby pozbawić życia innego człowieka. – Wy jesteście wiedźmami – wysyczał, podchodząc do Anny, i zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od niej. – Wysysacie z innych energię i życie się nią.

– Filip, uspokój się – powiedziała spokojnym głosem Matylda, próbując odciągnąć jego uwagę od swojej matki. – Wiem, że jesteś w rozpacz po śmierci Kornelii...

– Nie waź się wymawiać jej imienia! – wydarł się chłopak i odwrócił w stronę nadal leżącej na ziemi dziewczyny. – Nie masz prawa!

– Przepraszam – wydukała i powoli zaczęła się podnosić. – Wiem, że cierpisz, ale uwierz mi, moja mama...

Znowu nie zdążyła dokończyć, bo chłopak wyprowadził mocny cios w brzuch. Momentalnie przeszył ją ból, jakiego jej ciało nigdy nie czuło. Nie wiedziała, w co dokładnie oberwała, ale nie wierzyła, żeby mogło się to obyć bez konsekwencji. Ponownie padła na ziemię, tym razem mocniej uderzając o podłogę. Już nie tylko ból brzucha stanowił problem. Lewy nadgarstek miała nienaturalnie wykręcony i czuła, że straciła nad nim kontrolę. Prawy wyglądał trochę lepiej, ale również bolał nieziemsko.

– Gównu mnie obchodzi twoje tłumaczenie, głupia suko. – Kopnął ją tym razem w lewą nogę, na co odpowiedziała głośnym jękiem. – Możecie mi próbować wciskać te wasze farmazony, ale ja znam prawdę. Zabraliście mi całą rodzinę.

Po tych słowach, nie czekając na odpowiedź którejs z kobiet, strzelił do Anny Kozery. Dwa razy. W brzuch.

Filip stał, z radością w oczach patrząc na osuwającą się na podłogę niedoszłą teściową, czuł się tak, jakby wygrał w totka, dlatego nie zauważył zbliżającej się Matyldy. Jej nienawistnego spojrzenia, które sygnalizowało chęć konfrontacji. Mimo że dziewczyna mierzyła raptem metr sześćdziesiąt trzy, a przeciwnik był o ponad dwadzieścia centymetrów wyższy, ruszyła na niego jak równy na równego.

Wskoczyła na niego od boku, łapiąc za włosy i waląc pięściami po głowie. Siła uderzenia była tak duża, że momentalnie padli na ziemię.

Kilka sekund później Matylda zobaczyła gwiazdki, gdy jej głowa uderzyła z impetem o kuchenną posadzkę, którą pięć lat temu wybrała z mamą. Po chwili pomieszczenie wypełnił dźwięk wystrzału, którego córka Anny Kozery już nie usłyszała.

## Rozdział 7

2017

Szli za Agatą Nalepą jak kaczuszeki za swoją mamą. Nie wiedzieli, co odkryła kobieta, ale obydwójce mieli przeczucie, że będzie to początek końca Henryka Borowskiego.

Już mieli jej pokój w zasięgu wzroku, gdy z dołu usłyszeli jakieś krzyki, a na korytarz nagle wypadł młody mężczyzna w stroju służbowym. Dorota już dawno przestała zapamiętywać imiona nowych funkcjonariuszy, szczególnie że wiedziała, że wielu z nich nie zabawi w suchodolskiej komendzie długo.

- Cała trójka wzywana jest jak najszybciej na Mickiewicza.
- Mickiewicza? - powtórzył po chłopaku Marek Kamiński.
- Tak. Podobno jakaś niezła rzeź. Macie czym prędzej jechać.

Nie komentując tego ani słowem, wszyscy od razu ruszyli za policjantem. Pięć minut później wchodzili do ciasnej klatki schodowej, przed którą zebrał się spory tłum składający się z mieszkańców bloku, ale też i gapiów zainteresowanych obecnością policji.

Ze zdawkowej informacji, którą otrzymali, dowiedzieli się, że kilka osób słyszało krzyki dochodzące z mieszkania na drugim piętrze, a później strzały.

Powoli wspięli się na wskazane piętro i stanęli przed drzwiami. Dorota poprawiła kamizelkę, którą na szybko przejęła od jednego z kolegów, i kiwnęła do Marka Kamińskiego, że jest gotowa. Ten

wyciągnął rękę i dynamicznie uderzył dwa razy w ciemnobrązowe drzwi z liczbą piętnaście.

- Policja. Wchodzimy. Odłóż broń! - powiedział donośnym głosem i nie czekając na jakąkolwiek reakcję, nacisnął klamkę i popchnął drzwi.

Powoli weszli do mieszkania. Gdyby nie okoliczności, Dorota pewnie uznałaby je za ładne. Nie było nowocześnie wykończone czy umeblowane, ale wiszące na każdej ścianie zdjęcia i pamiątki z wyjazdów powodowały, że czuła się w nim dobrze.

Nagle zamarła. Na wysokości jej twarzy wisiał portret kobiety. Czterdziestoparoletnia kobieta na tle parku uśmiechała się do fotografa.

- To jest mieszkanie Anny Kozery - wyszeptała tak cicho, że Marek Kamiński nie miał szansy tego usłyszeć.

Raptem kilka dni wcześniej przeglądała akta starej sprawy morderstwa Grzegorza Mazurka, a teraz stała w niewielkim korytarzyku w jej mieszkaniu i zastanawiała się, kto jest powodem ich obecności.

Powoli popchnęli białe drzwi z długim prostokątnym przeszkleniem i zamarli.

Na podłodze leżały trzy zakrwawione osoby i żadna z nich nie wykazywała oznak życia.

- Wezwijcie karetkę... Trzy karetki! - wydarła się starsza aspirant Dorota Czerwińska, wiedząc, że za nimi podążało jeszcze trzech funkcjonariuszy.

Sama doskoczyła do leżącej najbliżej niej młodej kobiety. Z jej głowy wypływała strużka krwi, a prawy bark był roztrzaskany po wystrzale z bliskiej odległości. Drżącymi rękoma zaczęła obmacywać jej szyję w poszukiwaniu tętna. Chwilę jej to zajęło. Momentalnie poczuła ulgę, mimo że jeszcze nie miała gwarancji happy endu. Ułożyła dziewczynę w pozycji bezpiecznej i zerknęła na kolegę.

Marek Kamiński klęczał przy Annie Kozery, która wyglądała teraz zupełnie inaczej niż na zdjęciu z korytarza. Jej twarz była blada jak ściana, a z brzucha wypływała krew, którą za wszelką cenę policjant próbował zatamować własną koszulą.

- Gdzie jest ta karetka?! - krzyknął, przerywając ciszę, której nikt nie chciał zakłócać zbędnymi słowami.



Wszyscy przyglądali się nerwowo dwóm kobietom, które potrzebowały natychmiastowej pomocy. Na leżącego nieopodal chłopaka nikt nie patrzył.

Jego roztrzaskana pociskiem twarz, zdecydowanie do tego nie zachęcała.

## Rozdział 8

2017

Obudziło ją szczekanie psa sąsiada, który nie znoślił zostawać sam w domu, o czym informował wszystkich lokatorów, wydając głośne i przeciągłe dźwięki, przy których nie dało się spokojnie spać. Dorota powoli usiadła na łóżku i włożyła stopy w puchate kapcie, z których kiedyś śmiała się przy każdej okazji, a teraz sama nosiła i wychwalała pod niebiosa.

Gdy zobaczyła na zegarku dziesiątą trzydzieści pięć, ze zdziwienia aż przetarła oczy. Nigdy nie spała więcej niż dziesięć godzin, nawet po suto zakrapianej imprezie, a tej nocy przespała ponad trzynaście.

- Zaczęło się - powiedziała sama do siebie i ruszyła do kuchni.

Ostatnio z ciekawości zaczęła czytać o poszczególnych etapach ciąży i praktycznie w każdym z artykułów była wzmianka o senności, której doświadczyła teraz po raz pierwszy.

Zjadła niewielkie śniadanie i poszła spacerem do pracy. Po przeżyciach poprzedniego dnia czuła się tak, jakby brała udział w biegu długodystansowym. Jej ciało z nadmiaru emocji całe się ponapinało.

Gdy w końcu stanęła przed drzwiami biura, w którym czasowo urzędowała Agata Nalepa, miała nadzieję ją tam zastać. Wiedziała, że powinna zadzwonić, bo zapewne techniczka siedziała w niedostępnym dla niej laboratorium w Poznaniu lub na wczorajszym miejscu zbrodni. Gdy jednak zobaczyła kobietę zgarbioną nad swoim biurkiem, aż podskoczyła z radości.

- Masz chwilę? - wyszeptała, nie chcąc jej straszyc.

- Przez najbliższe trzy miesiące raczej nie, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Daj mi tylko sekundę - odpowiedziała Agata i zaczęła coś pisać jeszcze szybciej niż przed chwilą. Po pięciu minutach z dumą zapisała dokument i odwróciła się do Doroty Czerwińskiej. - Mówiłam wam o tych śmieciach?

- Tak, ale niczego więcej nie zdążyłaś powiedzieć.

- No tak. A więc zaczynając od początku, to znalazłam w jednym z worków buty. Nie powiem, zniszczone jak jasna cholera. W jednym odpadła podeszwa z przodu i to było dla nas zbawienne. - Kobieta uśmiechnęła się triumfalnie, jakby przyłożyła do tego rękę. - Generalnie na całych butach było mnóstwo śladów, poczynając od dość specyficznej gleby, która w okolicach występuje tylko w jednym miejscu, a ja wiem gdzie. Ale chyba najważniejsze są ślady krwi.

- Krwi? Ludzkiej? - wtrąciła podekscytowana Dorota.

- Tak. I to nie jęgo. Nie wiem, czyja to krew, ale ma inną grupę niż u tego Bobrowskiego.

- Bobrowskiego - poprawiła ją policjantka. - A skąd ta ziemia? Powiedziałaś, że jest dość specyficzna.

- Tak. Zawiera bardzo charakterystyczne związki chemiczne, co wynika z obecności zakładów produkcyjnych w pobliżu. Zupełnie przypadkiem badałam to ostatnio. Ale co chyba dla ciebie najważniejsze, to są to raptem dwa, może maksymalnie trzy hektary do sprawdzenia.

- Wow, nieźle. A są tam jakieś budynki?

- I tu cię chyba zaskoczę, bo tak. Stoją tam stare domki działkowe - powiedziała Agata Nalepa zadowolona ze swojego odkrycia.

Dorota wiedziała, że są blisko rozwiązania zagadki. Jednak zanim to nastąpi, musiała zrobić jeszcze jedną rzecz.

## Rozdział 9

2017

- Remigiuszu Mrozowski, jest pan aresztowany za próbę zabójstwa Iwony Zubrzyckiej i Barbary Jaworskiej - powiedziała starsza aspirant Dorota Czerwińska i skinęła głową na stojącego obok Marka Kamińskiego, aby założył mężczyźnie kajdanki na ręce.

- Ale o co chodzi? Ja nic nie zrobiłem - odpowiedział cicho mężczyzna.

To, co wypowiedziały jego usta, stało jednak w sprzeczności z mową jego ciała, które momentalnie sflaczało, jakby wypowiedziane przez policjantkę słowa dały mu ulgę. Przez całą drogę na komendę milczał. Dopiero siedząc naprzeciwko Doroty Czerwińskiej, odezwał się, mimo że jeszcze nie padło żadne pytanie.

- One chciały skrzywdzić Osę - powiedział i spojrzał na policjantkę.

Miał niesamowicie błękitne oczy, których nie zauważyła przy pierwszym spotkaniu. Może dlatego, że wtedy zapatrzyła się na jego nagi tors. Teraz wbiła spojrzenie w jego twarz i czuła dreszcze na plecach. Pomimo pięknych oczu jego wygląd przerażał, a to za sprawą blizny, która ciągnęła się od lewego oka aż po kącik ust. Tak jakby ktoś ostrym narzędziem przeciął mu skórę.

- Kto to są one? - spytała, dobrze wiedząc, o kogo chodzi. Gdy tylko Iwona Zubrzycka pokazała jej rysunek, domyśliła się, kogo kobieta widziała bezpośrednio przed wypadkiem.

Jednak żeby mieć pewność, odwiedziła jeszcze Barbarę Jaworską, która potwierdziła, że tamtego dnia, gdy prawie utonęła, był u niej Remigiusz Mrozowski. Zupełnie nie połączyła go ze swoim wypadkiem. Niewiele pamiętała z tamtego dnia. A ostatnim wspomnieniem była rozmowa z Marleną Osowską, nie pamiętała jej treści, ale o tym jednak opowiedziała im już dziewczyna.

- Te kobiety. Chciały odebrać Osie marzenia, nie mogłem na to pozwolić - powiedział chłopak łamiącym się głosem.

Dorota patrzyła na niego smutnym wzrokiem. Z tego, co udało jej się na szybko ustalić, Marlena Osowska i Remigiusz Mrozowski znali się z domu dziecka, gdzie lata temu doszło do wypadku, w wyniku którego chłopak został oszpecony. Nikt nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności, ale według raportu, do którego dotarła policjantka, jakieś dziecko zaatakowało chłopaka, a dziewczyna stanęła w jego

obronie. Od tego czasu byli nierozłączni. Ona pomagała mu w życiowych sprawach, a on przypisał sobie funkcję obrońcy.

- Opowiedz mi spokojnie, co się stało. Dlaczego zaatakowałeś Iwonę Zubrzycką?

- Osa tak kocha te dzieci, a ona chciała ich rozdzielić.

- Dlaczego tak myślisz? - spytała spokojnie, widząc coraz większe zdenerwowanie chłopaka. Po skroniach spływał mu pot, a kciukiem prawej ręki coraz dynamiczniej uderzał w blat stołu.

- Ta pani z nią rozmawiała i powiedziała, że to koniec. Że ją zwalnia.

- Rozumiem - westchnęła smutno. - Tylko to nie chodziło o Marlenę Osowską.

- To niemożliwe! - krzyknął chłopak i zaczął dynamicznie bujać się w przód i w tył.

- Niestety. Iwona Zubrzycka rozstawiała się ze swoją asystentką z pracy. Twoja przyjaciółka nie była zagrożona. Gdy uderzyłeś panią Barbarę Jaworską, zrobiłeś to też dlatego, że chciałeś obronić Marlenę?

- Tak - powiedział cicho.

- Tylko znowu się pomyliłeś. Barbara Jaworska faktycznie chciała się ją zwolnić, ale jednocześnie załatwiła jej inną pracę. U swojej koleżanki. Rozstawały się w bardzo dobrych relacjach.

Chłopak patrzył na policjantkę i kiwał się coraz szybciej, a Dorota spoglądała na niego z żalem. Niby miała przed sobą sprawcę, ale nie była w stanie się cieszyć. Zachowanie Remigiusza Mrozowskiego jasno i wyraźnie wskazywało, że nie jest zdrowy psychicznie, a wszystko, co złego zrobił, wynikało z miłości do jedynej osoby, która się o niego troszczyła.

Na rozedrganych nogach i ze ściśniętym z nerwów żołądkiem wyszła z sali przesłuchań i zadzwoniła do prokuratora, prosząc o możliwość wezwania psychologa. Tylko tyle lub aż tyle mogła zrobić dla chłopaka.

## Rozdział 10

2017

Szybki telefon do właściciela wskazanego przez Agatę Nalepę terenu poskutkowało zdobyciem ciekawej informacji. Od dwudziestu trzech lat Henryk Borowski wynajmował jedną z działek. Na pytanie, czemu jej nie kupił, mężczyzna nie był w stanie odpowiedzieć. Teraz jednak nie miało to znaczenia. Mieli nowy, zaskakujący trop i musieli go zbadać.

Dorota wysłała do Marka Kamińskiego wiadomość z informacją, że za dziesięć minut jedzie. Chciała być w porządku, a jednocześnie dawała sobie okienko na jednoosobową akcję, gdyby się nie odezwał.

Przejrzała skrupulatnie plany okolicy, w której znajdowała się działka, i dokładnie po dziesięciu minutach wstała i ruszyła do wyjścia.

Panujący od kilku dni upał spowodował, że musiała chwilę odczekać, aż w samochodzie się przewietrzy, by mogła uruchomić klimatyzację. Zamknęła wszystkie okna i już miała ruszać, gdy ktoś zapukał w szybę od strony pasażera.

- Chciałaś jechać beze mnie?! - krzyknął Marek Kamiński.

Przez chwilę patrzyła na niego jak na kosmitę. Najchętniej odjechałaby, zostawiając go na środku parkingu przed komendą policji, z kanapką w dłoni, której pewnie nie zdążył dojeść, bo zaskoczyła go wiadomością.

- Wsiadaj - powiedziała oschle i ruszyła, zanim zamknął drzwi.

- Też miło cię widzieć - rzucił i kontynuował jedzenie.

Dorota sama chętnie by coś zjadła, ale w tym momencie cieszyła się, że kolega zajęty jest konsumpcją. Przynajmniej nie zagadywał jej odnośnie do ostatnich wydarzeń czy ich relacji. Dojechali na miejsce w niecałe piętnaście minut.

- Blisko - skomentował funkcjonariusz, gdy parkowali pod ogrodzeniem z informacją wypisaną na zielonej blaszce: „RODZINNE OGRÓDKI DZIAŁKOWE PRZYJAŹŃ”.

- Urocze miejsce - odpowiedziała i ruszyła za kolegą, który dziarskim krokiem szedł do wejścia.

Niestety zupełnie nie przewidzieli tego, że furтка może być zamknięta. Rozejrzeli się dookoła i nie widząc nikogo, Marek wyciągnął z kieszeni zestaw kluczy, przełożył rękę na drugą stronę i wprawnym ruchem przesunął zapadkę zamka.

- Wow, niezły włamywacz z ciebie - rzuciła rozbawiona policjantka.

- Jestem człowiekiem wielu talentów i żadnej pracy się nie boję - odpowiedział ze swoim rozbajającym uśmiechem, popchnął furtkę i puścił koleżankę przodem.

Dojście do działki wynajmowanej przez Henryka Borowskiego zajęło im chwilę, ponieważ wciśnięta była w sam róg terenu ogródków, dzięki czemu miała sąsiadów tylko z jednej strony. Z dwóch otaczało ją zewnętrzne ogrodzenie, a z czwartej graniczyła z wewnętrzną drogą. Już z daleka widzieli dodatkową furtkę.

- Sprytnie - powiedziała na jej widok Dorota Czerwińska. - Spokojnie mógł wchodzić na swoją działkę od strony lasu. Raczej nie sądzę, że to przypadek.

Podeszli pod główną furtkę i Marek nacisnął klamkę. Ta nie wydała z siebie nawet najmniejszego dźwięku. Ustąpiła i po chwili stali na terenie wynajmowanym przez ich podejrzanego.

- Wiesz, że będziemy mieć przechlapane, gdy to wyjdzie na jaw? - spytał, gdy z odległości dwudziestu metrów przypatrywali się niewielkiemu budynkowi. Mimo swoich niedużych rozmiarów i tak wyglądał jak kolos w porównaniu z domkami na sąsiadujących działkach.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale co mamy zrobić? Nie zamierzam zwracać teraz głowy komendantowi. Jego myśli są zupełnie gdzie indziej.

Powiedziała i ruszyła, nie czekając na kolegę. Nagle jej serce zamarło. W odległości pięciu metrów od wejścia do budynku dostrzegła dół, był głęboki i szeroki na metr, a długi na jakieś dwa.

Niewiele myśląc, doskoczyła do drzwi i nacisnęła klamkę. Tym razem nie mieli szczęścia. Domek był zamknięty. Podeszła do znajdującego się obok okna, próbując zobaczyć przez nie cokolwiek. Niestety okna były zamalowane białą farbą od środka.

- Spróbuj to otworzyć - rzuciła do stojącego obok Marka, ale ten tylko rozłożył ręce.

- Ja nie MacGyver. Nie otworzę tego.

- Kurwa - syknęła zrezygnowana i usiadła na schodku. Najchętniej wybiłaby któreś z okien, ale wiedziała, że miałyby przez to przechlapane.

- Musimy wrócić z nakazem. Inaczej się nie da - odpowiedział i przysiadł obok.

Patrzyli na wykopany obok dół, gdy nagle Dorota Czerwińska podskoczyła.

- Słyszałeś? - powiedziała podekscytowana.

- Nie.

- Cicho - wyszeptała i przysunęła się bliżej drzwi.

Zza nich dochodził ledwo słyszalny, delikatny stukot. Ktoś ewidentnie dawał im znak, że jest w środku.

Oboje zerwali się natychmiast na równe nogi. Teraz nie miał znaczenia strach o karierę. Dobrze wiedzieli, że ktoś jest w budynku i nie może dać im znać inaczej niż poprzez stukanie. Marek Kamiński rozejrzał się dookoła i niewiele myśląc, doskoczył do leżącej przy budynku siekiery i zaczął nią uderzać w drzwi. Po kilku ruchach wyglądały jak po spotkaniu z bronią palną. Na środku miały wielką dziurę, przez którą sprawnym ruchem Kamiński otworzył drzwi od środka.

Gdy przekroczyli próg, oboje zamarli. Na rozpadającym się łóżku leżała skrępowana i zakneblowana dziewczyna. Twarz miała tak zmasakrowaną, że jednego oka nie była w stanie otworzyć. Drugie miała delikatnie uchylone.

Szybko ją rozwiązali i wyprowadzili z budynku. Choć niewiele widziała, uśmiechała się do nich, a z jej ust raz po raz wydobywało się ledwo słyszalne „dziękuję”. Już mieli ruszyć do wyjścia, gdy Dorota rzuciła:

- Muszę coś sprawdzić.

Nim Marek zdążył zareagować, odwróciła się i ruszyła na wynajmowaną przez Henryka Borowskiego posesję. Na wejściu włożyła ochraniacze na buty i rękawiczki, żeby nie zacierać śladów, i podeszła do łóżka. Przyklęknęła i poświeciła sobie latarką. Uśmiechnęła się. Od spodu cały stelaż udekorowany był krótkimi kreseczkami.

## Rozdział 11

- Słońce, jeżeli tego potrzebujesz, to płacz. Czasami dobrze jest wyrzucić z siebie złość i wszelkie negatywne uczucia, zamiast je w sobie tłumić - powiedziała Kasia, nie przestając głaskać przyjaciółki po głowie, która spoczywała na jej kolanach.

Ich cotygodniowe spotkanie dość szybko przekształciło się w monolog policjantki, z którego większość była niezrozumiała przez histerię, w którą wpadła Dorota.

- Nie chcę się dłużej ukrywać - powiedziała w końcu i usiadła na kanapie. - Muszę powiedzieć Jakubowi i Markowi, że jestem w ciąży. Jestem im to winna. Niestety do narodzin nic nie będzie wiadomo. Nie będę narażać dziecka i siebie na badania, są zbyt inwazyjne.

- Rozumiem.

- I chcę wyjechać. - Sięgnęła po stojącą na stole szklanę z bezalkoholowym piwem. - Muszę się oderwać od tego wszystkiego. Wszystkie te sprawy mocno mnie wymęczyły psychicznie. Pewnie to przez niego... - Poglaskała się po brzuchu.

- Myślisz, że to chłopiec? - spytała z uśmiechem na twarzy Kasia.

- Tak czuję, ale jeszcze za wcześnie. Przynajmniej tak przeczytałam w internecie. Na razie chcę się skupić na dziecku i sobie. Mam dość. Cały czas mam przed oczami kuzynkę komendanta i jej córkę. Na szczęście rokowania są dobre i kula nie dosięgnęła kręgosłupa u Ani. Niewiele brakowało, a zostałyby sparaliżowana od pasa w dół. Matylda ma roztrzaskany bark, ale jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

- Koszmar... - westchnęła przyjaciółka i sięgnęła po miseczkę z chrupkami kukurydzianymi. Od jakiegoś czasu starały się podjadać w miarę zdrowe przekąski, tak aby po narodzinach dziecka Dorota miała jak najmniej zbędnych kilogramów.

- Wiem, że powinnam się cieszyć, że ten gnój Henryk zgnije w więzieniu, ale jakoś cały czas na pierwszy plan wysuwa się ogrom cierpienia, jakie spowodował. Nasza ekipa cały czas pracuje na działce, na której znaleźliśmy dziewczynę. Odkryli już dwa ciała, ale boję się, że będzie ich więcej. Gość powinien dostać Oscara, skurczybyk jest niezły. Na szczęście zgubiła go pycha. Pozakopywał ciała dookoła posesji.



Gdyby je gdzieś wywiózł, pewnie nigdy nikt by ich nie znalazł. – Dorota zamilkła i wysmarkała zapchany nos.

– No i co teraz planujesz? Dokąd wyjedziesz?

– Jeszcze nie wiem, ale muszę znaleźć wewnętrzny spokój i w końcu zatroszczyć się o siebie. O nas. Mam w końcu dla kogo żyć.

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Cytał](#)

## [Część 1](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

## [Część 2](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

## [Część 3](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

## Część 4

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

## Część 5

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

## Część 6

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11